

Zacieranie afery wizowej | Polska wymiera | „Sprawa” Lewandowskiego  
Dzieciobójcy z Czernik | Leżajsk poległ | Dynastia Kulczyków | Znachor 3.0

# POLITYKA.PL

LIDER  
SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 40 (3433), 27.09–3.10.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Donald Tusk w wywiadzie dla POLITYKI:

## WYBORY TO STARCIE POLSKA KONTRA PiS





JOSÉ MARÍA OLAZÁBAL  
I SEVE BALLESTEROS, 1991





## TO NIE JEST ZWYKŁY TURNIEJ

To spotkanie na szczycie pomiędzy Starym i Nowym Kontynentem. Spotkanie drużyn złożonych z największych mistrzów i najbardziej obiecujących talentów tej dyscypliny, które pod przewodnictwem doświadczonych kapitanów reprezentują dwie strony Atlantyku. Ale znakomity skład nie jest jeszcze gwarancją zwycięstwa. Ponieważ nie chodzi o indywidualną doskonałość, lecz o przełożenie wirtuozerii każdego z graczy na sukces całego zespołu i pokazanie absolutnego piękna tej gry. To właśnie ten drużynowy duch, wyjątkowy w swojej istocie, od niemal stu lat inspiruje najbardziej pamiętne pojedynki i utrwała legendę golfa. Witamy na turnieju Ryder Cup.

*#Perpetual*



OYSTER PERPETUAL  
DAY-DATE 40



WORLDWIDE  
PARTNER

RYDER CUP  
MARCO SIMONE GOLF AND COUNTRY CLUB  
RZYM, WŁOCHY  
25 WRZEŚNIA - 1 PAŹDZIERNIKA 2023



**ROLEX**

JORDAN SPIETH  
I JUSTIN  
THOMAS, 2021



20 Afera graniczna



28 Nowa klauzula sumienia



54 Demon Putin

## Rozmowa POLITYKI

- 14 Donald Tusk o tym, dlaczego trzeba być na marszu 1 października, o stawce nadchodzących wyborów, brutalnej kampanii i wsparciu dzielnych ludzi

## Polityka

- 20 Rafał Kalukin **Od afery wizowej do afery filmowej**  
 24 Katarzyna Kaczorowska  
 Kastor Kuźelewski **Bezpartyjni Samorządowcy: kim są i komu się przysłużą**  
 26 Róża Rzeplińska o tym, jak PIS może wydawać miliony, żeby utrzymać się przy władzy

## Społeczeństwo

- 28 Martyna Bunda **Aborcja po polsku**  
 31 Marcin Piątek **Atak na Lewego**  
 34 Marcin Kołodziejczyk **Dom zły w Czernikach**  
 37 Zbigniew Borek **Spadek po rosyjskiej armii**  
 40 Juliusz Ćwieluch **Polityka przy piwie – czyli historia zamykania browaru w Leżajsku**



## Ogląd i pogląd

- 44 Edwin Bendyk **Kraj w depresji**

## Rynek

- 48 Adam Grzeszak **Co z imperium Jana Kulczyka zrobiły jego dzieci**



- 51 Joanna Solska **Wyborcza bitwa o handel**

## Świat

- 54 Piotr Łukasiewicz **ROSJA W co wierzą Rosjanie**  
 57 Piotr Podemski **WŁOCHY Lampedusa to dopiero początek**  
 60 Dariusz Kałan **SŁOWACJA Co zostało z wielkiej moralnej rewolucji**  
 62 Szabolcs Vörös, Jędrzej Winiński **WĘGRY Do czego służyły Orbánowi referenda**



## Nauka/projektpulsar.pl

- 64 Agnieszka Krzemińska **Złodzieje w muzeach**  
 67 Karol Jałochowski **Tajemnice szyfrów**

## Historia

- 70 Antoni Sułek **Skomplikowane relacje między chłopami a Żydami**

- 74 Adam Grzeszak **Rudolf Diesel: inżynier wysokoprężny**  
 77 PROSTO Z KSIĄŻKI

## Kultura

- 82 Aneta Kyzioł **Znachor 3.0**  
 85 Pianistka **Hania Rani** o najnowszej płycie i o tym, jak zmienia swoją muzykę  
 88 Aleksandra Żelazińska **Ile warte są internetowe recenzje**  
 90 Janusz Wróblewski **W Gdyni wróciło kino historyczne**  
 94 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**  
 95 Andrzej Zawadzki **Na wnuczka – zwycięski felieton drugiej edycji „Brzytwy Pilcha”**



## Ludzie i style

- 100–105 • **Moda na friluttsliv**  
 • **Chipy do mózgu** • **Być delulu**  
 • **Czucie współczucia**  
 • **Reklama luksusowa**  
 • **Wakacje z psem**  
 • **Wino z Mołdawii**

## Stałe rubryki

- **6** Mleczko i Mizerski • **8** Przypisy  
 • **9** Ludzie i wydarzenia  
 • **78** Afisz • **96** Koziołek  
 • **97** Hartman • **98** Tym  
 • **99** Do i od redakcji  
 • **106** Polityka i obyczaje

NOWOŚĆ

## Wietnam Północny dla koneserów

Zobacz jedne z najbardziej spektakularnych krajobrazów na Ziemi w północnej części Wietnamu i odwiedź zamieszkujące te tereny lokalne plemiona górskie.

**Program wycieczki:** Dz. 1 Przelot Warszawa – Hanoi. Dz. 2 Przyjazd do Hanoi. Wycieczka riksami po zabytkowej części miasta i powitalna kolacja. Dz. 3 Hanoi. Zwiedzanie miasta: mauzoleum Ho Chi Minha, Pagoda Jednej Kolumny, Muzeum Etnologiczne i czas wolny. Dz. 4 Hanoi – Thong Nguyen. Podróż po północno-wschodnim Wietnamie. Dz. 5 Ośrodek Panhou. Spacer po okolicy i kurs gotowania. Dz. 6 Thong Nguyen – Ha Giang. Wizyta w wiosce Thon Tra i spacer po lesie palmowym. Dz. 7 Ha Giang – Yen Minh – Dong Van. Przetęcz Quang Ba zwana "bramą do nieba", globalny geopark Dong Van, pałac królewski w Sa Phin. Dz. 8 Dong Van – wycieczka po terenach graniczących z Chinami. Wieża flagowa Lung Cu. Dz. 9 Dong Van – Meo Vac – jezioro Ba Be. Lokalny targ i przetęcz Ma Pi Lang. Dz. 10 Jezioro Ba Be. Wycieczka łodzią i wizyty w lokalnych wioskach. Dz. 11 Jezioro Ba Be – Hanoi. Dz. 12 Podróż powrotna. Przelot Hanoi – Warszawa. Dz. 13 Przyjazd do Warszawy.



13 dni | Wylot z Warszawy 26/04 2024 | **11.998,-**



## Rejs po Rodanie i Saonie – z Burgundii do Prowansji

**Program wycieczki:** Dz. 1 Wylot z Warszawy do Lyonu. Zaokręgowanie na statku. Dz. 2 Chalon-sur-Saône i Mâcon, Francja. Wycieczka do Burgundii z wizytą w Beaune oraz słynnym Hôtel Dieu (dodatkowo płatna). Dz. 3 Mâcon i Trévoux, Francja. Pieszna wycieczka do Mâcon. Wycieczki do opactwa w Cluny, Château Cormatin lub Beaujolais z degustacją wina (dodatkowo płatne). Dz. 4 Viviers, Francja. Wycieczka krajoznawcza wokół wąwozu Gorges de l'Ardèche oraz do muzeum lawendy (dodatkowo płatna). Dz. 5 Arles i Awinion, Francja. Pieszna wycieczka po Arles ze zwiedzaniem ruin rzymskich oraz wielkiej areny (dodatkowo płatna). Dz. 6 Awinion i Châteauneuf-du-Pape, Francja. Zwiedzanie Awinionu oraz pałacu papieskiego, Pont d'Avignon i średniowiecznych murów miejskich (dodatkowo płatna). Dz. 7 Lyon, Francja. Wycieczka po Lyonie (UNESCO) oraz do imponującej bazyliki Najświętszej Maryi Panny (dodatkowo płatna). Dz. 8 Lyon. Przyjazd do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy  
18/09 2024

**9.998,-**

## Norwegia – na tropie zorzy polarnej

**Program wycieczki:** Dz. 1 Przelot Warszawa – Bodø. Przyjazd i kolacja powitalna. Dz. 2 Bodø. Spacer po mieście, rejs statkiem linii Hurtigruten przez wąskie fiordy archipelagu Lofotów do Tromsø. Dz. 3 Przyjazd do Tromsø. Zwiedzanie miasta – Katedra Arktyczna i Muzeum Polarne. Dz. 4 Tromsø. Czas wolny lub możliwość wykupienia wycieczki na obserwację wielorybów. Przejazd do Sommarøy – wieczorna wycieczka w poszukiwaniu zorzy polarnej. Dz. 5 Sommarøy. Psie zaprzęgi i zorza polarna. Dz. 6 Tromsø i podróż powrotna.

6 dni | Wyloty z Warszawy  
08/01, 15/02, 23/03 2024

od **9.498,-**



## SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

## Temu państwu już dziękujemy

**N**ie rozumiem upartego przemilczania afery wizowej przez pisowskie media, bo uważam, że jeśli jest coś, co udało się wreszcie państwu PiS skutecznie zorganizować i uruchomić, wprowadzając przy tym w zdumienie cywilizowany świat, to jest to właśnie ta afera.

Dzięki wysiłkom państwa PiS polskie wize są dziś na świecie towarem znanym i poszukiwanym. W mediach społecznościowych osoby z całego świata chwalą się, że posiadają polską wizę, żywo dyskutuje się o tym, gdzie, za ile i od kogo można najszybciej ten dokument kupić. Polska, która wielu obywatelom krajów Azji i Afryki kojarzyła się do tej pory z Lewandowskim, obecnie kojarzy się z łatwą do uzyskania za przystępną cenę polską wizą.

Skala działań urzędników państwa PiS wywołała zrozumiałe zainteresowanie międzynarodowych instytucji i światowej opinii publicznej. Przerażony kanclerz Niemiec zażądał od polskiego rządu natychmiastowych wyjaśnień, a zaskoczona rozmachem przedsięwzięcia unijna komisarz Johansson w specjalnym liście domaga się dokładnych danych na temat skali aktywności pisowskich służb



dypomatycznych i konsularnych. Trudno się dziwić – nigdy wcześniej żaden europejski rząd otwarcie nie handlował wizami własnego kraju i nie uruchomił kanału do przerzutu, za pieniądze, imigrantów z Azji i Afryki do Europy i Stanów Zjednoczonych.

Z ujawnionych dokumentów wynika, że po otwarciu w Łodzi nowoczesnego Centrum Decyzji Wizowych w MSZ poważnie myślano o wypuszczeniu miliona polskich wiz, niestety ambitne plany pokrzyżowali politycy opozycji, którzy powiadomili o wszystkim media i naskarżyli na polski rząd do UE.

**W** wyniku antypolskich donosów tych polityków nowo otwarte Centrum trzeba było zamknąć, a polskich wiz pracowniczych może teraz nie otrzymać nawet milion chętnych. Mnie osobiście najbardziej szkoda dużej grupy filmowców z Bollywood, na których sprowadzeniu bardzo zależało ministrowi Glińskiemu. Nie wiem, po co Glińskiemu tylu filmowców, może chciał im powierzyć nakręcenie tych patriotycznych filmów, których nie chcą nakręcić nasi filmowcy, mimo że Gliński obiecał je Polakom. Co prawda media informują, że filmowcy z Bollywood, na wydanie wiz którym miał nalegać Gliński, nie mają nic wspólnego z przemysłem filmowym, ale to akurat lepiej, bo – jak wiadomo – z filmowcami mającymi coś wspólnego z przemysłem filmowym ten minister dogaduje się bardzo słabo.



## Rewolucyjny krok w cyfrowej komunikacji z administracją publiczną

**Wizyty w urzędach, wypełnianie druków czy stanie w kolejkach, to wszystko zabiera przedsiębiorcy cenny czas. A przecież czas to pieniądz. Dlatego od grudnia 2023 r. firmy będą mogły korzystać z cyfrowej komunikacji z urzędami. Usługa e-Doręczeń, która jest elektronicznym odpowiednikiem tradycyjnego listu poleconego, stanie się codziennością. To kolejne narzędzie zwiększające cyfryzację państwa, a co za tym idzie, ułatwienie prowadzenia biznesu.**

W biurze słychać charakterystyczny dźwięk drukarki, która wydaje kolejne dokumenty. Podpisy, kolejne kartki, znowu podpisy. Następnie koperta i spacer na pocztę. Tak w wielu firmach wygląda rutynowa procedura wysyłania dokumentów do urzędu.

Nawet w średniej wielkości spółkach ilość dokumentów, która krąży pomiędzy różnymi jednostkami administracji publicznej a firmą, jest wręcz nie do zliczenia. Urząd Skarbowy, ZUS, Urząd Wojewódzki – papierowa komunikacja wymaga drukowania oraz wielu wizyt na poczcie. Usługa e-Doręczeń, stopniowo wprowadzana do kolejnych sektorów gospodarki, ma na celu zmienić ten stan rzeczy i ułatwić komunikację pomiędzy przedsiębiorcami a urzędami.

### Wygodniej, szybciej i bezpieczniej

Czym są e-Doręczenia? To elektroniczny odpowiednik listu poleconego za potwierdzeniem odbioru. Podmioty publiczne i firmy, w określonym czasie będą zobligowane (a obywatele już mogą) korzystać z wygodnych i bezpiecznych przesyłek elektronicznych. Bez wychodzenia z biura już dziś można wysłać pismo, które jeszcze niedawno było wysyłane tradycyjną pocztą. Cały proces odbywa się bezpiecznie, a także umożliwia łatwą identyfikację adresata oraz zachowanie tajemnicy korespondencji.

Co ważne, e-Doręczenia są równoważne prawnie tradycyjnej przesyłce poleconej za potwierdzeniem odbioru. Obowiązek posiadania adresu do e-Doręczeń dotyczy wszystkich podmiotów publicznych, przedsiębiorców i zawodów zaufania publicznego.

Przedsiębiorcom zawsze brakuje czasu, dlatego proces komunikacji z urzędami i jednostkami publicznymi w formie online, jest prawdziwym udogodnieniem. Dzięki e-Doręczeniom przedsiębiorcy będą mogli wysłać i odbierać elektroniczne „listy polecone” każdego dnia, o dowolnej porze, z dowolnego miejsca, za pomocą komputera, tabletu czy smartfona. To właśnie te korzyści stanowią największe zalety posiadania przez firmę adresu do e-Doręczeń, umożliwiając jeszcze wygodniejszy i bardziej elastyczny kontakt z instytucjami publicznymi.

### Kiedy i dla kogo e-Doręczenia będą obowiązkowe?

W dłuższej perspektywie obowiązek korzystania z e-Doręczeń będzie dotyczył wszystkich podmiotów publicznych oraz firm rejestrowanych w KRS i CEIDG. Jednak nie wszystko wydarzy się od razu. Najwcześniej, już od 10 grudnia 2023 r., obowiązek posiadania adresu do e-Doręczeń i korzystania z tego systemu zostanie wprowadzony w takich jednostkach, jak: organy administracji rządowej, ZUS, KRUS, agencje wykonawcze, instytucje gospodarki budżetowej, państwowe fundusze celowe, samodzielne publiczne zakłady opieki zdrowotnej, PAN, NFZ oraz uczelnie publiczne.

Od **10 grudnia 2023 r.** obowiązek ten będzie dotyczył także firm, które rejestrują swoją działalność w Krajowym Rejestrze Sądowym właśnie po tym terminie. Natomiast przedsiębiorstwa zarejestrowane



w KRS przed tą datą, będą musiały złożyć wniosek o założenie skrzynki do **10 marca 2024 roku**.

W przypadku firm zarejestrowanych w rejestrze CEIDG, kalendarium wygląda nieco inaczej. Od **1 stycznia 2024 r.** adres do e-Doręczeń będzie można założyć podczas rejestracji firmy w CEIDG. Natomiast przedsiębiorstwa założone przed tą datą, na założenie skrzynki będą miały czas do **30 września 2026 r.**

– *Stopniowo wprowadzamy obowiązek posiadania adresu do e-Doręczeń, co stanowi kolejny, bardzo ważny krok w procesie cyfryzacji usług w Polsce i przyniesie wiele korzyści dla całego społeczeństwa. Z pewnością przyczyni się do oszczędności oraz usprawnienia codziennej pracy wielu przedsiębiorców, ale również administracji państwowej* – podsumowuje **Olga Semeniuk-Patkowska, wiceminister rozwoju i technologii**.

Wprowadzenie usługi e-Doręczeń stanowi prawdziwą rewolucję w sferze komunikacji z administracją publiczną. Ten krok przyspieszy wiele procesów i ułatwi kontakt z urzędami.

Przedsiębiorcy zarejestrowani w Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej (CEIDG) lub Krajowym Rejestrze Sądowym (KRS), jeśli jeszcze nie korzystają z adresu do e-Doręczeń, mogą go założyć już dziś. Wystarczy wejść na stronę **Biznes.gov.pl/e-doreczenia** i złożyć wniosek o założenie adresu. Nawet jeśli przepisy dają jeszcze sporo czasu, warto to zrobić już dziś!

# Skąd brać optymizm?



Jerzy Baczyński

**J**uż można sobie wyobrazić, jak TVP i politycy PiS skomentują „marsz miliona serc”, który ma się odbyć 1 października. Będzie ogłoszona porażka Tuska, bo na marszu na pewno nie było miliona, ale „według ocen dziennikarzy TVP” najwyżej 100 tys. Już słyszę o skonfliktowanej opozycji, marszu „zwolenników nieograniczonego otwarcia granic dla imigrantów” czy „obozu zdrady narodowej”, ludzi, którzy gotowi byli oddać wschodnią Polskę pod okupację rosyjską. Wymyślanie innych inwektyw – a na pewno będą – zostawiam sztabowi wyborczemu PiS; pewnie te narracje już są zresztą gotowe. Po wielkim marszu 4 czerwca propagandę PiS na kilkadziesiąt godzin zatkało, długo próbowano marsz przemilczeć, minimalizować, potem wrzucano parosekundowe migawki, które miały ilustrować „agresję tłumu”, ale trauma i narracyjny chaos po 4 czerwca trwały w obozie władzy wiele dni. Teraz na pewno są lepiej przygotowani, bo też i stawka jest wyższa. Dwa tygodnie do wyborów. Tamten czerwcowy entuzjazm co prawda nie przyniósł przełomu w sondażach, ale dał wyborcom antyPiSu najbardziej deficytowe wtedy emocje: poczucie wspólnoty, siły, nadzieję wygranej, optymizm. 1 października ma tamte emocje przypomnieć i wzmocnić, dodać wyborcom i aktywistom energii i wiary na ostatnią fazę kampanii, przekonać, pociągając niezdecydowanych. Jak mówi Donald Tusk, gospodarz marszu, w wywiadzie dla POLITYKI: „Największym sojusznikiem władzy autorytarnej i skorumpowanej jest społeczna apatia, nie-wiara w możliwość zmiany”.

**A**propoz „niewiary”. Przy okazji promocji dwóch książek, które właśnie ukazały się w naszym wydawnictwie (Mariusza Janickiego i Wiesława Władyki „Symetriści” oraz moje „PrzyPiSy, czyli krótka historia 8 długich lat”), mamy ostatnio dość intensywne i bezpośrednie kontakty z czytelnikami. Oczywiście, że są to głównie „kwalifikowani wyborcy” opozycji, ponadprzeciętnie zainteresowani polityką, mający wyrobione oceny i opinie, pewni udziału w głosowaniu. Bez trudu zgadzamy się w opisie tego, jak PiS zdewastował i sprywatyzował polskie państwo, jak podzielił społeczeństwo, popsuł nasze stosunki z Unią, z sąsiadami, jak rozhuśtał najgorsze emocje i resentymy. (O głębokim kryzysie rozwojowym Polski po latach rządów PiS pisze Edwin Bendyk na s. 44). Jest potrzebna potrzeba zatrzymania „tego szaleństwa” i jednocześnie obawa, niepokój, „czy damy radę”, bo chyba wszyscy wyborcy opozycji są świadomi ogromnej, nieuczciwej przewagi PiS.

Nie chodzi tylko o dominację finansową (wzmocnioną tzw. referendum, o czym mówi Róża Rzeplińska na s. 26), o manipulowanie ordynacją wyborczą, wykorzystanie w kampanii służb specjalnych, prokuratury, mediów państwowych – mówimy i piszemy o tym co tydzień. Jednak wiele osób uważa, że PiS występuje w tej kampanii jeszcze w dwóch zakamuflowanych postaciach, na co łatwo się nabrać: to Konfederacja, której mandaty trzeba – mimo szumnych deklaracji jej liderów – dodawać do PiS, oraz nowa ogólnopolska partia o nazwie

Bezpartyjni Samorządowcy (szerzej na s. 24), której sensem istnienia jest odebranie choćby 2–3 proc. głosów opozycji i zepchnięcie pod 8-procentowy próg Trzeciej Drogi. Wciąż powraca pytanie: czy w tych warunkach te wybory jeszcze można wygrać? Skąd brać optymizm? No to zrobmy małe ćwiczenie.

**1. Sondaże.** Wskazują wygraną PiS, jednak żadne jak dotąd (poza jednym badaniem państwowego CBOS) nie dają tej formacji samodzielnej władzy. Możliwość stworzenia rządu PiS z Konfederacją lub z grupą posłów wyciągniętych z tej i z innych partii zależy głównie od tego, ile mandatów zdobędzie PiS. Jeśli poniżej 210, co dziś najbardziej prawdopodobne, otworzy się możliwość nowych wyborów i choćby na czas kampanii odstawienia PiS od władzy. W najpopularniejszych w Polsce zakładach bukmacherskich PiS pozostaje faworytem, ale np. w komentarzu z 15 września przeczytałem, że „82 proc. graczy stawia na powrót na fotel premiera Donaldal Tuska, Mateusz Morawiecki ma 14 proc.”.

**2. Wyborcy opozycji.** Od ich mobilizacji zależy zwycięstwo nad PiS. Statystycznie przeciwników obecnych rządów jest dużo więcej niż zwolenników, w proporcji 60:40 albo jeszcze wyraźniej. Także wśród niezdecydowanych, stanowiących (według badań Fundacji Batoryego) ok. 16 proc. zamierzających wziąć udział w głosowaniu, większość nie poprze PiS. Byle poszli do wyborów. Trwa kilka społecznych kampanii profrekwencyjnych, adresowanych głównie do młodych kobiet, z których połowa wciąż nie wie, czy zagłosuje. Marsz 1 października to też część tej kampanii „idź na wybory”, zwłaszcza że pomysły marszu zrodził się po słynnej „sprawie pani Joanny z Krakowa” i obrona praw kobiet będzie jednym z jego głównych haseł. W ogóle im bliżej wyborów, tym silniejsze ożywienie wyborców opozycji: już 70 tys. osób zgłosiło się do kontroli głosowania, trwa spontaniczna akcja przenosin do „wymagających pomocy” okręgów. Tysiące ludzi bierze udział w wiecach i konwencjach partii opozycyjnych, w spotkaniach z kandydatami, roznoszą ulotki, wieszają plakaty. Ale decydujące będą ostatnie dwa tygodnie – marsz od 1 do 15 października.

**3. Partie opozycyjne.** Radzą sobie coraz lepiej; wszystkie miały udane wiece, ostatnio w Kielcach świetnie wypadła Trzecia Droga. Nikt nie może powiedzieć, że partie nie mają programu pozytywnego; tych propozycji jest mnóstwo, z różnych dziedzin, i coraz lepiej są promowane także w internecie i mediach społecznościowych. Partie wybrnęły też zręcznie z pułapki referendalnej, jaką zastawił PiS, łamiąc zasadę tajności wyborów: nie ma wezwań do bojkotu, co mogłoby część wyborców w małych miejscowościach (gdzie trudniej odmówić wzięcia karty) zniechęcić w ogóle do udziału w wyborach; można głosować, wrzucać puste lub przedarte kartki, zakreślać (jak na Węgrzech s. 62) wszystkie kratki na tak i na nie – to nie ma znaczenia, tak jak całe to referendum i jego wyniki. Nie ma też już (prawie) wzajemnych ataków partii i liderów opozycji; nawet nieobecność Trzeciej Drogi na marszu 1 października nie budzi już złych emocji, wygląda po prostu jak próba umocnienia się tej formacji wśród – ważnych dla ostatecznego wyniku – wyborców młodszych, „niespolaryzowanych”.

**4. Obóz władzy.** Już prawie nie ma mowy o żadnym programie, nawet kupowaniu wyborców. Jest jazda bez trzymanki, wszechszczucie, gra polską racją stanu, powagą państwa, wszystkie nieczystości w kampanijny wentylator. Błaszczak „odtajnia” zmanipulowane plany obronne sprzed kilkunastu lat, aby udowodnić „zdradę” nie tylko Tuskiemu, ale także polskim oficerom, generałom, sztabowi NATO. Morawiecki szokuje świat i sojuszników, ogłaszając, że w odwecie za napływ ukraińskiego zboża do Polski wstrzyma pomoc wojskową dla walczącej, także w naszej obronie, Ukrainy. Dramatycznie próbuje się przykryć aferę wizową, m.in. niezwykle brutalnymi atakami na film Agnieszki Holland (więcej s. 20, 90, 98), gdzie ona jest „żydokomuna”, a widzowie świniami. Jeśli to nie są objawy paniki, to na pewno ponurej desperacji, poczucia, że to bój ostatni, lęku przed upadkiem i odpowiedzialnością.

Tusk i liderzy opozycji wierzą w wygraną. I chyba można im wierzyć.

## Minister ujawnia plany

**M**ariuszowi Błaszczakowi chyba zabrakło satysfakcji z powodu szczerze podpisywanych kontraktów zbrojeniowych i postanowił zaatakować manewrem oskrzydlająco-szkalującym Donalda Tuska i ministra obrony Bogdana Klicha. Wypuścił spot wyborczy, a w nim... fragmenty ściśle tajnego „Plan użycia sił zbrojnych RP” z 2011 r. Pieczętowanie dobranych wersji mają dowodzić, że wschodnia część Polski miała zostać – o zgrozo! – oddana Rosjanom. Ubrany w zieloną koszulę, z miną ponurą Błaszczak obwieścił zdradę i postraszył, że Tusk pozwoliłby, by w Lublinie, Chełmie i Siedlcach Rosjanie dokonali zbrodni wojennych jak w ukraińskiej Buczy. Później pracownik TVP Michał Rachoń opublikował całą stronę tajnej „Oceny sił zbrojnych” z 2012 r., gdzie żółtym zakreslaczem podkreślono, że siły zbrojne przed przeważającym przeciwnikiem miały opóźnić i bronić się na dalszych rubieżach. A przecież, jak dowodzi Błaszczak, trzeba bronić się już na granicy. Jak w 1939 r. – dodaliby złośliwcy!

Pierwszy problem jest oczywisty: nie wolno ujawniać tajemnic wojskowych, nawet jeśli się rzekomo dezaktualizują. Wróg śledzi każdy przeciek, każdą publikację i może porównać to, co już wie o polskiej obronie, z tym, co z nonszalancją upublicznia Ministerstwo (jawnej) Obrony Narodowej. Ale plany z 2011 r. tworzone były przez sztab generalny z uwzględnieniem stanu posiadania wojska i założeniem, że Polski nie stać na samodzielną obronę. Zatem trzeba walczyć tak, by dać sojusznikom czas na przyjscie z pomocą. Jeden z wariantów



mógł zakładać cofanie się przed przeważającym wrogiem najdalej do linii Wisły. Ktoś mógłby więc zapytać, czy obecny zasób naszej armii jakoś radykalnie się powiększył od 2012 r.? Błaszczak może mieć nas obietnicą 500 HIMARSÓW i tysiąca Abramsów za pięć lat, ale teraz mamy nawet mniej niż w 2011 r., bo kilkaset czołgów przekazaliśmy Ukrainie. Można więc założyć, że we współczesnych planach zmienił się język na bardziej hurraulański, ale istota polskiej doktryny obronnej pozostaje ta sama. To grube naruszenie tajemnic państwa.

**D**ruga sprawa: planów nie tworzył ani Tusk, ani Klich, ale pisali je generałowie i oficerowie sztabu generalnego. Czy zatem oni też są winni planowania Buczy w Lublinie? Aż prosi

się o taki wniosek z wyborczych publikacji Błaszczaka i Rachonia. Jak się teraz panowie generałowie, wciąż służący w Wojsku Polskim, którzyście te plany jako pułkownicy w 2011 r. pisali, czujecie?

I jeszcze „drobny” problem: to nie plany polskie ujawnił Błaszczak, ale... natowskie. Jeśli tylko spojrzymy poza żółty zakreslacz Rachonia z ujawnionego dokumentu, to przeczytamy zdanie, że „Ocena sił zbrojnych” zawiera „uszczegółowienie treści zawartych w sojuszniczych planach wzmocnienia Polski” oraz „zadania przydzielone SZ RP przed dowództwa Sojuszu”. Czyli, że dokument polski jest tylko fragmentem tego, co w żargonie NATO określa się jako plany ewentualnościowe Sojuszu. Oby tylko NATO się do tej afery nie odniosło publicznie i samo nie ujawniło największej tajemnicy wojskowej: że Polacy już do reszty zgłupieli.

PIOTR ŁUKASIEWICZ

## Wolność, równość i PiS

**P**olicja przerwała wyborcze wystąpienie posłanki KO **Kingi Gajewskiej**, wciągając ją siłą do radiowozu, gdy opodal wiecu Mateusza Morawieckiego przez megafon usiłowała prostować kłamstwa rządu na temat afery wizowej. Policja nie przybyła natomiast na wezwanie Donalda Tuska, którego konferencję pod TVP zerwał jej gwiazdor Michał Rachoń. Tak wygląda równość tej kampanii wyborczej. Wyjaśnień na temat naruszenia immunitetu Kingi Gajewskiej zażądał RPO. Policja nie stwierdziła naruszenia. Wyjaśniła, że: po pierwsze, posłanka nie wylegitymowała się, mimo że miała na to aż kilkanaście sekund. Po drugie, policja nie zna wszystkich parlamentarzystów. Po trzecie, nie musi wierzyć na słowo, jak ktoś mówi, że jest posłanką. Po czwarte, wcale posłanki nie zatrzymała, tylko umieściła ją w radiowozie celem wylegitymowania. Po piąte, posłanka popełniła wykroczenie, zakłócając spokój i budząc zgorznienie. I po szóste, jej zgromadzenie nie było zgłoszone do urzędu miasta.

Po pierwsze, kilkanaście sekund to za mało na wylegitymowanie się. Po drugie, kwalifikacja prawna czynu: art. 51 Kodeksu wykroczeń (zakłócanie pokoju, porządku



publicznego, spoczynku nocnego lub wywołanie zgorznienia krzykiem, hałasem, alarmem lub innym wybrzykiem), jest wątpliwa w sytuacji, gdy chodzi o korzystanie z prawa wyborczego (kampania) i wolności debaty publicznej (na temat nielegalnego handlu wizami). Po trzecie, wylegitymowanie nie powinno się odbywać w radiowozie, bo wtedy dochodzi do zatrzymania. Po czwarte, nadużyto środków przymusu bezpośredniego, bo posłanka nie stawiała oporu. Po piąte, naruszono jej poselską nietykalność z powodu domniemanego wykroczenia, choć prawo

pozwała na to tylko w razie zatrzymania na gorącym uczynku w przypadku przestępstwa. I po szóste, posłanka miała prawo skorzystać z możliwości zgromadzenia spontanicznego, które zgłoszenia nie wymaga. Jak widać, to nie jest prawo dla wszystkich.

**O**równości w tych wyborach wiele też mówi ujawniona przez „Gazetę Wyborczą” sprawa inwigilowania Pegasusem przez ABW cztery lata temu emerytowanego generała Waldemara Skrzypczaka. Generał inwigilację wiąże z faktem, że spotykał się z liderami opozycji, którzy namawiali go do startu w wyborach. Wojskowi to – obok opozycji, samorządowców, pracodawców, adwokatów, rolników czy prokuratorów – kolejne środowisko inwigilowane w tamtej kampanii. Naiwnością jest sądzić, że to samo nie dzieje się teraz. Pegasusu już nie ma, ale władza, która rządzi służbami, ma do dyspozycji mnóstwo innych narzędzi, które dają ten sam efekt. Mogą ich używać, bo nie ma nad inwigilacją niezależnej kontroli. Nad policją zresztą też. Sprawa nadużycia przez nią władzy wobec posłanki Gajewskiej została zgłoszona do prokuratora Zbigniewa Ziobry. Innej nie mamy. Nie mamy też wolnych, równych i uczciwych wyborów. W 1989 r. też nie mieliśmy, ale się udało.

EWA SIEDLECKA

## Czyja będzie Polska?

**Karolina Lewicka**

Dziennikarka Radia TOK FM, wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka.



Postępująca od ośmiu lat prywatyzacja państwa przez PiS jest odbiciem pytania, które padło z ust Jana Olszewskiego w dniu upadku jego rządu przeszło 30 lat temu i brzmiało: „Czyja będzie Polska?”. Jarosław Kaczyński uporczywie do niego wraca, podobnież jego akolici.

Jacek Sasin w niedawnym wywiadzie dla tygodnika „Sieci” ubolewał, że „znowu musimy sobie zadać to pytanie”. Od premiery dowiadujemy się, że Polska może należeć do wszystkich lub tylko do oligarchów, prezes PiS inaczej stawia akcenty, zwłaszcza w końcówce tej kampanii wyborczej: „Czy Polska jest Polaków, czy tylko niektórych Polaków, a może w ogóle nie-Polaków?”. Prezes nie przepuścił okazji, jaką była premiera filmu Agnieszki Holland „Zielona granica”, i jeszcze wyostrzył podział na swoich oraz będących „armią Putina” obcych. Antypolscy są wszyscy ci, którzy nie głosują na PiS, innego kryterium nie ma. Poza narodową wspólnotę wyrzuca się więc ogromną część społeczeństwa, bez oglądania się na długofalowe konsekwencje, bo Kaczyńskiego zajmuje wyłącznie utrzymanie władzy, *per fas et nefas*.

A jednocześnie trwa zagarnianie Polski, wszystkich tych jej zasobów, po które – niczym po wojenny łup – mogą sięgnąć i sięgają ludzie partyjnego aparatu. Znajduje to także odbicie w języku Kaczyńskiego, dla którego zdobycie władzy było równoznaczne z „odzyskiwaniem” resortów oraz instytucji, jak gdyby były one kontrolowane przez siły wrogie, wręcz okupacyjne, stąd konieczność przeprowadzenia do spodu czystki kadrowej. Kolejnym krokiem było dojenie państwa, prymitywne i na bezprecedensową skalę przepompowywanie pieniędzy do partii i do prywatnych kieszeni. Bo pytanie „czyja będzie Polska?” ma wymiar wyłącznie praktyczny:

Polska ma być PiS-u, a przede wszystkim prezesa Kaczyńskiego – jego prywatnym folwarkiem.

W programie wyborczym PiS czytamy, że postkomunizm, którego widmo, zdaniem prezesa, wciąż krąży nad Polską, traktował władzę jako cel sam w sobie, a „jej utrzymaniu miała służyć rozbudowana propaganda, walka z pluralizmem mediów, kreowanie wewnętrznego wroga oraz odwoływanie się do socjotechniki. System ten zasadał się na społecznej apatii, zawłaszczaniu państwa i zwalczaniu obywatelskiej krytyki władzy”. To autocharakterystyka, będąca znanym psychologom zjawiskiem projekcji. Zastosowanie znajduje też inny mechanizm, typowe dla populistów mamienie

społeczeństwa, że odzyskuje się państwo dla nich. A nim się obejrzą, tracą podmiotowy status obywateli i już jako klienci wiszą u pańskiej klamki. Bo folwark jest przestrzenią hierarchiczną, a rządca nie jest sługą fornali.

Z wywiadu „Nadgonić czas...” ze Zdzisławem Najderem, autorem pamiętnego przemówienia Olszewskiego, możemy się dowiedzieć, że pierwotnie przywoływany fragment tekstu brzmiał inaczej – premier miał powiedzieć, że „to – jaka będzie Polska – to się dopiero musi rozstrzygnąć”, ale zamienił „jaka” na „czyja”. I tylko w takiej nowej formie to pytanie mogło pójść z Jarosławem Kaczyńskim w kolejne dekady. Bo preza w ogóle nie interesuje stan państwa – kraj może być słaby, zadłużony, osamotniony na arenie międzynarodowej, ustrojowo przesunięty na Wschód, wszystko to furda! Liczy się tylko stan posiadania Nowogrodzkiej.

Takie podejście właściwie wyklucza tranzycję władzy. Bo wygrana opozycji oznacza, że PiS traci wszystko lub prawie wszystko, okopami Świętej Trójcy może być Pałac Prezydencki czy NBP, to mało dla tak żarłocznej partii jak PiS. Kaczyński z Morawieckim będą się chwycić wszystkiego, byle tylko Polski nie wypuścić z rąk. Rozmawiali się w byciu właścicielami, a zmiana tego stanu rzeczy napawa ich lękiem. Stąd ta potęgowana z dnia na dzień narracja, że Polska albo będzie PiS-u, albo jej nie będzie wcale.

## Strażak Probiez

Misję wyciągnięcia piłkarskiej reprezentacji z bagna, w które sama się wpakowała – w kwalifikacjach do mistrzostw Europy wyprzedza w grupie tylko Wyspy Owcze – dostał **Michał Probiez**, zaufany człowiek prezesa PZPN Cezarego Kuleszy, z czasów wspólnej pracy w relacji właściciel-trener w Jagiellonii Białystok.

Probiez niedawno skończył 51 lat, a trenerem jest dobre pół życia. Dość szybko zdał sobie sprawę, że jako piłkarz wielkiej kariery nie zrobi – w słabej polskiej lidze grał w przeciętnych zespołach, nie poradził sobie na zapleczu niemieckiej Bundesligi. Postawił więc na kursy szkoleniowe, które łączył zresztą przez jakiś czas z trenowaniem zespołów dziecięcych oraz halowych. Jako trener klubowy lokalne sukcesy na polskim podwórku – przede wszystkim Puchar Polski – przeplatał kompletnie nieudanymi epizodami. Wyrobił

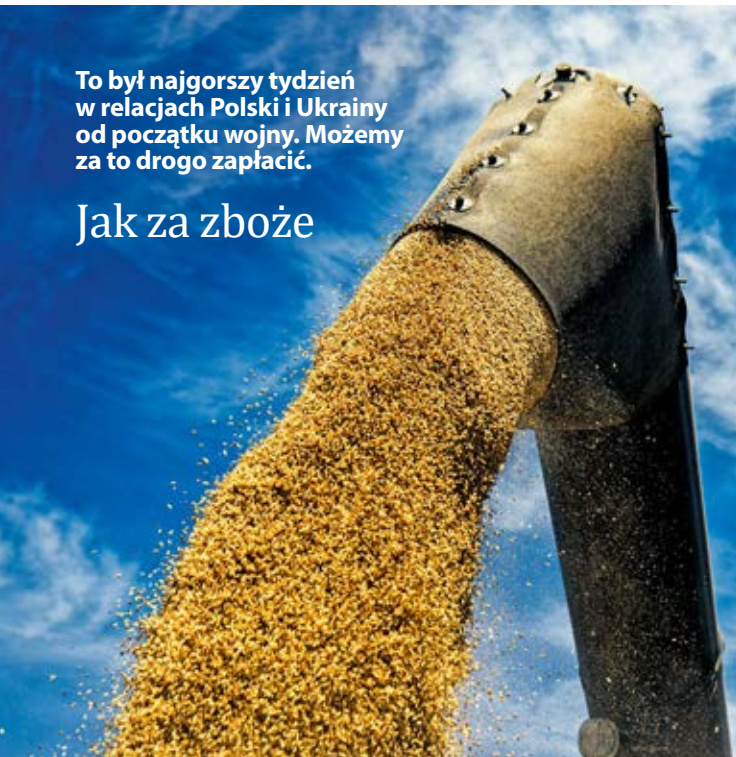


sobie jednak renomę człowieka odczytane go i inteligentnego, mającego perspektywę wykraczającą poza „trenerkę”. Dlatego właściciel Cracovii Janusz Filipiak zrobił Probieza jednocześnie trenerem i wiceprezesem. Spędził w tej podwójnej roli cztery lata, ale projektu na miarę ambicji właściciela nie stworzył.

W europejskich pucharach zaliczył pa-smo klęsk. Prowadzone przez niego zespoły odpadały już w rundach kwalifikacyjnych m.in. z rywalami z Grecji, Słowacji, Cypru i Kazachstanu. Probiez narzekał potem na błędy sędziów oraz własnych piłkarzy, stan boiska i odwieczne niedomaganie systemowe: słabą bazę infrastrukturalną oraz posezonowy exodus piłkarzy, na miejsce których trzeba szukać zastępców z łapanki. W reprezentacji Probiez ma nieograniczony komfort budowy drużyny – żaden zawodnik nie odmówi mu powołania. Mówi się o nim, że nie znosi sprzeciwu, jest apodyktyczny i wybuchowy. Swego czasu konflikt z szatnią kosztował go posadę w Wiśle Kraków. W reprezentacji zderzył się z zawodnikami na co dzień funkcjonującymi w zachodnich realiach futbolowych i mającymi tam styczność z fachowcami, przy których CV Probieza nie robi żadnego wrażenia. Może selekcyjner zaimponuje im, cytując fraszki Jana Sztaudyngera, którego twórczość zna ponoć na wrywyki. (MP)

To był najgorszy tydzień  
w relacjach Polski i Ukrainy  
od początku wojny. Możemy  
za to drogo zapłacić.

## Jak za zboże



**K**omisja Europejska 15 września nie przedłużyła embarga na niektóre produkty rolne z Ukrainy do pięciu państw wschodniej flanki Unii, w tym do Polski. W reakcji Warszawa wprowadziła swoje embargo – wbrew unijnemu prawu, ale zgodnie ze specyficznym pojmowanym interesem narodowym, nieprzypadkowo pokrywającym się z interesem PiS przed zbliżającymi się wyborami. I się zaczęło.

W poniedziałek, 18 września, Ukraina złożyła skargę do Światowej Organizacji Handlu (WTO) na Polskę oraz na Węgry i Słowację, które również wprowadziły embarga (Słowacja już się z niego wycofała). Po ostrych słowach ukraińskich ministrów na całość poszedł prezydent Wołodymyr Zełenski, który 19 września w ONZ powiedział, że „niektórym z naszych przyjaciół w Europie wydaje się, że grają na siebie, a w rzeczywistości pomagają przygotować scenę dla aktora z Moskwy”. Tego samego dnia prezydent Andrzej Duda oświadczył w wywiadzie: „W konflikcie o zboże Ukraina zachowuje się jak tonący, a człowiek w takiej sytuacji może być niebezpieczny i wciągnąć innych w głębinę”.

Potem było już tylko gorzej. Politycy PiS zaczęli mówić o nie wdzięczności Ukraińców. Rzecznik rządu Piotr Müller zapowiedział, że w przyszłym roku Ukraińcy nie będą już otrzymywać dodatkowych świadczeń socjalnych. A premier Mateusz Morawiecki w Polsce przyznał: „Nie przekazujemy już żadnego uzbrojenia, bo my sami się teraz zbroimy w najbardziej nowoczesną broń”, co natychmiast podchwyciły z wielkim zdziwieniem zachodnie media. Polska miała opinię oddanego i najwierniejszego sojusznika Ukrainy, a polskie społeczeństwo zasłynęło z bezgranicznej gościnności wobec napadniętych sąsiadów. Ten obraz miał teraz runąć na skutek kampanii wyborczej PiS? CNN napisał: „Kijów i Warszawa wzięły się za łby”. A zapytany przez kanadyjskich dziennikarzy o relacje z Polską Zełenski odpowiedział: „Pomagasz Ukrainie albo Rosji”.

**T**o wielka odmiana wobec sytuacji z początku wojny. Wówczas obopólna sympatia i entuzjazm sprawiły, że gdy Komisja Europejska zaproponowała wpuszczenie ukraińskiego zboża na unijny rynek (mówiono o tranzycie, ale nie wykluczono też sprzedaży), nikt nie protestował. Od razu było jednak jasne, że nieograniczony napływ zboża do Polski spowoduje nie tylko zapchanie się infrastruktury tranzytowej (silosów, portów) i w ten sposób utrudni

eksport polskiego zboża, ale też będzie stanowił konkurencję dla polskiej produkcji, przed czym przestrzegał, atakowany wtedy przez PiS, Donald Tusk.

Dlatego w maju tego roku polski rząd wraz z kilkoma innymi państwami regionu przekonał Komisję do wprowadzenia embarga na import ukraińskich produktów rolnych, w tym przede wszystkim pszenicy, do Bułgarii, Polski, Rumunii, Słowacji i Węgier (tranzyt pozostał bez zmian). I właśnie brak jego przedłużenia wywołał dyplomatyczną pyskówkę. Sama Komisja nie jest bez winy. O ile wpuszczając w zeszłym roku ukraińskie zboże do Unii, zachowała się „po polsku” (z entuzjazmem, nie myśląc o konsekwencjach), to już decyzja o nieprzedłużeniu embarga, a szczególnie jej uzasadnienie – że nie ma już zakłóceń na wspólnym rynku (co może jest prawdą w Portugalii, ale nie w Polsce), nosi znamiona decyzji politycznej.

**Z**kolei po stronie ukraińskiej warto oddzielić retorykę od rzeczywistych posunięć. Kilka dni temu Ukraina zapowiedziała, że w odwecie za zboże wprowadzi zakaz importu polskich jabłek, cebuli i warzyw. Zabrzmiało groźnie, ale tych produktów eksportujemy niewiele. Gdyby Ukraina naprawdę chciała nam wypowiedzieć wojnę handlową, to nałożyłaby szlaban na polskie produkty mleczarskie, na eksporcie których nasze mleczarnie zarabiają krocie.

Ukraińskie plody rolne, takie jak pszenica, wydają się zagrożeniem dla polskiego rynku, ale inne kraje „przyfrontowe” widzą w nich szansę na zarobek. Rumunia rozbudowuje infrastrukturę i już zarabia na transporcie ukraińskiego zboża przez swoje porty naddunajskie, w tę stronę zmierza też Bułgaria. Po wycofaniu się Słowacji z embarga zostaliśmy na placu boju tylko z Węgrami.

Zakaz importu ukraińskiego zboża popiera spora część Polaków. Co na nim zyskujemy? Nic, bo od naszego zakazu jego ceny na europejskim rynku nie wzrosły i nie wzrosną, sytuacja naszych rolników jest nadal zła. Marnujemy natomiast szansę, którą już teraz wykorzystują inne kraje – Francuzi, Holendrzy, Niemcy – rozmawiając z Ukrainą na temat inwestycji w ukraiński przemysł spożywczy.

Europie potrzebna jest tania żywność wysokiej jakości. Ukraińcy, na razie, mają tylko tanie plody rolne, rozwiniętego przemysłu spożywczego na Ukrainie nie ma. Takiego, który jest w stanie spełniać surowe europejskie standardy, takiego, który ma Polska. Ale już teraz trwają intensywne rozmowy Ukraińców z zachodnim biznesem na temat inwestycji, które zaczną się, jak tylko skończy się wojna. Polska w nich nie uczestniczy.

**N**a poziomie dyplomatycznym zaskakujący jest jeszcze wątek niemiecki. Opierając się na ostatnich wypowiedziach prezydenta Ukrainy, który m.in. zaapelował w ONZ o stałe miejsce w Radzie Bezpieczeństwa dla Niemiec, widać tu wyraźne zbliżenie. I oczywiście można się na to zżymać, biorąc pod uwagę co najmniej dwuznaczne zachowanie się Niemców na początku wojny i późniejszą obstrukcję pomocy dla walczących Ukraińców. Ale według naszych rozmówców kryje się za tym wyraźna reorientacja ukraińskiej polityki zagranicznej.

Po pierwsze, Niemcy – w odróżnieniu do Polski – mają jeszcze Ukrainie wiele do zaoferowania, w tym sprzęt wojskowy i wsparcie w odbudowie. Nie przypadkiem przyszłoroczne forum na temat odbudowy Ukrainy zaplanowano w Berlinie. Po drugie, Kijów jest zdania, że fundamentalny dla niego cel – członkostwo w Unii Europejskiej – jeśli w ogóle jest do osiągnięcia, to raczej ze wsparciem Berlina niż Warszawy skonfliktowanej z Brukselą.

Z polskiej perspektywy można to uznać za ukraińską megalomanię, ale Kijów rzeczywiście stara się grać w zupełnie innej lidze dyplomatycznej. Co w sumie wydaje się naturalną reakcją na fakt, że napadło ich mocarstwo atomowe – z podobnymi mocarstwami muszą się więc układać. Ale efektem ubocznym jest spadek znaczenia Polski jako aktora dziś w Europie jednak drugo- czy trzeciorzędnego.

JOANNA SOLSKA, ŁUKASZ WÓJCİK



## Sukcesja

**P**ierwotwór seniora rodu w głośnym serialu „Sukcesja”, 92-letni **Rupert Murdoch**, ogłosił w piątek, że odchodzi na emeryturę. Jego syn **Lachlan** przejmie po nim globalne imperium medialne, które – jak twierdzi wielu komentatorów – zmieniło bieg historii USA, Wielkiej Brytanii i Australii. „Bez tej potęgi Murdocha Donald Trump nie zostałby prezydentem, a Brytyjczycy nie wyszliby z Unii. Wyrządził ogromne szkody dla demokracji na całym świecie”

– twierdzi Malcolm Turnbull, były premier Australii. To właśnie z tego kraju pochodzi Murdoch, który przed 71 laty odziedziczył po ojcu wielką gazetę w Adelajdzie. Obecnie kontroluje dwie trzecie australijskiej prasy, popularne tabloidy w Wielkiej Brytanii i w Ameryce oraz poważne dzienniki, takie jak nowojorski „Wall Street Journal” i londyński „The Times”. Jednakże perłą w koronie Murdocha jest amerykańska telewizja Fox News, stworzona w 1996 r. na przekór stereotypom, że telewizja informacyjna powinna być wyważona i bezstronna.

Fox News jest bezwstydnie stronnicza (tzn. prawicowa) i nieustannie podsyca emocje. Stała się pionierką gatunku nazywanego *angertainment*, czyli „rozrywki opartej na rozwścieczeniu widzów”. Sukces biznesowy i polityczny był taki wielki, że Fox News sama padła jego ofiarą. Kiedy ogłosiła, że Trump przegrał wybory w listopadzie 2020 r., rozwścieczeni widzowie nie przyjęli tego do wiadomości i masowo przełączali się na bardziej radykalne klony Fox News. Żeby ratować wskaźniki oglądalności, Murdoch nakazał podwładnym, żeby promowali brednie Trumpa o „skradzionych” (czyli sfałszowanych) wyborach. Wiadomo to z maili ujawnionych w procesie o zniesławienie, jaki wytoczyła Murdochowi zliczająca głosy firma Dominion. Proces zakończył się ugodą w kwietniu br. – Fox News zapłaciła 800 mln dol. odszkodowania.

**M**urdoch zostawia Lachlanowi, swojemu najstarszemu synowi, niełatwy dylemat: jak pozostać liderem gatunku *angertainment*, kiedy jeszcze bardziej cyniczna konkurencja deptce po piętach, a poziom społecznego niezadowolenia jest tak wysoki, że zagraża wysadzeniem demokracji w powietrze (czego przedsam dał już atak tłumu na Kapitol dwa tygodnie przed zaprzysiężeniem Joe Bidena). Lub, mówiąc krócej: jak nie dać się pożyć rewolucji, którą się samemu wywołało.

## Indie, Kanada i Sikhowie

**P**remier Justin Trudeau ogłosił, że „istnieją wiarygodne przesłanki”, iż za zabójstwem mieszkającego w Kanadzie Sikha, Hardeepa Singha Nijjara, stoją indyjskie siły specjalne. Nijjar, obywatel Kanady, został zastrzelony w czerwcu przed sikhijską świątynią na przedmieściach Vancouver przez dwóch zamaskowanych sprawców, których nie odnaleziono. Należał do liczącej 770 tys. wspólnoty sikhijskiej w Kanadzie, największej poza Indiami, i był gorącym orędownikiem utworzenia Chalistanu, niezależnego państwa sikhijskiego na terenie Pendżabu, gdzie Sikhowie są w większości (w całych Indiach wyznawcy sikhizmu stanowią ok. 2 proc.).

**A**pogeum sikhijskiego separatyzmu przypadło na lata 80. i związane było z dwoma dramatycznymi wydarzeniami. Krwawo stłumionym powstaniem zbrojnym, zakończonym w 1984 r. szturmem na okupowaną przez separatystów Złotą Świątynię w Amritsarze, a także – w odwecie – zabójstwem premier Indiry Gandhi przez dwóch sikhijskich ochroniarzy, które wywołało falę pogromów.

Separatyzm sikhijski został spacyfikowany, przetrwał na emigracji: w Wielkiej



Brytanii, Australii i właśnie w Kanadzie. Nijjar był tu czołową postacią i ostatnio organizował wśród rodaków symboliczne referendum w sprawie wolnego Chalistanu, idei dziś utopijnej. Współnota podtrzymuje, że działał wyłącznie metodami pokojowymi. Indie uznawały go za terrorystę i wyznaczyły 1,2 mln dol. nagrody za jego głowę. Teraz wydarzenia eskalowały błyskawicznie: Indie uznały oskarżenie za „absurdalne” i uruchomiły antykanadyjską propagandę, obie strony usunęły dyplomatów, a Indie dodatkowo wstrzymały wydawanie wiz.

Sytuacja jest trudna i niewdzięczna. Dla Kanady i całego Zachodu Indie to dziś newralgiczny partner w powstrzymywaniu

rosnącej potęgi Chin (zresztą i z Chińczykami Kanada ma na pieńku, oskarżając ich o mieszanie w ostatnich wyborach). Indie pod rządami nacjonalisty Narendra Modiego budują międzynarodowy prestiż, z sukcesem przewodziły w Delhi grupie G20 oraz odbijają Kosmos, a jedno skrytobójstwo (patrz: Arabia Saudyjska po morderstwie dziennikarza Chaszodżdżiego) mogłoby nadwyrężyć te starania. Liczące 1,4 mld ludzi Indie są dziś w geopolityce bardzo potrzebne, stąd umiarkowane reakcje na rewelacje Trudeau największych zachodnich partnerów Kanady. W Kanadzie pojawiły się nawet opinie, że w swoim oburzeniu został sam.

## Karabach podbity

Azerbejdżan przejął pełną kontrolę nad Górskim Karabachem. Odzyskał swoje terytorium, co teoretycznie powinno kończyć 35 lat krwawego konfliktu toczącego z Armenią i społecznością karabachskich Ormian. Jednak w praktyce wydłuża tylko rachunek krzywd i zmienia układ sił na pograniczu Europy i Azji, otwierając pole do kolejnej poważnej konfrontacji. Wojska Azerbejdżanu potrzebowały ledwie jednodniowej ofensywy, by 20 września zmusić siły karabachskie do kapitulacji. Władze w Baku zapowiadają teraz integrację regionu z resztą kraju, obiecują negocjacje i konsultacje. Miejscowi Ormianie słyszą w tych zapewnieniach perspektywę przesładowania. Według Armenii jest ich 120 tys. Obawiają się zemsty i czystek etnicznych, napędzanych programową azerbejdżańską – jak mówią – antyormiańskością oraz autorytarnymi metodami reżimu prezydenta Ilhama Alijewa. W związku z tym jedynym wyjściem zdaje się im dziś ucieczka. Exodus już trwa, kilka tysięcy uchodźców zbiegło do Armenii, schroniło się w rosyjskiej bazie wojskowej i w połowym ośrodku, rozbitym na jedynym lotnisku w Karabachu.

Wrześniowe walki, w których zginęło kilkadziesiąt osób, a kilkaset zostało rannych, toczyły się przy apatii kontyngentu rosyjskich sił pokojowych. Karabach nie dostał też wsparcia siostrzanej Armenii.



Jej premier Nikol Paszynian pełną odpowiedzialnością za sytuację obarcza Azerbejdżan, robi też wyrzuty Moskwie, z którą Erywań jest przecież w przymierzu wojskowym. Natomiast Ormianie, którzy wyszli na ulicę, mają pretensje do Paszyniana i oskarżają go o bezczynność i pozostawienie Karabachu na pastwę Alijewa.

Los Paszyniana jest niepewny. On sam sugeruje, że okoliczności zechce wykorzystać Rosja, próbując destabilizować Armenię, która rozczarowana brakiem rosyjskiego wsparcia przepływała ostatnio ku Zachodowi. Ale nawet najwięksi tradycyjni przyjaciele, jak Francja, zdobyli się jedynie na potępienie napastników. Ceną wstawienia się za Ormianami byłby kurs kolizyjny z Turcją, sprzymierzoną z Alijewem i potrzebną Europie do blokowania migracji, a Rosji do wbijania klina w system zachodnich sankcji.

## Pierwszy Żołnierz Ameryki

Na szczycie sił zbrojnych USA kończy się era gen. Marka Milleya. Przysadzisty, siwiejący generał armii ustępuje miejsca szczupłemu, łysemu lotnikowi **Charlesowi Brownowi**, który postępuje się skrótem CQ zamiast imienia.



Gen. Brown wojsko ma w genach przez ojca i dziadka. Ale młody Charlie chciał być inżynierem. Gdy ukończył kurs oficerów rezerwy, wstąpił do czynnej służby i został pilotem, instruktorem i sztabowcem na następne 30 lat.

Brown nie będzie pierwszym czarnoskórym szefem połączonych sztabów. Pionierską nominację otrzymał w 1989 r. od George'a Busha seniora gen. Colin Powell. Ale po raz pierwszy w historii USA przedstawicielami czarnej mniejszości będą zarówno sekretarz obrony, Lloyd Austin, jak i jego najważniejszy wojskowy doradca. Już powołanie Browna trzy lata temu na zwierzchnika sił powietrznych było

znakiem kulturowego zwrotu prezydenta Bidena. Teraz konserwatywna prawica w nowym szefie sztabu widzi symbol politycznej promocji przedstawicieli mniejszości. Walka z *wokeizmem*, ich przebudzeniem społecznym, to jedno z ulubionych haseł populistów, w tym Donalda Trumpa. Jeśli więc Trump ponownie wygra wybory w 2024 r., relacje szefa sztabu do głównodowodzącym mogą być „ciekawe”.

W amerykańskim systemie szef sztabu niczym nie dowodzi, jest doradcą prezydenta i sekretarza obrony, którzy wydają rozkazy dowódcom regionalnym i odpowiedzialnym za globalne systemy wsparcia. Ale to przewodniczący i urząd połączonych szefów sztabów tworzą amerykańskie strategie. Ameryka wspiera dziś Ukrainę przeciw Rosji, ale przygotowuje się na konfrontację z Chinami. Brown lata służby spędził na Pacyfiku, ale odpowiadał za operacje w dowództwie w Ramstein, gdy Rosja pierwszy raz napadła na Ukrainę. Teraz na biurku będzie mieć i wojnę w Europie, i rywalizację w Azji, ale bardziej utrzymanie prymatu Ameryki bez wdawania się w walkę.

## Winolanie

Najpierw Unia Europejska, a teraz francuski rząd ruszyły na ratunek francuskiemu winu – chcą je niszczyć, aby zatrzymać spadające ceny. W lipcu Bruksela obiecała 160 mln euro na interwencyjny skup wina, teraz francuskie ministerstwo rolnictwa dorzuciło 200 mln euro. Z tak pozyskanego trunku można jeszcze wyciągnąć alkohol. Już nie spożywcy, ale wykorzystywany przy produkcji płynów do dezynfekcji, środków czystości i perfum. A to wcale nie był początek tej specyficznej akcji ratunkowej. W czerwcu to samo ministerstwo, przerażone spadkiem popytu, ogłosiło dopłaty do karczowania winnic – 6 tys. euro za hektar, lub do zmiany upraw, np. na oliwki.

Co się dzieje z winem? Według francuskiego rządu jego ceny pospadały w przeciągu ostatniego roku średnio o 20–30 proc. We francuskich supermarketach można kupić niezłą butelkę już za 2 euro. Powodów jest kilka.

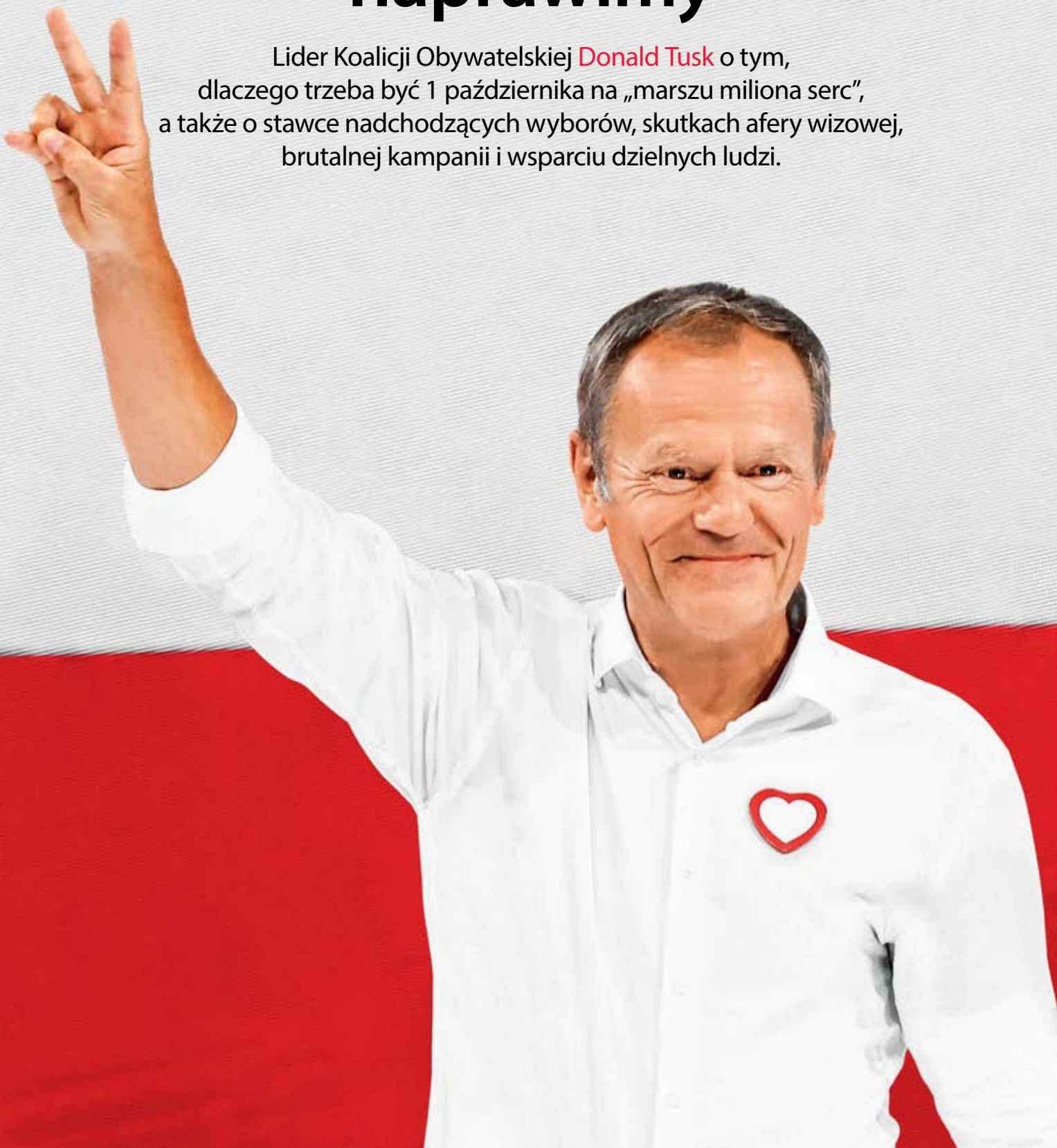


Po pierwsze, zmiana gustów – Europejczycy porzucają wino dla piwa. Po drugie, produkcja wina jest coraz droższa z powodu zmian klimatycznych, a ostatnio również wysokich kosztów energii. I po trzecie, spożycie tąpnęło w związku z pandemią (pozamykane restauracje i bary) i nie wróciło do wcześniejszych poziomów. Podobny kryzys winny Europa przerabiała już w pierwszych latach XXI w. Wówczas jednak problemem nie był spadek popytu, ale nadprodukcja spowodowana rozbudowanym systemem subsydiów. Tych jednak nie ograniczono i w 2022 r. Unia wydała na dopłaty dla producentów wina ponad miliard euro. A teraz, rok później, dopłaci za jego niszczenie.

Do wylewania wina przymierza się również Australia, czwarty producent na świecie (pierwsze są Włochy, potem Francja i Hiszpania). Ale z innych powodów. Australijczycy w rekordowym 2020 r. wyeksportowali do Chin wino za 1,2 mld dol. amerykańskich, ale już w tym roku – tylko za 8 mln. To efekt ceł nałożonych przez Pekin na australijskie towary z powodów politycznych – Canberra obrała bardzo antychiński kurs. Efekt jest taki, że Australijczycy mają na zbyciu równowartość 2,8 mld butelek wina – to ponad 100 butelek na obywatela.

# Zwyciężymy, rozliczymy, naprawimy

Lider Koalicji Obywatelskiej **Donald Tusk** o tym, dlaczego trzeba być 1 października na „marszu miliona serc”, a także o stawce nadchodzących wyborów, skutkach afery wizowej, brutalnej kampanii i wsparciu dzielnych ludzi.



JERZY BACZYŃSKI: – **Zaprasza pan na marsz 1 października również wyborców innych partii opozycyjnych? Jakie będąc główne przesłanie tego marszu, po co ludzie mają się zebrać?**

DONALD TUSK: – Formuła jest prosta: jeśli kochasz Polskę, przyjdź na marsz. Serce, które stało się naszym symbolem, nie ma barw partyjnych, tylko białe-czerwone. Nie będziemy się tam zajmować partiami ani moją, ani żadną inną. Idziemy tam wszyscy razem, podobnie jak w czerwcu. Polacy mają dość odmawiania im prawa do patriotyzmu. Przez ostatnie lata jeden zdmawiał milionom ludzi, że nie mają prawa do flagi, do godła, do Polski. W czerwcu ponad pół miliona wyszło na ulicę i powiedziało: to nasza flaga, to nasz kraj, nikt nie ma prawa nam tego odbierać. 1 października zrobimy to jeszcze raz, tylko głośniej.

Dołączają nowe środowiska. Odbudowuje się narodowa wspólnota. Pojedynczy człowiek w obliczu zorganizowanego zła może się czuć załamany i bezsilny. Mafia może zastraszyć i zniszczyć każdego, kto jest sam, ale jeśli dobrzy ludzie zbiorą się razem, zorganizują, to wtedy tym złym trzęsą się portki. Taki efekt dała pierwsza Solidarność. Ludzie muszą poczuć i pokazać swoją siłę. Największym sojusznikiem władzy autorytarnej i skorumpowanej jest społeczna apatia, niewiara w możliwość zmiany. Bezsilność i osamotnienie ludzi, każdego z osobna. 1 października wszyscy muszą zobaczyć, że to idzie cała Polska, że wybory to jest starcie Polska kontra PiS. Zaprosiłem liderów wszystkich partii demokratycznych, lewica zaproszenie przyjęła.

**Jak by pan najkrócej ocenił stan Polski w punkcie, w którym się teraz znajdujemy?**

Jako historykowi analogia ze stanem przedrozbiorowym wydaje mi się dość oczywista. Bałagan, bezhołowie, marnowanie szans, wszechobecna korupcja, osamotnienie, szukanie tożsamości w zacofaniu, coraz ważniejsze wpływy rosyjskie na szczytach władzy – to wszystko staje się coraz bardziej oczywiste. Po wiem brutalnie, gdyby czasy były inne, gdyby nie było UE, NATO, gdybyśmy wokół mieli wyłącznie drapieżnych sąsiadów, nasza państwowość nie przetrwałaby rządów PiS. Na szczęście jest inaczej i mamy szansę, aby ten upadek powstrzymać.

**Czy w ogóle wiemy, w jakim stanie jest Polska po tych ośmiu latach, gospodarka, finanse, kontrakty, które ta władza pozawierała? Czy nie jest tak, że ta nowa władza wejdzie jak żołnierze ukraińscy na pole minowe?**

Rząd Morawieckiego to najmniej transparentna ekipa od 1989 r. Brak przejrzystości w finansach publicznych stał się metodą rządzenia. Ciągłe ukrywanie danych, manipulowanie statystykami i narastający chaos w systemie prawnym, podatkowym i budżecie państwa utrudniają zadania ich następcom, ale na to jesteśmy przygotowani. Wciąż wysoka inflacja, spadek produkcji, spadek inwestycji, wzrost zadłużenia to konsekwencje ich nieodpowiedzialnej polityki, które siłą rzeczy utrudniają restart gospodarczy po wyborach. Przegląd kontraktów, głównie w zbrojeniówce i energetyce oraz tych związanych z CPK i innymi chybionymi projektami, to takie zadanie na pierwsze 100 dni.

**Czy kampania wyborcza przebiega zgodnie z paną przewidywaniami, czy coś pana w niej zaskoczyło, zdziwiło, zaniepokoiło?**

Zniknęło moje ostatnie złudzenie co do Kaczyńskiego. Może to państwa zdziwi, ale ludzilem się, że nie będzie grał sprawą fundamentalną, a więc bezpieczeństwem narodowym i państwowym bytem Polski. To, co robi w sprawie Ukrainy, te przedziwne piruety, pokazuje, że dla utrzymania władzy jest gotów realizować cudze geopolityczne scenariusze. Czasami mam wrażenie, że jest niesamodzielny, wręcz szantażowany, przerażony, że jakieś mroczne tajemnice ujrzą światło dzienne. Powód tego lęku jest drugorzędny.

Efekt jest straszny, przecież tuż koło nas toczy się wojna, która może zagrozić nam bezpośrednio, to nie jest czas na gierki. On o tym wie, a jednak ryzykuje bezpieczeństwo państwa.

Zresztą może byłem naiwny, bo czego spodziewać się po człowieku, który pozwala na przestępczy proceder masowego sprzedawania wiz w Azji i Afryce, a jednocześnie rozkręca spiralę nienawiści do obcych. To tylko przykład zachowań skrajnie nieodpowiedzialnych, spodziewam się kolejnych erupcji agresji i groźnych dla nas wszystkich pomysłów. Dlatego z taką determinacją buduję demokratyczną armię gotową na każdy scenariusz.

**Co do tej pory wiemy na temat afery wizowej? Jakie mogą być jej konsekwencje, skutki nie tylko wewnętrzne, ale i zewnętrzne?**

Najważniejsze konsekwencje to utrata reputacji i wiarygodności Polski, którą będziemy długo i z wysiłkiem odbudowywać. Dyskusja o przywróceniu kontroli na polskiej granicy zachodniej oraz naszej obecności w strefie Schengen to kolejny alarm dla wszystkich zwolenników polskiego członkostwa w Unii Europejskiej. Z dnia na dzień staliśmy się członkami już nie drugiej, ale trzeciej kategorii, praktycznie na wylocie. Rząd PiS łamie fundamentalne zasady i prawa Unii, zablokował fundusze, rozbija jedność Europy, za chwilę zamknie nas znowu w granicach. Co to za członkostwo bez unijnych funduszy i wolnego przepływu osób?

Trudno dziś jednoznacznie powiedzieć, ilu legalnych i nielegalnych imigrantów przedostało się do Polski i Europy wskutek pisowskiej afery wizowej. Wiemy, że tylko w lipcu i w sierpniu z Polski na zachód przedostało się 25 tys. nieuprawnionych, ale ilu pozostaje w naszym kraju – nie wiemy.

**PiS próbuje przykryć aferę wizową nagonką na Agnieszkę Holland oraz oskarżeniami, że gdyby PO i Tusk wrócili do władzy, urządziliby tu drugą Lampedusę, bo PO była zwolenniczką otwarcia granic i przymusowej relokacji. Czy mógłby pan raz jeszcze wyjaśnić, jaki jest rzeczywiste państwa stosunek do wyzwania migracyjnego?**

PiS zgotował Polsce i Europie Lampedusę do szczęciaru. Mówimy przecież nie o tysiącach, ale setkach tysięcy wiz i pozwoleń wydawanych dla obywateli państw afrykańskich i azjatyckich bez żadnej praktycznej kontroli wniosków. PiS zrobił z naszego państwa superprzemysłowca, z gigantyczną korupcją w tle. To jest fakt. Od początku kryzysu migracyjnego, jeszcze w 2015 r. jako prezydent Rady Europejskiej, forswałem jasne stanowisko: Europa i graniczne państwa członkowskie muszą skutecznie kontrolować swoje terytorium, swoje granice i ruch na przejściach. Jakkolwiek polityka migracyjna możliwa jest tylko wtedy, kiedy to państwo decyduje, kto przekracza jego granice. Najtrudniejsze zadania mają państwa Morza Śródziemnego. Twarde egzekwowanie prawa i procedur na granicy jest obowiązkiem każdej władzy, co nie może oczywiście oznaczać zgody ma nieludzkie traktowanie kogokolwiek. Tylko sprawne państwo i nieskorumpowane instytucje będą w stanie sprostać temu wyzwaniu.

**W narracji obozu władzy kwestia migracji jest kwestią bezpieczeństwa narodowego, ze sprawy bezpieczeństwa PiS robi główną oś swojej kampanii, a pana partię oskarża, że chciała „oddać połowę Polski Rosjanom”. Jak pan na to odpowiada i w ogóle jak pan ocenia tę politykę bezpieczeństwa PiS, także program zbrojeń ministra Błaszczaka? Co tak naprawdę jest najważniejsze dla polskiego bezpieczeństwa?**

Gdybym miał komentować każdą pisowską bzdurę czy propagandowe kłamstwo, nie miałbym na nic innego czasu. Generałowie i sztabowcy Wojska Polskiego publicznie wielokrotnie prostowali te brednie. Bezpieczeństwo, które miało być głównym atutem Kaczyńskiego w tej kampanii, okazało się jego piętą ▶



Konwencja Koalicji Obywatelskiej w Tarnowie. Poniżej: Tuskobus w Pile.

► achillesową. Niedawno opublikowano badanie pokazujące, że więcej wyborców wierzy w Koalicję Obywatelską niż w PiS jako siłę gwarantującą Polsce bezpieczeństwo.

Symbolem bezradności PiS w tej sferze stał się Błaszczak gubiący rakietę, Szymczyk strzelający z granatnika w swoim gabinecie i Morawiecki pozujący w dziwnych mundurkach na tle żołnierzy. Przemysłane zakupy, pełna kooperacja z partnerami w ramach NATO, kompetentny nadzór cywilny nad wojskiem, odpolitycznienie Sił Zbrojnych i aktywna obecność Polski w przedsięwzięciach takich jak Europejska Inicjatywa Tarczy, czyli tzw. kopuła powietrzna, to zadania, które staną przed nami po wyborach.

**Wydawało się, że przynajmniej w jednej sprawie w kwestii bezpieczeństwa jest zgoda między władzą a opozycją: chodzi o niezmiennie wsparcie dla walczącej Ukrainy. Rząd publicznie jednak podważył ten sojusz, powołując się na potrzebę obrony interesów polskich rolników. Czy to jest prawdziwa sprzeczność? Jak można byłoby rozwiązać ten niepotrzebny konflikt z Ukrainą?**

Na początku naszej rozmowy powiedziałem już, co myślę o tych cynicznych i bardzo dla Polski niebezpiecznych geopolitycznych piruetach Kaczyńskiego. Pokazał ostatnio, że jest zdolny poświęcić bezpieczeństwo Polski dla partyjnego interesu. Jego polityka wobec Ukrainy – od ściany do ściany, raz uległa, raz niemal wroga – sprawiła w konsternację wszystkich naszych sojuszników, włącznie z Waszyngtonem. W sprawie pomocy uchodźcom, ochrony polskich rolników, udziału Polski w powojennej odbudowie Ukrainy, rząd PiS sobie nie poradził. Kaczyński sprowadził Polskę na geopolityczne manowce, marnując przy okazji wielki wysiłek Polaków z pierwszych miesięcy wojny, który mógł się stać fundamentem nowego międzynarodowego ładu w naszym regionie.



**Wśród „100 konkretów na 100 dni”, które ogłosiła Koalicja Obywatelska, jest cała grupa propozycji związana z unormowaniem stosunków z UE i naszymi partnerami w Unii. Czy to rzeczywiście będzie możliwe w ciągu tych 100 pierwszych dni, kiedy wiadomo, że nowa władza nie będzie mogła zmienić ustaw ze względu na przypuszczalne weto Andrzeja Dudy?**

Po odsunięciu PiS od władzy zmieni się nastawienie prezydenta Dudy nie dlatego, że stanie się nagle mężem stanu dobrze rozumiejącym interesy swojego kraju, ale z oportunizmu. Uchylenie wielu decyzji PiS dotyczących rządów prawa i niezależności sądów nie będzie wymagało ustaw. Odbudowa pozycji Polski w Europie to jeden z najpilniejszych priorytetów. Jesteśmy do tego dobrze przygotowani, nikt też chyba nie odmówi mi kompetencji w tej dziedzinie.

**Tak brutalnej kampanii jeszcze nie mieliśmy. Jak pan i pana rodzina radzicie sobie z tymi nieustającymi atakami, szczególnie mediów rządowych, które ostatnio zaczęły przybierać niemal fizyczną formę?**

Ja już przeżyłem niejedno. Ciężko mnie złamać albo przestraszyć. Wychowywałem się w biedzie, jestem chłopakiem z podwórka, dorosłe życie też mnie nie rozpieszczało, a jako polityk widziałem już prawie wszystko. Niestety, moja rodzina też już stała się mocno doświadczona. Mam w niej wielkie wsparcie. Obrzydliwe ataki, kłamstwa – to wszystko faktycznie osiągnęło poziom obcy polskiej i europejskiej kulturze i tradycji. Nie ma już żadnych zasad ani świętości. Prawda wydaje się dla PiS przeżytkiem, a dobre wychowanie – słabością. Ale nasza rodzina jest silna, tak jak już kiedyś powiedziałem: miłość silniejsza jest od władzy. Brzmi patetycznie, ale życie dowiodło nie raz, że to prawda. No i nie jesteśmy sami. Choćby ostatnio w Lesznie, zupełnie spontanicznie przyszło prawie 3 tys. ludzi, czujących to samo i wiedzących, że chodzi o naprawę dużą stawkę.

**Czy obawia się pan o sam przebieg wyborów, o możliwość fałszerstw, problemów z uznaniem ich ważności?**

Do tego zadania oddelegowaliśmy naprawdę twardego zawodnika. Zajmuje się tym Sławomir Nitras. Współpracujemy w tej sprawie z KOD, a to jest prawdziwe wojsko demokracji. Nie odpuszczą. Do ochrony wyborów zgłosiło się już ponad 60 tys. dzielnych ludzi. Jestem spokojny. Nie odpuścimy.

**Wielu czytelników pyta o sugestie dotyczące samych wyborów. Co z referendum: brać udział, nie brać, bojkotować, drzeć kartki? Czy warto organizować podróże wyborcze, sprawdzać rejestry wyborców? Co należy zrobić, żeby nie dać sobie tych wyborów – jak pan mówił – „ukraść”?**

Kaczyńskiemu i jego urzędnikom udało się zdezorientować wielu wyborców. Ludzie codziennie mnie pytają, co robić z tym nieszczęsnym referendumentem. Odpowiadam z pełnym przekonaniem: niech każdy postąpi tak, jak będzie chciał – można karty nie odebrać, można zagłosować, pytania są proste, odpowiedź oczywista. Najważniejsze jest głosowanie na karcie wyborczej. Na tym wszyscy powinniśmy się skoncentrować.

Gotąco namawiam wszystkich do sprawdzenia przed wyborami, w jakim miejscu jesteśmy zarejestrowani jako wyborcy, szczególnie dotyczy to osób, które zmieniły adres lub wyjechały na dłużej w ostatnich latach. Nie pozwólmy, by nasze zaniechania i ich proceduralne machlojki wypaczyły faktyczną wolę wyborców.

**Jakie można sobie dzisiaj wyobrazić scenariusze po wyborach?**

Scenariusz jest jeden: zwyciężymy, rozliczymy, naprawimy krzywdy, pojednamy. Jest nawet dokładny, precyzyjnie obliczony scenopis: 100 konkretów na pierwsze 100 dni. Innych scenariuszy nie przewiduję.

**Jaka jest pana zdaniem całościowa stawka tych wyborów, jaki jest pana przekaz do wyborców opozycji, a jaki do wyborców PiS?**

To nie są typowe, zwyczajne wybory, spór o jakieś niuanse w programach. Albo będziemy żyli jak wolni ludzie w europejskim dostatku i bezpieczeństwie, albo pogrążymy się w chaosie i wewnętrznych konfliktach. Ten akt wyborczy musi być zwycięskim powstaniem przeciw systemowi, w którym nie liczą się zdolności, pracowitość, życzliwość, tylko posłuszeństwo i gotowość do podłości. Stawką jest przyszłość młodych i sens życiowego wysiłku starszych. Możemy na długo, może na zawsze, stracić coś wspaniałego. Wszyscy, bez względu na to, kto jest czym wyborcą.

ROZMAWIAŁ JERZY BACZYŃSKI  
(Współpraca Malwina Dziedzic)

## „PrzyPiSy, czyli krótka historia 8 długich lat”

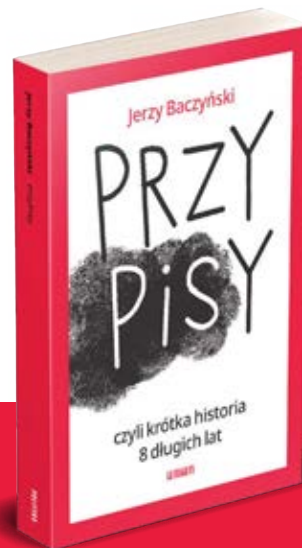
– najnowsza książka Jerzego Baczyńskiego,  
redaktora naczelnego tygodnika POLITYKA.

Osobisty dziennik podróży  
przez Polskę pod rządami PiS

Historia 2015–2023 w zbliżeniach

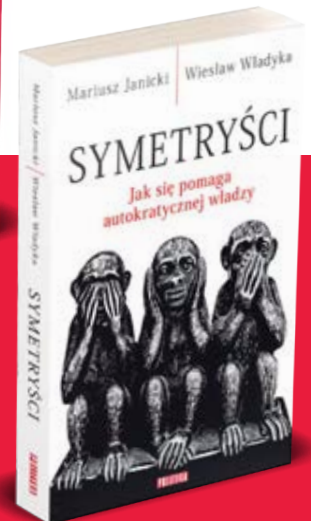
Przenikliwa krytyka  
populistycznej władzy

Z rysunkami Janka Kozy



Do 3 października  
książka w sprzedaży  
w salonach prasowych  
z tygodnikiem

**POLITYKA**



Książki dostępne także  
w księgarniach,  
na [sklep.polityka.pl](http://sklep.polityka.pl)  
oraz jako e-book.

„Nie straszcie PiS-em”  
„PiS-PO – jedno zło”  
„Opozycja nie ma programu”

Analiza zjawiska symetryzmu  
dokonana przez autorów tego pojęcia

Nowa książka Mariusza Janickiego  
i Wiesława Władysława, zawierająca  
niepublikowany wcześniej materiał

ATLANTIC OCEAN  
GLAUCUS ATLANTICUS



BIOCERAMIC  
SCUBA *Fifty Fathoms*  
COLLECTION  
ATLANTIC OCEAN



JB  
1735  
**BLANCPAIN**  
MANUFACTURE DE HAUTE HORLOGERIE

×

**swatch** 

Dostępne w wybranych sklepach stacjonarnych Swatch.



# Afera graniczna

Kolejny raz okazało się, że w produkowaniu populistycznego jazgotu PiS nie ma sobie równych. Wbrew nadziejom opozycji afera wizowa nie odmieniła dynamiki tej kampanii, jak dotąd angażując uwagę głównie już przekonanych wyborców. Choć w mobilizowaniu tych niezdecydowanych wciąż jeszcze może odegrać sporą rolę.

# A

RAFAŁ KALUKIN

fera wizowa stopniowo się rozwija, chociaż w gruncie rzeczy wciąż niewiele wiadomo o jej prawdziwej sile, kulisach, instytucjonalnym podłożu. Do zbiorowej wyobraźni głównie trafiły dosyć anegdotyczne historie o straganach z polskimi wizami oraz ekipie domniemanych filmowców z Bollywood,

których szmuglował do kraju wiceminister Piotr Wawrzyk. Same w sobie skandaliczne, tyle że fragmentaryczne i przez to nieopowalające realistycznie ocenić wagi sprawy.

Jak przysłało na najbardziej aferalne środowisko polityczne w dziejach III RP, PiS dysponuje wielokrotnie już przeciwczonym mechanizmem reagowania na skandale we własnych szeregach. Schemat jest za każdym razem niemal identyczny. Po pierwszych doniesieniach następuje obowiązkowe taktyczne wycofanie; zapada wtedy głucha cisza i nie sposób doprosić się u polityków rządzącej partii choćby zdawkowego komentarza. Za kulisami

trwa już jednak gorączkowe opukiwanie sprawy, ocena jej potencjału rozwojowego i przede wszystkim tego, jak bardzo może zaszkodzić notowaniom PiS. Badane są zasięgi w sieci, reakcje wyborców w poszczególnych grupach, poziom ich emocjonalnego zaangażowania. Dawno już bowiem minęła epoka wielkich afer na wzór Rywina, które stawiały na nogi całą Polskę. Dzisiaj każde bulwersujące zdarzenie podlega cząstkowym percepcjom, a sporym grupom wyborców w ogóle się nie wyświetla na podręcznych ekranach.

## Nawijka o rozmokniętym kapiszonie

Jeżeli ze wstępnej diagnozy dokonanej w sztabie PiS wynika, że ujawniona afera bulwersuje wyłącznie najbardziej zaangażowane elektoraty opozycji i nie ma zagrożenia rozlania się jej skutków na inne grupy, wtedy spokojnie można sobie odpuścić poważne reagowanie. Przeważnie zamyka się temat szyderczą nawijką o „rozmokniętym kapiszonie” i po paru dniach jest już po sprawie. Co innego, jeśli sprawa rezonuje wśród dorywczo konsumujących politykę „normalsów”, a już zwłaszcza kiedy zaczyna infekować bańkę wyborców PiS. W takich przypadkach,

skądinąd nielicznych, należy się spodziewać uruchomienia wieloskalowej komunikacji kryzysowej. Zdarzają się wtedy sporadyczne akty ekspiacji, po czym szeroko otwierane są wrota służby, przez którą wylewa się wodospad zaprzeczeń, odwracających uwagę narracji, mniej lub bardziej absurdalnych zarzutów pod adresem drażących aferę mediów oraz opozycji.

I taką też reakcję sprowokowała w ubiegłym tygodniu afera wizowa. Co sugeruje, że jej ujawnienie musiało napędzić formacji Kaczyńskiego sporego stracha. I trudno się temu dziwić, gdyż zdemaskowany korupcyjny mechanizm wydawania na potencjalnie wielką skalę wiz obcokrajowcom z krajów afrykańskich i azjatyckich postawiło pod znakiem zapytania plan PiS na obecną kampanię, której jednym z filarów miało być przeciw straszenie „inwazją” imigrantów. Poświęcono tej kwestii aż dwa pytania referendalne, tymczasem okazała się trefna.

Komunikacyjna odsiecz z ubiegłego tygodnia okazała się wyjątkowo zmasowana, nawet jak na dotychczasowe możliwości słynnej pisowskiej „mabeny”. Rozpisano ją na wiele planów i strategii narracyjnych.

Po pierwsze, podjęta została próba wyizolowania afery wizowej z szerokiego politycznego kontekstu, jej wyprania, swoistej „depisyzacji”. Oczywiście władza musiała pokazać, że podchodzi do sprawy poważnie: zlecono audyt w konsulatach, pozrywano wszystkie, jak leci, umowy z pośrednikami w wydawaniu wiz (wylewając dziecko z kąpielą, bo i tak długie kolejki niepomierne się teraz wydłużą, ale co tam...). Ze śledztwa CBA na razie jednak wynika, że za korupcyjny proceder odpowiada raptem siedem mało znaczących postaci, jedynie lokalnie i na niskim szczeblu powiązanych z partią rządzącą. Kozłem ofiarnym zapewne miał się stać Edgar K., 25-letni współpracownik zdymisjonowanego wiceministra spraw zagranicznych Piotra Wawrzyka, tyle że oficjalnie nigdy niezatrudniony w resorcie. Przy okazji posłanka Lewicy Agnieszka Bąk-Dziemianowicz odkryła, że jego nazwisko niepostrzeżenie zostało wygumkowane ze starych rządowych komunikatów, które mogły zadać kłam propagandzie o powiązaniach obrotnego młodzieńca z PiS.

Tyle że medialną twarzą afery od początku był jednak Wawrzyk, którego zdepiszować było dosyć trudno. Puszczono więc w medialny obieg najprawdopodobniej fejkowego newsa o próbie samobójczej polityka, co miało sugerować, że korupcyjny proceder został stworzony przez osobę niestabilną psychicznie, w jakiejś mierze nawet zasługującą na współczucie, ale bez wątplenia poza strukturą państwową.

Po drugie, na wszelkie sposoby próbowano umniejszyć skalę afery. Co o tyle było nieskomplikowane, że wciąż jeszcze brakuje oficjalnych danych, na podstawie których dałoby się precyzyjnie oszacować faktyczny rozmiar wizowego rozdawnictwa poza konsulatami. Koalicji Obywatelskiej po kontroli poselskiej w MSZ Marcina Kierwińskiego i Jana Grabca wyszło, że pokątnych wiz wydano w ciągu ostatnich dwóch lat aż 350 tys., z czego ćwierć miliona trafiło do obywateli państw uważanych za siedlisko terroryzmu. I taka też liczba trafiła do komunikatów KO.

Z kolei PiS poszedł w skrajną minimalizację zjawiska, uwzględniając w swoim bilansie wyłącznie te wizy, które osobiście wydali urzędnicy objęci oficjalnym śledztwem. Podawana publicznie liczba parokrotnie się zresztą zmieniła, początkowo mówiono o „stu kilkudziesięciu” wizach, później o 258, ostatecznie stanęło na 268. Co skłoniło premiera Mateusza Morawieckiego do zatakowania „farbowanych lisów” z opozycji, którzy w swoich szacunkach „pomylili się tysiąc razy”. Podsumował to w swoim stylu Jarosław Kaczyński, który na kampanijnym wiecu ogłosił, że „to nawet nie aferka, to po prostu głupi i przestępczy pomysł ludzi, którzy nie mają nic wspólnego z aparatem władzy”.

Po trzecie, zaczęło się typowe dla propagandy PiS zacieranie pojęć i odwracanie kota ogonem. Kiedy więc w ogródku władzy mamy „nawet nie aferkę”, to już z przestępczego *dossier* opozycji nagle wypłynęła świeżo odkryta i tym razem pełnokrwista aferra wizowa. Co osobiście obwieścił Zbigniew Ziobro, informując o prokuratorskim śledztwie w sprawie korupcji w konsulatach we Lwowie i Łucku przed kilkunastu laty, kiedy to na czele rządu stał Donald Tusk, a dyplomacją rządził Radosław Sikorski. Tak żeby każda z głównych baniek miała teraz własną aferę do ekscytowania się.

## Horror o obcej hordzie

Po czwarte, podjęto próbę reanimacji jedynie słusznej opowieści imigranckiej na tę kampanię, wedle której prawdziwym źródłem zła jest unijny mechanizm relokacji. Wykorzystano do tego celu faktycznie kumulujący się kryzys uchodźczy na Lampedusie. „Wiadomości” TVP wysłały na włoską wyspę swoich korespondentów, którzy każdego dnia produkowali utrzymywane w poetyce horroru materiały o obcej hordzie, która szturmuje wrota Europy. Doskonale wprawiony w takich narracjach premier Morawiecki straszyl zaraz potem „plądrowanymi sklepami, płonącymi samochodami, niszczoneymi szkołami, szpitalami, gwałtami na ulicach, rabunkami, gangami narkotykowymi, które tłuką się na ulicach”. Czyli rzekomą codziennością Europy Zachodniej, czemu dzielnie przeciwstawia się zaciszna i bezpieczna Polska pod rządami PiS.

W paternalistycznym tonie pochwalono nawet wcześniej „złą” Francję, która próbując ograniczyć wewnętrzne napięcia, również odmówiła przyjmowania imigrantów z Lampedusy. Z sugestią, jakoby prezydent Macron miał się zainspirować polskim referendum, ale bardziej chyba po to, żeby przeciwstawić chwilowo słuszny Paryż niezmiennie złej Brukseli, która upiera się przy relokacji. Docelowo kojarząc z tym uporem Platformę Obywatelską. Bo jak dobitnie stwierdził prezes Kaczyński: „jeśli Tusk dojdzie do władzy, będziemy mieli do czynienia z Lampedusą w Polsce”.

A po piąte i chyba najważniejsze, wszystkie te wątki ostatecznie przykrył totalny jazgot, który władza rozpetęła wokół krajowej premiery „Zielonej granicy” Agnieszki Holland. Do krucjaty przeciwko „antypolskiemu paszkwilowi” przystąpili szeroką ławą wszyscy pisowski święci: prezes i premier w roli solistów, ze znakomicie zestrojonym chórem w tle, w którym przy ministrowie Mariusz Błaszczak, Zbigniew Ziobro i Mariusz Kamiński. Nawet prezydent Duda nie odmówił sobie przyjemności nawiązania do śrubującego rekordu zdziczenia sloganu „tylko świnie siedzą w kinie”, które wcześniej w kontekście filmu Holland wskrzesili związkowcy ze straży granicznej. Co chyba mało kogo jednak zaskoczyło, gdyż w tej kampanii pierwszy obywatel stale wciela się w rolę lektora partyjnych przekazów dnia.

A jakby to nie wystarczyło, Komitet Rady Ministrów ds. Bezpieczeństwa Narodowego formalnie potępił niebezpieczne dzieło specjalną uchwałą. Nie próżnowała też niezawodna TVP, która jako oprawę wypromowała „żywy łańcuch solidarności z mundurowymi” na wschodniej granicy oraz zorganizowała koncert „murem za polskim mundurem”. Operujący historycznym spazmem dygnitarze nawet zresztą nie ukrywali, że filmu nie obejrzeli i oglądać nie zamierzają. Oczywiście poza wyrwanymi z kontekstu fragmentami wyciętymi z wykradzonej kopii, do której „dotarli” fachowcy z TVP, obsesyjnie przez wiele dni je emitując.

Na Agnieszkę Holland kolejny już raz wylano wiadro pomyj. Powróciły oklepane zarzuty o „plugawieniu polskiego munduru”, tudzież „świadomemu przyjęciu narracji białoruskiej i rosyjskiej”. O randze tematu miało świadczyć też pewnie ►

► to, że Kaczyński po latach odkurzył swoje dawne *specialite de la maison*, przywołując przedwojenne związki ojca reżyserki Henryka Hollanda z Komunistyczną Partią Polski. Co w skrócie myślowym prezesa miało oznaczać, iż przodek zdręczyni „służył Stalinowi, który był dokładnie takim samym ludobójcą jak Hitler”. Jak to się konkretnie miało do „Zielonej granicy”? Ano tak, że dzisiaj każdy, kto przyłożył rękę do powstania filmu, a nawet pozytywnie go ocenia bądź wyśmiewa propagandę PiS, jest rekrutem w „armii Putina”. Naturalnie zaliczono do tego zaciągu również Tuska (bo mimo gromkich wezwań nie przeprosił za Holland) oraz wyjątkowo teraz dostrzeganego przez propagandę PiS Rafała Trzaskowskiego (bo Warszawa dorzuciła się do produkcji filmu).

W kipiącym propagandowym kotle oczywiście musiały się rozpuścić wszystkie niepowiązane ze sobą imigranckie wątki: kryzys na Lampedusie i spór o unijną relokację, napięcie na białoruskiej granicy oraz afera wizowa. Bo też o to właśnie chodziło, żeby skołować opinię publiczną, ogłuszyć ją zgiełkiem, wprawiając jednych w stan niezdrowego pobudzenia, innych zaś – otępienia.

### Kampania bez hamulca

Całe to wzmoczenie podkręciło temperaturę kampanii do najwyższych jak dotąd poziomów. A do czego może to doprowadzić, rychło pokazał fizyczny atak na Borysa Budkę w katowickim centrum handlowym, dokonany przez najpewniej podkręconego propagandą sympatyka PiS. Nic jednak nie wskazuje, żeby rządzący mieli potraktować incydent jako przestrożę, gdyż w tej kampanii hamulce zostały już na dobre zdemontowane i od jakiegoś czasu trwa jazda bez trzymanki. W tym samym czasie PiS z rozmysłem dewastował przecież sojusz polsko-ukraiński oraz manipulował odtajnionym na tę okazję wojskowym planem obrony kraju sprzed raptem kilkunastu lat. Po to tylko, żeby odciągnąć trochę wyborców Konfederacji i jak zawsze zozydzić Tuska jako zdracę. Czy istnieją jeszcze jakieś granice do przekroczenia w tej kampanii?

A *propos* granic, nieco zastanawiająca może się wydawać na razie wstrzemięźliwa reakcja Komisji Europejskiej oraz kluczowych europejskich stolic na doniesienia o korupcyjnym mechanizmie „relokacji” migrantów wprost do strefy Schengen przez urzędników polskiego MSZ. Jedynie Berlin oficjalnie zażądał wyjaśnień od polskiego rządu, chociaż uczynił to w typowym dla siebie, czyli aksamitnym stylu. Niewykluczone jednak, że obserwujący piśmowską hucpę zachodni decydenci po prostu nie chcą dostarczać pretekstu do kolejnej lawiny oskarżeń o „mieszanie się w polskie sprawy” i „wspieranie opozycji w kampanii”, chociaż powstrzymać może je również ogólne napięcie w większości europejskich krajów w związku z kryzysem na Lampedusie. Podobny umiar pokazują też liderzy Koalicji Obywatelskiej, którzy dosyć oględnie opowiadają o możliwych konsekwencjach na szczeblu europejskim, jakie mogą dotknąć Polaków w razie potwierdzenia się doniesień o masowym napływie do Europy migrantów z pokątnie wydanymi polskimi wizami.

To już jednak obowiązująca od lat reguła naszej polityki, w której panuje asymetria w posługiwaniu się narzędziami komunikacyjnymi oraz środkami wyrazu. Populistom po prostu więcej wolno, gdyż ich bazowym wyborcom najczęściej podoba się łamanie standardów, przewrotnie utożsamiane z polityczną sprawczością i determinacją. A pozostałe elektoraty dawno już oswoiły się z myślą, że PiS po prostu taki jest. Zwłaszcza

że quasi-patriotyczna, a w istocie ksenofobiczna histeria doskonale mieści się w aksjologicznym pakiecie tej formacji, jej specyficzny etosie. Odwrotnie Platforma, która nie będąc w stanie zniwelować przewag przeciwnika na swoim rdzeniowym obszarze obrony praworządności państwa, zmuszona jest podejmować rywalizację na frontach mniej lub bardziej odległych tożsamościowo: najpierw socjalnym, a teraz migracyjnym. Nowa jest w tym wszystkim bezkompromisowość działań Tuska, który w tej kampanii po prostu prze do przodu, nie zaprzatając sobie głowy pogłębiającym się deficytem wizerunkowej i personalnej spójności swojego obozu. Ale mimo wszystko Platformie z jej naturalnym zasobem symbolicznym trudno jest budować szeroką wiarygodność na froncie swoistego *proxy war*, co zresztą PiS na każdym kroku przypomina. Zazwyczaj skazuje to formację Tuska na reaktywność i ostatecznie kamuflowaną defensywę.

Afera wizowa początkowo dawała mimo wszystko nadzieję, że wykazanie hipokryzji rządzących w sprawie migracji pozwoli wreszcie przejść do kontrofensywy. Należało jednak przebić się z opozycyjnym przekazem do piśmowskiej bańki, czego najgłośniejszą próbą było orędzie marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego na antenie TVP. Ale czy to wystarczyło? Prędzej już wydaje się, że konflikt tradycyjnie pozostanie pyskówką pomiędzy głuchym i ślepym. Obie strony są bowiem w stanie oddziaływać na zmysły przede wszystkim już zmobilizowanych swoich wyborców, pozostawiając „trzecią Polskę” – czyli wyborców pozostałych partii

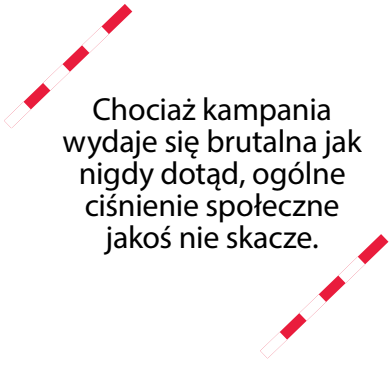
oraz niezdecydowanych – raczej obojętną. Na to przynajmniej wskazują analizy sieciowych metadanych oraz badań fokusowych, które krążą za kulisami kampanii. Szczególnie młode elektoraty mają być podobno obojętne.

I jest to fragment znacznie szerszego pejzażu. Bo chociaż kampania wydaje się brutalna jak nigdy dotąd, ogólne ciśnienie społeczne jakoś nie skacze. To tylko najbardziej zaangażowane bańki znajdują się od dawna w stanie wrzenia. W sezonie urlopowym nie było to wielkim zaskoczeniem, ale jesień wbrew przewidywaniom

ciągle jeszcze nie przyniosła ożywienia. Zamiast spodziewanej eskalacji z powodu kolejnych z serii „najważniejszych wyborów od 1989 r.” pojawia się apatia i zniechęcenie konfliktem. Być może trzeba jeszcze poczekać na finisz kampanii, kiedy to zazwyczaj dochodzi do rozbudzenia się grupy niezdeklarowanych do tej pory wyborców. Chociaż nie można wykluczyć, iż deklarowana w sondażach ponad 60-proc. frekwencja okaże się parametrem jedynie życzeniowym, bo tak po prostu wypada deklarować.

Temperatura afery wizowej może być podtrzymana, jeśli wypłyną kolejne rewelacje, co zresztą szefowi KO zdarza się teraz sugerować. Ale czy to wystarczy, żeby zmateriałizowała się opozycyjna fantazja o aferze wszystkich afer, która „wreszcie zatopi PiS”? Chyba już lepiej stawiać sobie skromniejsze cele, głębiej osadzone w logice danego etapu. Z takiej perspektywy historia z lewymi wizami ciągle jeszcze nieźle rokuje jako dodatkowe narzędzie mobilizowania uczestników niedzielnego „marszu miliona serc”. O bezpośrednim pretekście do jego zwołania z początku wakacji pewnie mało kto dzisiaj pamięta, warto więc szukać alternatywnych dopalaczy, choćby miało to polegać na dodatkowym utwardzaniu już przekonanych baniek. Bo jeśli frekwencja w niedzielę naprawdę dopisze, może to być wstępem do zmobilizowania tych oporniejszych i na razie wycofanych. Lepszych okazji przed 15 października raczej już nie będzie.

RAFAŁ KALUKIN



Chociaż kampania wydaje się brutalna jak nigdy dotąd, ogólne ciśnienie społeczne jakoś nie skacze.

G  
D  
Z  
I  
E  
  
N  
A  
T  
U  
R  
A  
  
S  
P  
O  
T  
Y  
K  
A  
  
C  
Z  
Ł  
O  
W  
I  
E  
K  
A



S  
M  
O  
L  
N  
A  
  
S  
O  
L  
O  
-

INVEST  
KOMFORT

APARTAMENTY W SOPOCIE  
+58 585 90 64 | smolnasopot.pl

Bezpartyjni Samorządowcy zapewne nie wejdą do Sejmu, ale mogą odebrać opozycji 2–3 proc. poparcia; kluczowe dla utrzymania władzy PiS.

Prezydent Lubina i lider  
Bezpartyjnych Samorządowców  
Robert Raczyński podczas konwencji  
programowej nowej partii.

# Partia (bez)partyjnych

KATARZYNA KACZOROWSKA, KASTOR KUŻELEWSKI

**S**towarzyszenie skupiające samorządowców i biznesmenów (przede wszystkim z Dolnego Śląska) nie tak dawno zarejestrowało partię. 6 września, ku zaskoczeniu wielu obserwatorów życia publicznego, stało się szóstym ogólnopolskim komitetem wyborczym. W praktyce oznacza to, że udało im się zebrać po 5 tys. podpisów w 21 okręgach wyborczych, dzięki czemu uzyskali prawo do rejestracji list w całej Polsce.

W 2019 r. zabrakło niewiele. Zarejestrowali listy w 19 okręgach. Brak ogólnopolskiego komitetu poskutkowało rozczarowującymi 0,78 proc. głosów w skali kraju. Co wtedy zawiodło? Między innymi to, że BS startowali nie jako komitet partyjny, a komitet wyborczy wyborców, co wiąże się z dodatkowymi obowiązkami i krótszym czasem na zebranie podpisów.

Dlatego dziś Bezpartyjni startują jako partia. Ale na scenie politycznej zaistnieli wcześniej. To oni zbudowali kapitał polityczny rockmana Pawła Kukiza, prowadząc mu kampanię prezydencką w 2015 r. Kukiz zdobył wtedy blisko 21 proc. głosów, a wieczór wyborczy zorganizowano mu w Lubinie, mieście, którym od 2002 r. nieprzerwanie rządzi Robert Raczyński, inicjator powstania Bezpartyjnych i jedna z głównych postaci stowarzyszenia, a teraz partii – złośliwi zresztą Lubin nazywają Księstwem Raczyńskim.

Były samorządowiec związany z BS: – *Operacja „Kukiz” pozwoliła tak naprawdę Andrzejowi Dudzie zostać prezydentem Polski w 2015 r. Czy taki był jej cel? To już jest kwestia spekulacji, choć Robert Raczyński jest dość cyniczny, planuje długofalowo. Kukiz przecież najpierw został radnym sejmiku dolnośląskiego z ramienia Bezpartyjnych,*

*a dopiero potem ich kandydatem na prezydenta Polski.*

I to Paweł Kukiz, już po wyborach prezydenckich, w lipcu 2015 r. powołał KWW Kukiz’15, z którym w wyborach parlamentarnych wprowadził do Sejmu narodowców, dzisiaj tworzących Konfederację: Krzysztofa Bosaka czy Grzegorza Brauna.

Trzy lata później Bezpartyjni wystartowali w wyborach samorządowych. Zdobyli 5,28 proc. głosów do sejmików. Najwięcej, 14,98 proc., w województwie dolnośląskim, gdzie dziś rządzą w koalicji z PiS. Ich sukces zresztą był możliwy również dzięki zasileniu ich szeregów przez polityków, którzy odeszli z PO szarpanej wewnętrznymi konfliktami między Grzegorzem Schetyną i Jackiem Protasiewiczem.

## Sojusznicy PiS

Prominentny polityk Platformy Obywatelskiej z Dolnego Śląska: – *Bezpartyjni Samorządowcy? Mafijna grupa trzymająca władzę. Przecież w sejmiku dolnośląskim są w koalicji z Prawem*

*o Sprawiedliwości, a po mediach społecznościowych „latają” ich reklamy firmowane przez PiS. Sam widziałem.*

Były samorządowiec świetnie znający środowisko Bezpartyjnych: – *Mafijna grupa? Zabawne, ale po ostatnich wyborach samorządowych w 2018 r. ich koalicja z PO była na stole. Tylko że wtedy na negocjacje wszedł Grzesiek Schetyna i powiedział, że ich wszystkich pozamyka w więzieniu. No to się chłopcy wkurzyli i dogadali z PiS.*

Jak ujawnił serwis Poufna Rozmowa, za negocjacje po wyborach 2018 r. odpowiadał Michał Dworczyk, który w 2019 r. został posłem PiS z Wałbrzycha. W lutym 2019 r. okazało się, że najbliższy współpracownik premiera na rozmowy dotyczące koalicji z Bezpartyjnymi Samorządowcami do Wrocławia przyleciał rządowym embraerem – Dworczyk był jedynym pasażerem na pokładzie samolotu, a lot kosztował podatników 33 tys. zł.

Dziś wielu naszych rozmówców z opozycji jest przekonanych, że Bezpartyjni Samorządowcy to projekt wymyślony przez PiS. I to Dworczyk ma być mózgiem tej operacji. Donald Tusk 22 września, na wiecu w Pile: „Bezpartyjni Samorządowcy to przystawka PiS. To jest komitet, który ma pomóc PiS-owi dalej rządzić”.

Samorządowiec startujący z listy Bezpartyjnych do Sejmu: – *Jesteśmy otwarci. W Lubuskim współpracujemy z PO, a w Świętokrzyskiem z Polskim Stronnictwem Ludowym. Dla nas liczy się interes lokalny i regionalny.*

## Zaszkodzą opozycji

Na liście do Sejmu Bezpartyjnych są m.in. Krzysztof Maj, były szef Europejskiej Stolicy Kultury we Wrocławiu, walczący o mandat ze stolicy Dolnego Śląska, i Maciej Bluj, były skarbnik Wrocławia, który jest jedynką na liście opolskiej. To Bluj był zaangażowany w budowę szpitala covidowego we Wrocławiu – nie tak dawno temu wojewoda Jarosław Obremski, który startuje do Senatu w tym samym okręgu co Kazimierz Ujazdowski i który budowę tego szpitala zlecił, musiał tłumaczyć się z tego, że była to najdroższa taka inwestycja w Polsce. Objęta jest zresztą śledztwem prokuratorskim.

Listy Bezpartyjnych Samorządowców są bardzo nierówne i odzwierciedlają geograficzne zakotwiczenie formacji. W okręgu szczecińskim połowa kandydatów Bezpartyjnych Samorządowców jest z Dolnego Śląska. „Spadochroniarzy” na listach BS jest najwięcej ze wszystkich partii.

Do wyborów idą z opowieścią o depolaryzacji, deklarują chęć zakończenia sporów i skupienia się na pracy organizacyjnej. Unikają jednoznacznych deklaracji w tzw. kwestiach światopoglądowych. Ich hasło wyborcze brzmi: „Normalna Polska”. Postulują darmową komunikację – miejską i regionalną, bon edukacyjny, informatyzację państwa, skrócenie kolejek do lekarzy. Chcą zmniejszać wydatki państwa i obniżyć podatki. No i, oczywiście, stawiają na decentralizację organów państwowych.

Były samorządowiec: – *Robert Raczyński przekonuje, że wejdą do Sejmu i będą mieli swoich posłów, ja jednak sądzę, że kluczowe będzie przekroczenie progu 3 proc., bo to daje im subwencję. Jak na razie stosują zasadę świetnie znaną z poczynań rządzącej prawicy. Ich działacze, którzy pełnią różne funkcje i mają różne stanowiska w spółkach samorządowych, zasilają budżet Bezpartyjnych regularnymi wpłatami. I stąd mają pieniądze na politykę.*

Przekonuje, że ambicje lidera BS tak naprawdę dotyczą wyborów samorządowych i zdobycia władzy w regionach. – *Tu są realne pieniądze. Samorządowe spółki, unijne fundusze. Kiedy wprowadzili do sejmiku dolnośląskiego Kukiza, to Raczyński miał bardzo konkretny projekt wrocławski – zdobycie władzy w tym mieście. Postawił na wiceprezydenta, którego Rafał Dutkiewicz zwolnił i którego koniec końców sąd skazał za korupcję. Podobno potem Raczyński tłumaczył Dutkiewiczowi, że ta gra to był tylko taki żart.*

Według obliczeń ośrodka analitycznego Polityka Insight obecne poparcie Bezpartyjnych Samorządowców sięga 2,3 proc., a więc mniej niż wynosi próg subwencji. Szanse na przekroczenie 5 proc. (które jest potrzebne, aby wprowadzić posłów do Sejmu) są minimalne, ale Bezpartyjni nie muszą wejść do Sejmu, aby zaszkodzić szeroko rozumianej opozycji, bo przyciągają przede wszystkim jej wyborców, których głosy „marnują się” pod progiem.

Komu zaszkodzą najbardziej? Od polityków opozycji słyszymy różne wersje. Politycy Konfederacji przekonują, że rejestracja BS najbardziej zaszkodzi Trzeciej Drodze, politycy Trzeciej Drogi, że Konfederacji. Pojawiają się głosy, że rykoszetem dostanie Platforma, która wzięła na listy samorządowców z ruchu „Tak! Dla Polski”. To największe stowarzyszenie samorządowców w Polsce, ponadpartyjna platforma opozycyjna wobec rządów PiS, założona w 2020 r. w Gdańsku. Jej prezesem jest Jacek Karnowski,

prezydent Sopotu. Jednak mniej zorientowani wyborcy mogą pomylić samorządowców „od Karnowskiego” z komitetem Bezpartyjnych Samorządowców.

## Będą jak Razem?

Wydaje się jednak, że to Trzecia Droga ucierpi najbardziej. Bezpartyjni idą do wyborów z podobnym programem i opowieścią. Jednak to nie wszystko – pojawienie się na scenie nowej partii zawsze mobilizuje nowych wyborców. To oznacza, że podnosi się liczba głosów potrzebna, aby partia przekroczyła próg wyborczy. Jeśli koalicja Szymona Hołowni i Władysława Kosiniaka-Kamysza będzie na granicy ośmiu procent (tyle wynosi próg dla koalicji), Bezpartyjni mogą przesądzić, że ta formacja nie wprowadzi żadnych posłów do Sejmu, co znacznie przybliżyłoby perspektywę trzeciej kadencji PiS.

Z drugiej strony Bezpartyjni Samorządowcy mogą w tych wyborach zyskać status formacji, którą prof. Jarosław Flis nazywa TUP – Tymczasowym Ugrupowaniem Protestu. Najbliżej do wypełnienia tej roli w obecnej kampanii jest Konfederacja, ale Bezpartyjni (jako partia, której sama nazwa podkreśla antypolityczność) mogą powalczyć z sojuszem skrajnej prawicy na świeżość i nieużyte logo. Zresztą Bezpartyjni Samorządowcy o tym wiedzą – ich kandydatka do Senatu z okręgu kieleckiego Katarzyna Suchańska skupia się w TikToku na walce ze Sławomirem Mentzenem, osiągając przy tym podobne rezultaty do dużo bardziej rozpoznawalnego Ryszarda Petru. Jej najpopularniejszy film ma prawie 4 mln wyświetleń.

Niewykluczone, że Bezpartyjni Samorządowcy namieszają również w wyborach do Senatu. Rozpoznawalne nazwiska startujące z okręgów w Polsce południowo-zachodniej mogą sprawić, że ze względu na jednomandatową ordynację wyborczą to kandydat PiS, a nie paktu senackiego dostanie mandat w okręgach, które sympatyzują z opozycją.

Niezależnie, czy Bezpartyjni Samorządowcy zostali wymyśleni przez PiS, czy są autonomicznym ruchem prezydenta Lubina – ich start to zła wiadomość dla opozycji. Jak przekonuje ważny polityk ze sztabu Konfederacji, Bezpartyjni Samorządowcy mogą okazać się dla opozycji tym, czym było Razem w 2015 r. – zepchnięcie jednej z mniejszych formacji pod próg, mogłoby zagwarantować Zjednoczonej Prawicy kolejne cztery lata samodzielnych rządów. ■



© LESZEK ZYCH

# Kampania bez granic

Rozmowa z **Różą Rzeplińską**, prezeską Stowarzyszenia 61, o tym, jak PiS może wydawać miliony, aby utrzymać się przy władzy.

**ANNA DĄBROWSKA: – Jarosław Kaczyński mawia, że do wygrania wyborów i utrzymania władzy potrzeba wielkich pieniędzy. To dlatego połączył referendum z wyborami parlamentarnymi.**

**Ile pieniędzy na tym zyskuje?**

**RÓŻA RZEPLIŃSKA: –** 32 mln zł na wybory do Sejmu i prawie 7 mln na wybory do Senatu – tyle może wydać każdy komitet wyborczy na kampanię parlamentarną w tegorocznych wyborach. W przypadku kampanii referendalnej żaden limit nie obowiązuje. To referendum jest wymyślone właśnie po to, aby poprowadzić kampanię bez ograniczeń finansowych. Nie trzeba być szczególnie wnikliwym, aby zauważyć, że pytania referendalne pokrywają się z głównymi hasłami PiS, bo o utrzymanie władzy w tym referendum chodzi, a nie o żaden głos narodu.

**PiS ma wyniki swoich badań, z których wynika, że właśnie te tematy, których dotyczy pytanie referendalne, pomogą mu zmobilizować swoich wyborców i ostudzić zapał do głosowania niezdecydowanym. Mówi pani o równoległym budżecie kampanijnym. Na czym ten system polega?**

We współczesnej kampanii, aby osiągnąć sukces w wyborach, trzeba wyprodukować bardzo wiele różnych treści skierowanych do ściśle określonych, często wąskich grup odbiorców. To nie tylko indywidualne banery, ulotki, plakaty, ale przede wszystkim – mikrotargetowane reklamy i treści rozprowadzane w mediach społecznościowych. A to kosztuje. Wymyślono więc kampanię referendalną, po to, by móc zapłacić za więcej treści i zwiększyć siłę rażenia. Okazuje się, że 12 fundacji spółek Skarbu Państwa uzyskała zgodę PKW do wyemitowania darmowych spotów referendalnych w mediach publicznych, w TVP i Polskim Radiu. Kiedy prześledzimy zarządy tych Fundacji, to nie można mieć złudzeń. To ludzie w większości związani z aparatem wykonawczym władzy i to oczywiście, że spoty, które będą emitować w mediach publicznych, będą spójne z przekazem kampanijnym PiS.

**O jakie osoby z tych fundacji chodzi?**

Przykładów jest wiele. To między innymi Aneta Kordowska – szefowa fundacji PGZ i jednocześnie dyrektorka biura szefa

Kancelarii Premiera, kandydata PiS z jedyne w Krośnie, Marka Kuchcińskiego. Ona zasiada też w radach nadzorczych Enei i Polskiej Fundacji Narodowej. Prezeska Fundacji PKO BP dysponująca wielomilionowym budżetem – Anna Mazur – to działaczka partyjnej młodzieżówki, która kandydowała z list PiS w wyborach samorządowych, czy prezeska Fundacji „Pocztowy Dar”, Grażyna Dratkiewicz, dawniej dyrektorka w Agencji Mienia Wojskowego. Te fundacje do tej pory zajmowały się głównie finansowaniem miękkiej komunikacji rządu, wspierały partię, z którą są związane.

**Organizacje pozarządowe i niezależne fundacje też zgłosiły się do tego darmowego czasu antenowego.**

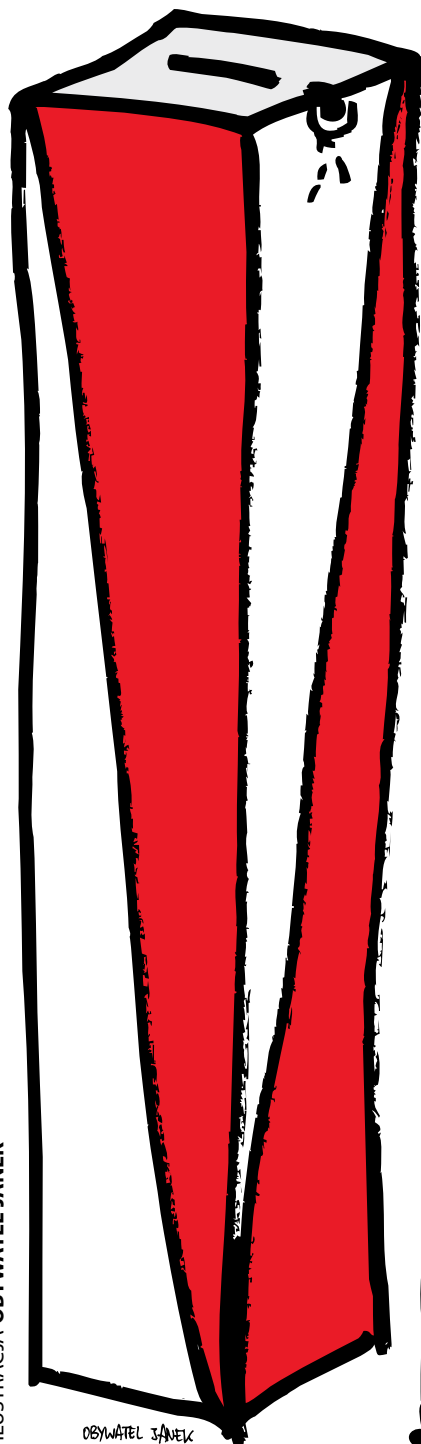
**To szansa na jakąś równowagę?**

One pewnie będą ze sobą współpracować, ale raczej każda zrobi swoją kampanię. Wiele wskazuje na to, że fundacje spółek Skarbu Państwa, które podlegają ministrowi Jackowi Sasinowi, kandydatowi PiS na posła, będą miały wspólną kampanię, której celem będzie zainfekowanie widzów i słuchaczy tzw. publicznych mediów, jednym zmasowanym przekazem, spójnym z hasłami kampanijnymi PiS.

**Jak to w praktyce może wyglądać?**

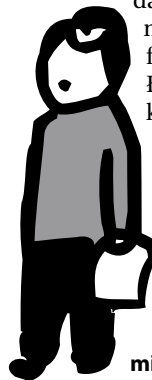
Dwa tygodnie przed wyborami ruszą darmowe bloki reklamowe. W lokalnym oddziale TVP zaplanowano na ich emisję łącznie 10 godzin, czyli po 40 min dziennie, między 17.00 a 20.00. Jeżeli spoty mają 30 lub 45 sekund, to materiały rządowe i wspierających go fundacji mogą zabrać 10 minut, czyli 25 proc. czasu przeznaczanego na kampanię referendalną, albo inaczej – co drugi spot może być tym firmowanym przez fundacje spółek Skarbu Państwa. Łatwo to sobie wyobrazić na przykładzie: pierwszy spot o tym, jak głosi PiS, że „imigranci gwałcą nasze kobiety”, po nim materiał pozarządowy, i znów druga fundacja SSP wchodzi z przekazem „imigranci gwałcą nasze kobiety” i tak dalej. To co z tego bloku ludzie zapamiętają?

**Te fundacje przez ostatnie miesiące dobitnie pokazały,**



ILUSTRACJA OBYWATEL JANEK

OBYWATEL JANEK



**że działają w interesie PiS.  
W MamPrawoWiedziec.pl śledzicie  
ich działalność, poproszę o kilka  
przykładów.**

W nieoficjalnej rozmowie członek zarządu państwowej spółki, której fundacja też dostała darmowy czas antenowy, przyznał, że PiS sprawdził szczegółowo wszystkie okręgi i wyznaczył te powiaty, w których dosypanie pieniędzy i pokazanie wyborcom, że mamy was w swojej pamięci, spowoduje zwiększenie szans wyborczych. To dosypywanie pieniędzy odbywa się na przykład w niezbyt przejrzystych konkursach dla kół gospodyń wiejskich i ochotniczych straży pożarnych. Fundacja organizuje wręczenie czeku na kilka tysięcy, do imprezy przypisani są posłowie z danego okręgu, do tego opłaca się reklamę w mediach społecznościowych i organizuje piknik.

**To cała ta organizacyjna otoczka  
kosztuje więcej niż suma wypisana  
na symbolicznym czeku?**

To całkiem prawdopodobne, ale przecież nie o wsparcie lokalnej społeczności chodzi w roku wyborczym, ale wypromowanie polityków, którzy te czeki wręczają, a na tym fundacje spółek nie oszczędzają. Do tego słynne pikniki 800 plus, otwieranie kolejnych odcinków dróg, czasami po dwa razy z każdej strony drogi. Przy tej okazji wiele zainwestowano w marszałek Sejmu Elżbietę Witek, minister rodziny Marlenę Małąg czy ministra rolnictwa Roberta Telusa. Słynny już program willa plus też był elementem finansowania kampanii, tym razem z pieniędzy MEiN.

**Wille to miało być przede wszystkim  
zabezpieczenie na czas przegranej,  
aby ludzie związani z PiS mieli się  
z czego utrzymać podczas chudych lat  
w opozycji. Jak to się ma do kampanii?**

Proszę zwrócić uwagę, że wille dostały organizacje, które promują partię władzy w kampanii, organizują spotkania z kandydatami, kongresy, na których występują politycy i jawnie wspierają PiS.

**Wracając do kampanii referendalnej, w Gdyni z wielkiego billboardu spogląda Andrzej Jaworski, prezes PZU Zdrowie, były poseł PiS i znów kandydat na posła do okręgu gdańskiego z 6. miejsca. Na billboardzie wypunktował 4 x NIE dla: wyprzedaży polskiego majątku, podniesienia wieku emerytalnego, likwidacji bariery na granicy z Białorusią, przyjęcia nielegalnych imigrantów. Twierdzi, że to jego kampania referendalna. Może na nią wydać dowolną kwotę?**

Tu doskonale widać, że dla kandydata rządzącego obozu referendum jest

paliwem narracyjnym w ich kampanii wyborczej. Andrzej Jaworski perfekcyjnie opanował system, który stworzył PiS. Po pierwsze, Fundacja PZU zależna od spółki PZU, której Jaworski jest prezesem, angażuje się w kampanię referendalną. Po drugie, Jaworski jako zwolennik referendum zamawia billboardy referendalne, przy czym nie musi oznaczać na nich logo komitetu wyborczego, więc nie rozlicza ich w limicie kwoty na kampanię, chociaż publikuje na nich swoją twarz. PiS daje jasny komunikat swoim kandydatom – nie damy wam za dużo pieniędzy na kampanię, ale dajemy narzędzie w postaci referendum, czyli możliwość wydawania pieniędzy, które sam zbierzesz poza jakimikolwiek limitami.

**Tuż obok billboardu Jaworskiego stoi  
mniejszy z identycznym tekstem, tylko  
ze zdjęciem Michała Kowalskiego,  
także kandydata do Sejmu. To wygląda  
na celową akcję referendalną?**

Zdecydowanie tak, i dodam, że Kowalski promuje się też z tymi hasłami na Facebooku. Zaznacza, że reklama nie stanowi elementu kampanii wyborczej, nie ma przy niej logotypu partii. Zapłaciła za nią 20 tys. zł firma, której, jak sprawdziliśmy, właścicielką jest jego żona. Ten przykład pokazuje, jak referendum pozwala omijać limity wydatków na kampanię. Zapewne, w normalnych warunkach, w kampanii wyborczej, komitet wyborczy PiS pozwoliłby wydać Kowalskiemu startującemu z 12. miejsca w Gdyni do 20 tys. zł na całą kampanię, aby utrzymać się w limitach. A tak, na jedną reklamę na Facebooku kandydat Kowalski wydaje 20 tys. zł, a do tego billboardy itd.

**Prawie rok temu opisaliśmy  
w POLITYCE, jak prezesi PZU wpłacają  
na konto PiS po kilkadziesiąt tysięcy  
złotych, potem było jeszcze wiele takich  
wpłat, ale przez ostatnie miesiące  
znaczco zmalały, a właściwie to prezesi  
nic nie wpłacają. W publicznym  
rejestrze PiS są tylko wpłaty od kandydatów. Partyjni nominaci w spółkach  
przestali płacić na PiS? A może mają  
inne możliwości?**

Partia stworzyła sobie nowe możliwości, takie, które trudniej uchwycić. Ludzie ze spółek mogą na przykład wpłacać na fundacje tych spółek, które za te pieniądze wyprodukują spoty referendalne, zgodnie z przekazem PiS. Małgorzata Sadurska, z zarządu PZU może kupić swojemu koledze Andrzejowi Jaworskiemu kilka billboardów na kampanię referendalną. Nic jej nie ogranicza. Wiem, że źródłem w PiS, że jedyne, czego będą unikać, to finansowania reklam

na Facebooku, bo są łatwe do namierzenia i policzenia.

**Jak sprawdzić, ile politycy wydali  
na kampanię referendalną?**

Teoretycznie jest to możliwe. Trzeba przejrzeć sprawozdania finansowe fundacji spółek Skarbu Państwa, choć nie wiadomo, czy te koszty będą wyszczególniane. Można przejrzeć dokładnie biblioteki reklam w internecie, i jeszcze sprawdzić, jakie billboardy „referendalne” stanęły. Trzeba mieć do tego całą armię ludzi. W praktyce to jest nie do uchwycenia w czasie, w którym mogłoby to jeszcze mieć znaczenie.

**A jeśli gołym okiem widać jakieś nie-  
prawidłowości, co można z tym zrobić,  
gdzie zgłosić?**

Można zgłosić do PKW, która powinna wydać jakiś rodzaj oświadczenia o tym, że pewne działania są nieprawidłowe, bo powodują nierówność wyborów. W sprawie spotów referendalnych można iść do KRRiT i zgłosić, że jako obywatelka mam wrażenie, że te spoty, to komunikat spójny z tym, co głosi jeden komitet wyborczy, a spółki Skarbu Państwa należą do wszystkich obywateli i tylko część z nich głosuje na partię rządzącą. Można zapytać, dlaczego z moich pieniędzy jest wyprodukowany materiał, w którym ja się nie zgadzam? Tylko mam poważne wątpliwości, czy te instytucje, opanowane przez PiS, w ogóle się tym zajmą.

**Dlaczego te limity finansowe  
w kampanii wyborczej są tak ważne?**

Bo są gwarancją jakiejś elementarnej równości w walce o zdobycie władzy. Za przekroczenie tych limitów, czy finansowanie kampanii z nieprawidłowego źródła, prawo przewiduje surowe konsekwencje. Partia może stracić dotację, czyli zwrot kosztów kampanii i subwencję budżetową. Także dlatego kampania referendalna, nieograniczona limitami finansowymi, nie powinna być prowadzona równolegle z kampanią parlamentarną. Kiedy uchwalano ustawę o referendum, chyba nikomu nie przyszło do głowy, że ktoś może chcieć połączyć wybory z referendum.

**Kto ma pieniądze, ten wygrywa?**

Tu nie chodzi tylko o pieniądze, ale o całą machinę wyborczą. PiS zawłaszczyło instytucje, które to wszystko przeprowadzą. PKW, czyli instytucję organizującą wybory, media publiczne, które o kampanii poinformują, spółki Skarbu Państwa, które kampanię dofinansują, a także te instytucje, które ochronią tę patologię, czyli m.in.: KRRiT, Sąd Najwyższy oraz prokuraturę. Widać, że obóz władzy angażuje w tę kampanię ogromny kapitał, więc chyba nie jest pewny wygranej. ■

# Nowa klauzula sumienia

W 30 lat od uchwalenia ustawy aborcyjnej, w trzy lata po słynnym wyroku Trybunału Konstytucyjnego i rok po wprowadzeniu rejestru ciąży widać już, że coś się wreszcie zmienia. Strach jest mniejszy.

MARTYNA BUNDA

S

zpital w miasteczku Ch. jest na liście tych, w których nie przeprowadza się aborcji. Dlatego pani doktor, która przyjechała na wizytę z Medicoveru do krwawiącej pacjentki w ósmym tygodniu ciąży, zostawiła jej swój numer telefonu. Na wszelki wypadek, bo różnie może być – dodała, wysyłając ją do szpitala. Potem, na izbie przyjęć, kolejny doktor szepnął, że niestety w toku jest naturalne

ILUSTRACJA MARTA FREJ



poronienie, ale przyjechała w wcześniej. Lepiej poczekać parę godzin w domu, a dopiero potem się zgłosić. Rankiem na dyżurze była już inna lekarka. Gdy potwierdziła na USG nieprawidłowy rozwój ciąży, przyspieszyła poronienie czopkami. W statystyki wpisze zapewne „stan po poronieniu naturalnym”. Jak w tysiącach podobnych przypadków w wielu polskich szpitalach. Coraz częściej.

W tym roku, po raz pierwszy od lat, w statystykach oficjalnie przerywanych ciąż w górę poszły słupki dotyczące ochrony zdrowia kobiet. 161 wpisanych przypadków legalnej aborcji z powodu zagrożenia życia i zdrowia ciężarnej to pięciokrotnie więcej niż w poprzednich latach. Do tego dopisać należy ciemną liczbę przypadków, gdy magiczne słowo aborcja nie pojawia się w dokumentacji, zastąpione innym.

Równo 30 lat po wprowadzeniu ustawy o planowaniu rodziny, zwanej aborcyjną, w trzecią rocznicę wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej i w rok po wprowadzeniu państwowego rejestru ciąż (do którego lekarz każdej specjalności musi wpisać powziętą informację, że pacjentka jest w ciąży) widać już, że szala się przechyliła. Rejestr ciąż jest, bo jest, za to po raz pierwszy od dekad w badaniach CBOS zwolennicy pełnego prawa do przerywania ciąży są liczniejszą grupą niż zwolennicy całkowitego zakazu. Około maja 2021 r. liczebność grup się zrównała, po czym pierwsza zaczęła gwałtownie rosnąć, druga spadać. W 2023 r. liczba zwolenników wolnego wyboru i braku ograniczeń sięgnęła 45 proc. Liczba zwolenników całkowitego zakazu spadła poniżej 30 proc. Co oznacza, że zwolennicy niezależnego wyboru zaczynają przeważać także nad zwolennikami częściowych obostrzeń.

### **Po nowemu rozrysowuje się też właśnie mapa szpitali.**

Długo była cała pokreślona na niebiesko, bo tak oznaczano szpitale deklarujące się jako antyaborcyjne. Według nieoficjalnych statystyk jako w ogóle nieprzeprowadzające aborcji deklarowało się dziewięć na dziesięć. Cała ściana wschodnia, Rzeszów, Przemyśl, Lublin były gęsto usiane błękitnymi kropkami, rozlewającymi się w stronę Kielc, Skarżyska, Olsztyna. Ale coś się właśnie zmieniło. Niektóre kropki z błękitnych zrobiły się żółte (czyli: można uzyskać legalną aborcję, choć nie będzie łatwo), wyraźnie przybyło też kropek zielonych, oznaczających szpitale, które respektują prawo i po prostu wykonują dozwolone aborcje, bez zasłaniania się klauzulą sumienia. Gdańsk, Koszalin, Olsztyn czy Szczecin – po trzy zielone kropki, Warszawa – aż pięć. Jedna nowa zielona kropka pojawiła się nawet w Lublinie, dotychczas uważanym za stolicę Polski antyaborcyjnej.

Ale nawet tam, gdzie formalnie nie przeprowadza się aborcji, jak w miasteczku Ch., można trafić na lekarza, który rozumie klauzulę sumienia po nowemu. Jako obowiązek leczenia kobiety mimo politycznej nagonki. I jest ich coraz więcej. Właśnie się dowiedzieli, że mają ku temu narzędzia. Wedle liczącej sobie 30 lat ustawy wystarczającą przesłanką do wykonania aborcji jest sporządzona na piśmie opinia... jednego lekarza. W trzy lata po wyroku Trybunału znalezienie człowieka, który wypisze zaświadczenie, że kontynuowanie ciąży zagraża zdrowiu psychicznemu kobiety, nie następuje już trudności. Organizacje kobiece w razie potrzeby udostępniają listę medyków, do których można się zgłosić. Jest wśród nich np. Maja Herman, lekarka z Warszawy, która opiniuje potrzebujące pacjentki z całej Polski. Uważa, że politycznie motywowana decyzja Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej stworzyła nową kategorię osób, których zdrowie psychiczne z zasady zostało zagrożone; ciąża uszkodzona, której nie można przerwać, ale też lęk przed ciążą w kraju, w którym noszenie płodu może grozić utratą

życia – to są wystarczająco opresyjne sytuacje, żeby człowiek potrzebował pomocy. Czasem przerwanie ciąży jest jedynym rozwiązaniem. Opinie lekarskie, które Maja Herman wystawia dla pacjentek, są – jak mówi – jedynie stwierdzeniem faktów. Pacjentką jest kobieta. Płód to płód. Zarodek to zarodek.

Bo w Polsce terminy te w przedziwny sposób się mieszały. Nawet nie sama ustawa jest źródłem tego problemu – prawo brytyjskie, pochodzące z tych lat, brzmiało podobnie, a jednak realia na Wyspach nigdy nie zbliżyły się do polskich.

### **W Polsce początkowo mówiono o zmianach w prawie, które miały ograniczyć liczbę usuwanych ciąż.**

W latach 90. rubryki ogłoszeń drobnych w gazetach otwierało jeszcze „Aaaa wywoływanie miesiaczek”, a cenniki były powszechnie znane. Byliśmy również wtedy europejskim pionierem medycyny in vitro; do klinik w Warszawie czy Białymstoku zjeżdżały pary z całej Europy, a najstarsza Polka, urodzona dzięki tej metodzie, jest tylko nieco starsza niż ustawa aborcyjna. Aborcję można było zrobić prywatnie, za pieniądze, a w kościele zamówić intencję za in vitro. Choć opinia publiczna – urabiana wyświetlanym w salkach katechetycznych filmem „Niemy krzyk”, składającym się ze zdjęć poszarpanych, dojrzałych już płodów – skłaniała się coraz bardziej ku zdaniu, że aborcja to morderstwo, wizja całkowitego zakazu aborcji nie wydawała się realna.

Swoje zrobiła klauzula sumienia, wymyślona w latach 90. jako rodzaj bezpiecznika dla lekarza, dla którego psychicznie zbyt trudne jest łyżeczowanie żyjącego wciąż płodu. Sama w sobie nawet w środowiskach liberalnych wydawała się uczciwym rozwiązaniem. Ale z czasem zaczęła obejmować całe szpitale, a nawet województwa.

Pierwszy przypadek rewizji gabinetu lekarskiego w poszukiwaniu dowodów na skrobanek opisano jeszcze w większości tytułów prasowych z oburzeniem i niedowierzaniem. Ale krok po kroku poczucie normy ewoluowało. Już nie płód czy zarodek – ale dziecko, już nie kobieta w ciąży – tylko dwójka pacjentów: dorosły i nienarodzony. Na pierwszym miejscu: ten drugi. Wiara w płód szła dalej. W dziwnej wersji, gdzie wartością nadrzędną jest efekt antyaborcyjny, nawet kosztem rozwijającego się człowieka, bo infamia dotknęła np. badań prenatalnych jako drzwi do aborcji. Gdy w Lublinie powołano na urząd konsultanta wojewódzkiego ds. ginekologii zagorzałego katolika, z zestawień usług medycznych realizowanych w województwie zniknęły niektóre ważne badania ciężarnych. Choć mogły ratować zdrowie i życie płodów, bo w tamtym czasie – podobnie jak in vitro – rozwijała się w Polsce medycyna perinatalna. Prowadzono z powodzeniem operacje serc płodów, sklecano rozszcypy.

Być może płodocentryzm wdał się nawet w statystyki znieczuleń szpitalnych. Bo w inny sposób trudno wytłumaczyć fakt, że w ponad połowie polskich szpitali w 2022 r. nie podano ani jednego znieczulenia rodzającym. Dyrektorzy przywołują brak anestezjologów, ale to nie cała prawda. Za pozostałą część odpowiadają klauzulowi lekarze, którzy uważają, że ból to kara za grzech pierworodny.

Sama klauzula sumienia po dwóch dekadach funkcjonowania też zniknęła już co innego. W 2017 r. forsowano pomysł, by rozciągnąć ją także na aptekarzy i na całe sieci aptek, wycofując ze sprzedaży antykoncepcję. Klauzuli nie wprowadzono, ale niebawem WHO wprowadziło dodatkowy, ciemnoczerwony kolor na mapę dostępności antykoncepcji w Europie, specjalny dla Polski. 30 lat po transformacji dostępność ta jest porażająco niska, o wiele niższa niż w krajach sąsiednich. Ledwie przekracza 30 proc. ▶

► Pierwsza śmierć ofiarna na ołtarzu płodów w 2004 r. – śmierć Agaty Lamczak, która nie dostała leczenia w szpitalu w Łodzi, bo lekarze przestali ją ratować z obawy o ciążę – nie rozpętała jeszcze powszechnej fali protestów. Podobnie jak opisywane w kolejnych latach przypadki oszukiwania kobiet przez lekarzy, zatajanie wyników ich badań, by uniemożliwić – legalne jeszcze wówczas – przerwania ciąży. W Trybunale Konstytucyjnym w Strasburgu pęczniały teczki akt spraw okołaborcyjnych z Polski, przez 30 lat doczekaliśmy się 30 wyroków: utrata wzroku, celowe ukrywanie wad płodu, świadome przewlekanie procedur, śmierć. O każdym z wyroków przez chwilę było głośno albo nie, odszkodowania płacono albo nie, a sytuacja zmieniła się tylko na gorsze.

**Obok rzeczywistości prawnej – czyli częściowego zakazu przerywania ciąży – wciąż istniała ta realna.** Szpitale oznaczały się na niebiesko, a uszkodzone ciążę, jeśli taka była wola ciężarnych, przerywała się za granicami Rzeczypospolitej. Nawet bardzo zaawansowane, jeśli była taka konieczność. Zmieniła się też medycyna. Podczas gdy indukowane i łyżeczowane poronienia wykreślano z list zajęć na polskich uniwersytetach medycznych, jakby podobne zabiegi nigdy już i nikomu nie miały być potrzebne, ogłoszenia w gazetach zastąpiły strony www, gdzie można było zakupić (albo dostać) środki przerywające ciążę wraz z instrukcją, jak bezpiecznie przeprowadzić zabieg w domu.

Tymczasem w rzeczywistości prawnej płodocentryzm rozlewał się dalej, przenikając do kolejnych rozporządzeń i ustaw, w przeróżnych ministerstwach. Wprowadzając do szpitali atmosferę coraz gęstsza od absurdu. Pani Z. ronila bliźniaczą ciążę, siedząc z łyżką nad sedesem, żeby odzyskać szczątki do pochówku. Ósmy tydzień to miarzący niewiele ponad centymetr zlepek komórek; kości nie są jeszcze wykształcone, a bijące nierówno serce dopiero się formuje. Jednak szczątki były niezbędne, żeby pani X. uzyskała prawo do urlopu i zasiłek. Długo czekała na ciążę, przeszła przez wyczerpujące in vitro, które zrujnowało rodzinę, teraz chciała o wszystkim jak najszybciej zapomnieć. Potrzebowała zwolnienia z pracy i pieniędzy, żeby załatać lukę po wydatkach na in vitro. Karnie, za radą pielęgniarki, odławiała więc z muszli łyżką te strzępy, które właśnie ronila. Patrząc w krwawe ślady na bieli porcelany, myślała nad imionami. Bo prócz badań genetycznych, które pozwoliłyby ustalić płeć komórek rybokształtnej tkanki, potrzebne były również imiona – jakby trwające wiele miesięcy zachodzenie w ciążę, te skoki adrenaliny i kortyzolu na widok dwóch kresek, i po ich utracie, nie były wystarczającym powodem. Tak się ronilo w szpitalu Anno Domini 2023.

Rzeczywistość prawna, pchana wieloletnią siłą bezwład, ciągle jeszcze toczy się swoim torem. W sierpniu 2023 r. po raz kolejny zmieniono przepisy dotyczące sterylizacji antykoncepcyjnej, wpisując ów zabieg na listę zakazanych wprost (wcześniej nielegalność ubezdzielnienia wywodzono z innych przepisów). Biskupi polscy zebrali się, by ogłosić, że ratowanie zdrowia psychicznego kobiety poprzez przerwania ciąży należy natychmiast ukrócić. Gdy 14-latce odmówiono przerwania ciąży, rzecznik praw pacjenta i rzecznik praw dziecka zaangażowali się w dowodzenie, że dziewczynka wcale o nią nie prosiła; a może nawet jej nie było – przecież szpitale, wskazane w tekstach prasowych, nie mają w dokumentacji podobnego przypadku.

Ale twarze kobiet, którym pozwolono umrzeć po 2020 r. na oddziałach położniczych, dlatego że były w ciąży, podziały na masową wyobraźnię niemal równie mocno jak kiedyś film

„Niemy krzyk”. Po pierwszej z tych śmierci spontaniczne protesty wypchnęły na ulice wiele tysięcy kobiet, również w małych miasteczkach. Realne życie, społeczne oceny są dziś w skrajnie innym miejscu niż rzeczywistość prawna.

Polska aborcja zyskała też żywą twarz Justyny Wydrzyńskiej, oskarżonej o pomoc innej kobiecie i skazanej na osiem miesięcy ograniczenia wolności. Sprawie przygląda się Parlament Europejski, bo to dziwny przypadek prawny: Polka została skazana za pomoc w dokonaniu czynu, który sam w sobie nie jest przestępstwem, bo kobieta może legalnie wykonać swoją aborcję. I który się ostatecznie nie dokonał, bo tabletki, które Justyna przekazała potrzebującej kobiecie, zostały jej siłą odebrane przez partnera. Moc zmieniania społecznej wrażliwości miały zeznania tej kobiety, która potrzebowała aborcji, żeby się ratować z przemocowego związku. Którym państwo ani przez moment się nie zajęło, ignorując postęпки przemocowego partnera: pozbawienie wolności, śledzenie, łamanie tajemnicy korespondencji, znęcanie się. Historia ta stała się dla tysięcy kobiet kolejnym dowodem, że w Polsce są zdane na siebie, a przemoc, przymuszanie, wykorzystywanie, ingerowanie w prywatność to zdaniem państwa błahostka, norma.

W tym samym czasie, gdy CBOS publikował wyniki badań o stosunku Polaków do aborcji, w innych badaniach tej placówki ponad połowa zapytanych zadeklarowała, że postąpiłaby tak jak Justyna. Mniej niż co piąty z pytanym był zdania, że należało ją ukarać. Także sama skazana uważa, że niemoralne byłoby nie pomóc. Raz jeszcze zrobiłaby to samo. Ot, klauzula sumienia.

**Ale ważniejsze jeszcze jest, że przy okazji sprawy Justyny Wydrzyńskiej opinia publiczna po raz kolejny usłyszała, że aborcja sama w sobie jest legalna.** W wakacje na ulice nadmorskich miejscowości wyjechał abortobus upowszechniający tę wiedzę. Która się jeszcze utrwałała, gdy media zaczęły raportować przypadek z Krakowa. Do szpitala wtargnęła policja, osaczając kobietę w trakcie indukowanego poronienia. Jakby sami funkcjonariusze nie mieli pojęcia, że skoro nie ma przestępstwa – bo kobieta ma prawo przerwać ciążę – to ich obecność w szpitalu jest absurdem. I nękanie pacjentki. Wtedy też medycy w wielu polskich szpitalach dowiedzieli się, że wahadło już leci w drugą stronę. To właśnie lekarze z krakowskiego szpitala starali się przegonić policjantów, argumentowali o przeszkadzaniu w pracy. Tak jakby zmiana, która zaszła w szpitalach, była głębsza, niż do niedawna sądziliśmy.

Głębsza, bo zbudowana na mocnych podwalinach. Po wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej prawniczki Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny zaczęły rozsyłać do szpitali wskazówki, w których jasno zapisały, co zgodnie z dzisiejszym prawem szpital może, co powinien. Rozsyłały je wraz z oświadczeniem Ministerstwa Zdrowia, że prawdą jest, iż szpitale zobowiązane są honorować wystawiony przez psychiatrę dokument. Ze wystarczy opinia jednego lekarza, by aborcja z przyczyn związanych ze zdrowiem matki była legalna. Podobnie jak obowiązkiem szpitali jest ratować zdrowie i życie kobiety w innych aspektach – także kosztem ciąży.

A gdyby i ten komunikat nie był wystarczająco jasny, przez media przewijała się właśnie wiadomość, że lekarze, którzy leczyli zmarłą w szpitalu w Pszczynie Izabelę, usłyszeli już prokuratorskie zarzuty spowodowania śmierci kobiety. Ich proces, jeśli do niego dojdzie, może być znacznie głośniejszy niż sprawa Justyny Wydrzyńskiej.

MARTYNA BUNDA



Podczas ostatniego meczu z Wyspami Owczymi Lewy zdobył dwie bramki, a gestem „nie widzę, nie słyszę i nie mówię nic złego” złożył życzenia urodzinowe swojej żonie Annie.

## Lewy na ławę?

Po ostatnich klęskach reprezentacji rozpoczął się atak na **Roberta Lewandowskiego**. Sam napastnik ma już dość i zapowiada, że koniec jego występów w drużynie narodowej jest bliski. A przed kadrą eliminacyjne „mecze ostatniej szansy”.

**L**ewy się skończył. Jest słaby, zbyt wolny, nie potrafi przyjąć piłki ani wyjść na pozycję, snuje się bezproduktywnie po boisku, nie jest żadnym zagrożeniem, nic nie daje reprezentacji, macha tylko rękami i ma pretensje do niepodających mu piłki kolegów, najwyższy czas, by ustąpił miejsca innym – to tylko próbka internetowych komentarzy.

Fatalna passa reprezentacji, upokarzające, czwarte miejsce w grupie eliminacyjnej mistrzostw Europy (tylko nad Wyspami Owczymi) i realna perspektywa braku awansu do finałowego turnieju rozpętały falę krytyki Lewandowskiego. Do anonimowych hejterów,

wylewających żółć na internetowych forach, coraz częściej dołączają eksperci z rodzimego środowiska futbolowego.

### Piłkarska omerta

Ekspertom jeszcze bardziej od tego, co napastnik wyrabia na boisku, nie spodobało się to, co powiedział poza nim. A w wywiadzie, jakiego niedawno udzielił stacji Eleven – półtoragodzinnym, nakręconym właściwie ciurkiem, niepoddanym potem cenzorskiej ingerencji – kapitan był do bólu szczery. W odniesieniu do reprezentacji stwierdził, że ostatnie porażki nie wzięły się znikąd. Bo temu zespołowi brakuje ludzi z charakterem, osobowości gotowych

wziąć na siebie odpowiedzialność na boisku, zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych. Młodzi sprawiają wrażenie niezainteresowanych rozwojem, zadowolonych z tego, co mają, dziwnie onieśmielonych. A on, Lewandowski, ma już dość świecenia oczami po porażkach, w końcu to gra zespołowa i przydałoby się, by inni również poczuli się do odpowiedzialności za wyniki.

No i podniosło się larum. Najczęstszy zarzut: takie problemy załatwia się w szatni, co z niego za kapitan, który pierze brudy na zewnątrz, teraz tylko patrzeć, jak ta zepsuta przez Lewandowskiego atmosfera odbije się na boisku. Po porażce z Albanią kapitan został okrzyknięty głównym winowajcą. Napastnik z niego żaden (przeciwko Albańczykom nie oddał nawet pół strzału), a na dodatek jeszcze wywołał w drużynie ferment. Jak niedawno stwierdził były kapitan reprezentacji Michał Żewłakow, Lewandowski myślał nie kategoriami dobra zespołu, ale własnego wizerunku i osobistych korzyści. Swej myśli jednak nie rozwinął.

Można odnieść wrażenie, że w komentatorsko-eksperskim gronie zapanowało powszechne zadowolenie, że wreszcie można się do tego Lewandowskiego, który od lat orbituje na kosmicznym poziomie sportowym i finansowym, ►

► przyczepić. Toczy się podkręcany przez zwykłą zawiść wyścig, kto celniej oraz dosadniej kapitanowi dołoży i dzięki temu zaistnieje znów w szerszej kibicowskiej świadomości jako ten, który nie bał się wygarnąć, nazwać wreszcie rzeczy po imieniu, nie zważając na status Roberta w polskiej piłce. W związku z tym, że nie bardzo dało się Lewandowskiego krytykować za nieskuteczność – jako napastnik żyje z podań, jeśli ich nie dostaje, z piasku biczca nie ukręci – obrywa teraz za szczerość. Musiał się z tym liczyć, bo w piłkarskiej szatni obowiązuje swego rodzaju omerta.

Wywiad Lewandowskiego był zaskakujący. Do tej pory raczej gryzł się w język, na niewygodne pytania odpowiadał okrągłymi zdaniem, starał się być poprawny, przezroczysty i akuratywny. Nie urazić, nie nadepnąć na odcisk, nie dać pożywki do spekulacji ani wyciągania słów z kontekstu. Jeśli niekiedy zgłaszał pretensje, to w kwestii sposobu gry: że zbyt bojaźliwie, mało zaskakująco i kreatywnie, że znów uświęconym polskim kontratakiem. No, ale dopóki bilans, przynajmniej w meczach eliminacyjnych, wychodził na plus, powodów do narzekania za wiele nie było.

Jego głos w szatni nigdy nie brzmiał najbardziej donośnie. Krzyknąć, rzucić wiązanek, a w razie czego potrząsnąć – to zupełnie nie w jego stylu. Jeśli sytuacja na boisku wymykała się spod kontroli i trzeba było zespół zmobilizować, to Lewandowski nie robił tego porywającymi, kwiecistymi pogadankami. A jeśli próbował, wypadał sztucznie. Nie jest typem wodzireja ani duszą towarzystwa. Kapitanem zrobił go przed laty Adam Nawałka, chcąc Lewandowskiego dowartościować, nawet kosztem złamania niepisanej zasady, że opaska z urzędu należy się temu, kto ma najwięcej meczów w kadrze. Wówczas był to Jakub Błaszczykowski, który trochę się dąsał, ale koniec końców schował dumę do kieszeni. Nie miał wyjścia, bo od decyzji Nawałki nie było odwołania.

### Król, nie magik

Pozycji Lewandowskiego nikt nie śmiał kwestionować, bo na co dzień potwierdzał klasę w klubach – najpierw w Bayernie, a od ponad roku w Barcelonie. Ale jednocześnie mecze reprezentacji – ustawianej przez kolejnych selekcjonerów defensywnie – były dla niego często drogą przez mękę, upływały od kontrataku do kontrataku. Jeśli mówi się więc o braku charyzmy albo kompetencji przywódczych Lewandowskiego,



ILUSTRACJA OBYWATEL JANEK

to chodzi głównie o to, że nie zdołał przekonać trenera ani kolegów z drużyny, że na boisku nie można się bać własnego cienia, oddawać inicjatywy, że generalnie gra w piłkę sprowadza się do strzelania goli i trzeba stwarzać na to szanse. Jedynym trenerem w ostatnich latach, który starał się uwolnić ofensywny potencjał reprezentacji, był Portugalczyk Paulo Sousa. Prowadzona przez niego kadra odpadła wprawdzie już w fazie grupowej Euro 2020, ale zagrała porywające mecze z Hiszpanią i Szwecją, a Lewandowski zaliczył swój najlepszy turniej – trzy gole w trzech spotkaniach.

42, 43, 41, 40, 55, 48, 50, 33. Tak wygląda bramkowy dorobek Lewandowskiego w ostatnich ośmiu sezonach w klubach. Każdy z nich kończył z tytułem mistrza kraju (najpierw w Bayernie Monachium, a ostatnio w Barcelonie), sześć lat z rzędu zostawał ligowym królem strzelców. Do swoich snajperskich popisów w Bayernie – niedościgniętych dla wszystkich rywali w Bundeslidze – zdążył już przyzwyczaić. Po ubiegłorocznym transferze do Barcelony nieco stracił na skuteczności, ale trochę zaskoczyła go specyfika hiszpańskiej ligi, gdzie wiele zespołów

ze środka tabeli opiera taktykę na boiskowych rębajłach, którzy zabijają grę, zresztą za przyzwoleniem sędziów. Przeżywająca potężne finansowe kłopoty Barcelona, tylko z racji swoich zasług i miejsca w kibicowskiej wyobraźni niezdegradowana za budżetową dezynwolturę oraz próby wpływania na obsadę sędziowską meczów w La Liga, nie była faworytem do tytułu. Ale go odzyskała, z dużym udziałem 35-letniego już Lewandowskiego, mimo jego ewidentnego kryzysu formy w drugiej połowie sezonu, jak również kłopotów zdrowotnych.

Z punktu widzenia niedzielnego kibica, emocjonalnie zaangażowanego przede wszystkim w mecze reprezentacji, ta codzienna skuteczność Lewandowskiego jest tyleż imponująca, co irytująca. Bo choć trudno mu zarzucić, że w meczach kadry ją gubi (wciąż śrubuje swój rekord – aktualnie 81 goli – który będzie nieosiągalny przez dekady), to na wielkich turniejach robił się niewidoczny. Niedzielny kibic domaga się od Lewandowskiego dowodów futbolowej wielkości, a nawet magii, co z grubszą ma się sprowadzać do tego, że zrobi coś z niczego. Czyli nawet jeśli obrońcy przepuszczą gola, a pomocnicy nie

okażą się specjalnie na boisku pomocni, to Lewy ma to zrekompenzować rajdem przez całe boisko, wbijając po drodze rywali w ziemię, a na koniec jeszcze strzelając przewrotną.

To oczekiwanie jest do bólu naiwne i jakby żywcem wyjęte z kreskówkowych scenariuszy o kapitanie Tsubasie, który demonstrował na boisku zestaw mocy pokonujących prawa fizyki. Futbol jest grą zespołową, drużyna to naczynia połączone, które łatwiej harmonijnie zestroić w klubach niż na zgrupowaniach reprezentacji, gdzie czasu na wspólne treningi jest jak na lekarstwo.

## Brutalna gra

Co Lewandowski na to, jak jego wywiad został odebrany? Ponoć niespecjalnie się przejął krytyką, zresztą w ostatnich latach zdążył się do niej w mediach przyzwyczaić. W polskim internecie jego nazwisko jest jednym z największych magnesów. Do obsługi newsów o Lewandowskim i o jego żonie celebrytce oddelegowana jest cała armia piszących. Najlepiej sprzedają się oczywiście ploteczki. Nikt już nie dochodzi, czy jest w nich ziarno prawdy, czy zostały wyssane z palca. Grunt, że się klikają.

Trwa to już dobrych kilkanaście lat i buduje aurę zmęczenia Lewandowskim. Ale dużo większym problemem z wizerunkowego punktu widzenia jest sprawa jego sporu z byłym menedżerem Cezarym Kucharskim. Poszło oczywiście o pieniądze, gdyż Lewandowski planował się z Kucharskim rozstać, a Kucharski uważał się za dysponenta praw do wizerunku Lewego. Nabyte kilkanaście lat temu za 50 tys. zł (gdy młodziutki Robert grał jeszcze w Zniczu Pruszków) po latach menedżer wycenił na niemal 40 mln zł. Lewandowski ani myślał mu tyle płacić i potajemnie nagrywał rozmowy, jakie prowadzili. Gdy uznał, że człowiek, który swego czasu świetnie pilotował jego karierę, posuwa się do ciosów poniżej pasa – podczas rozmów Kucharski groził ujawnieniem poufnych informacji na temat operacji optymalizujących opodatkowanie dochodów Lewego, a następnie artykuły na ten temat ukazały się w „Der Spiegel” – złożył do prokuratury zawiadomienie, że padł ofiarą szantażu.

Obecnie w sądach ugrzęzły dwie sprawy – spór finansowy o wspomniane prawa do wizerunku oraz karna, w której Lewandowski ma status pokrzywdzonego – i z powodu postępującego paraliżu polskiego wymiaru sprawiedliwości nie ma widoków na koniec. Ale pikantne

szczegóły, gdzie Lewandowski jest przez Kucharskiego opisywany jako skapiradło i oszust podatkowy, który z powodu chorośliwej nieufności otacza się wyłącznie doradcami z grona rodziny i przyjaciół, już wyciekły.

Odpowiadać na to trudno, zresztą tajemnicą poliszynela jest, że gwiazdor dał się kilkukrotnie namówić na niewypały biznesowe, więc trudno się dziwić jego głębokiemu przekonaniu, iż ufać można wyłącznie bliskim. O tym, jak brutalna bywa gra na futbolowych szczytach, gdy w grę wchodzi duże pieniądze i również duże ego, Lewy przekonał się ubiegłego lata, pod koniec swojego pobytu w Bayernie. Publicznie dawał do zrozumienia, że chce odejść z Monachium, nie ma zamiaru podpisywać nowego kontraktu, obiektem jego piłkarskiego pożądania stała się Barcelona, a jeśli Bayern chce na nim zarobić, to ma ostatnią szansę. Takie stawianie sprawy nie spodobało się szefowi bawarskiego giganta, hołdującym zasadzie, że żaden piłkarz nie może być większy niż klub. Postanowili zrobić Lewandowskiemu na złość i nie puścić go do Katalonii, a na dodatek do niemieckich mediów zaczęły wyciekać „informacje z pierwszej ręki”, że Lewy jest nielubiany, mało komunikatywny, zadziera nosa i sieje w szatni defetyzm, gdyż nie odpowiada mu taktyka.

Z największego gwiazdora stał się nagle piłkarzem najbardziej obrzydzanym. Lewandowskiemu groził kolejny rok gry w Monachium w niezbyt sprzyjającym klimacie, ale w końcu szefowie Bayernu zgodzili się na transfer. Obie strony podały sobie ręce, zapanował kurtuazyjny klimat *no hard feelings*, a zasługi napastnika dla Bayernu nie zostały zapomniane. W niedawnym plebiscycie z okazji 60-lecia Bundesligi został wybrany do grona sześciu najlepszych piłkarzy w historii rozgrywek, zresztą jako jedyny obcokrajowiec.

## Młodzi w ciepłarni

Za śmiałymi i radykalnymi odezwaniami, by podziękować już kapitanowi oraz przewietrzyć reprezentację, idzie naiwna wiara w to, że na zapleczu czeka wybitne, młode pokolenie, stanowiące jakościową zmianę. Młode pokolenie może i czeka, ale – co podkreślają ludzie, którzy na piłce zjedli zęby – jest z nim pewien generalny problem: charakterologiczna kruchość. Lewandowski, Glik, Szczęsny, Błaszczykowski, Piszczek, Krychowiak – oni wszyscy mieli za sobą bezcenne doświadczenie: dojrzewali w siemieżnych warunkach, na boiskach-kartofliskach,

nie bali się u progę dorosłości skoczyć na głęboką wodę za granicą, dokąd wyjeżdżali po naukę jako nastolatki. Na ogół bez znajomości i bez języków. Przetrwali i zbudowali sobie tam trampolinę do kariery. Okazało się to świetną szkołą charakterów.

Dziś do zawodowego futbolu trafiają przede wszystkim ludzie wychowani w ciepłarnianej rzeczywistości, ukształtowani w profesjonalnych klubowych akademiach, gdzie chucha się na nich i dmucha. Traktowani jako inwestycje o wysokiej stopie zwrotu, wszystko, co z piłkarskiego punktu widzenia potrzebne, dostają na tacach. Martwią się głównie tym, by nie doznać kontuzji i przetrwać selekcji, a zajmują się nimi *care* menedżerowie, czyli swego rodzaju futbolowe niańki. Lewandowski wspominał, że gdy sam debiutował w kadrze, lgnął do starszych zawodników, chcąc się dowiedzieć, jaki jest przepis na sportowy rozwój. Tymczasem w dzisiejszym pokoleniu tego głodu nie widzi; na zgrupowaniach rzadko kiedy jakiś żółtodziób przychodzi do niego po rady.

Dlaczego? Być może to kwestia zwykłego onieśmienia, ale niewykluczone, że problem jest głębszy, pokoleniowy. Dziś młodym łatwiej rozmawiać na odległość, za pomocą smartfonów i emotikonów, bezpośredni dialog ich peszy. Na to jeszcze nakłada się niechęć do wyrwania się z własnej strefy komfortu – w przypadku większości dzisiejszych reprezentantów raczej anonimowej egzystencji w swoich klubach, za co jednak inkasują pensje rządu co najmniej kilku milionów złotych rocznie. Dając mało, i tak biorą dużo, więc wychodzą z założenia, że nie ma sensu aspirować do grona liderów, wysuwać się na pierwszy plan i narażać na ewentualny ostrzał.

W futbolu nazywa się to grą „na alibi” i do niej właśnie, jako jednego z fundamentalnych problemów reprezentacji, nawiązywał w swym przyпыlywie szczerości Lewandowski. Dał jednocześnie do zrozumienia, że jego koniec w drużynie narodowej nieubłaganie się zbliża i wszystko wskazuje, że będzie to przyszły rok. Będzie wówczas do wzięcia w nowej roli, bo jego know-how w kwestii detali dotyczących treningu, regeneracji, odżywiania, przygotowania fizycznego i budowania odporności psychicznej to wyjątkowy kapitał, zbudowany dzięki pracy z najwybitniejszymi specjalistami na świecie. Ale w obecnym układzie rządzącym PZPN nie widać chętnych, by z tej wiedzy skorzystać.

MARCIN PIĄTEK



# Zła aura

Dom pośrodku wsi, zasłonięte okna, cicho.  
Mieszkają dzieci żywe i martwe.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

**W**dowiec Piotr wychodzi z domu niechętnie, tylko do obowiązków.

Rano wiezie starą Vec-trą córkę Paulinę do pracy w cukierni w pobliskiej gminnej wsi Stara Kiszewa, po południu odbiera. Do opieki społecznej obok cukierni jeździ w sprawie zasiłków – przedłużyć prawo do wypłat, pobycić miłym dla pań urzędniczek. Z kolei do kierowniczkii cukierni z krzykiem, bo córka żali mu się na koleżanki

ze zmiany. Córkę kocha, nie pozwoli ob-cym robić jej krzywdy.

Poza tymi krótkimi wyjazdami – domator. Wieś widzi: wyjdzie na schodki przed domem, przeciągnie się. Bycza muskultura, dba o fizyczność. Obejdzie podwórze, nie dotykając niczego. Jak wiatr zabrał mu dach znad szopy, tak dachu brak od kilkunastu lat. Dzień dobry, pozdrowi wdowiec z daleka miłym głosem. Ludzie wolą, gdy jest daleko. Bo podchodzi za-wsze za blisko – prawie dotyka twarzą,

patrzy bez mrugania, szepce. Głównie się chwali, że wszystko umie robić, bo z nie-jednego pieca jadł.

Rąk nie będę brudził, mówi dumnie o pracy. Mieszka w domu na nieogrodzo-nej działce, a jakby miał płot pod prądem. Tam się nie chodziło. Powiedzą ludzie na wsi – gdy prawda już się dopełni – tam było coś złego. Tak płynęły lata we wsi Czerniki, z tym domatorem, jego dwana-ściorgiem dzieci, które kolejno wyfruwały z domu, i trojgiem zakopanych w piwnicy.

+++

Rodzina G. spadła na Czerniki 20 lat temu. Po prostu któregoś dnia stanęli nieznanii ludzie na podwórzu przed starym, pustym domem. Ojciec i matka po trzydziestce, ośmioro dzieci. Otoczeni przeprowadzkowymi kłopotami. Weszli do środka, zamknęli za sobą drzwi, zostali na życie. Rok w rok urodziło się im jeszcze czworo dzieci.

Nazywają się Piotr i Hanna G., tyle o so-bie opowiedzieli. Bardzo dbali o wymaza-



ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI

za pomówienia. Musiał przeprosić Piotra G., więcej się nie wychylał.

+++

Dzień dobry, pani sąsiadko, wołał bardzo miłym głosem Piotr G.

Potrafił ostentacyjnie ciepło się uśmiechać. Miało to urok, jeśli wziąć pod uwagę jego bandytową powierzchowność, przywodzącą sąsiadce na myśl typ mafijny. Sąsiadka opowiada, że przyspieszała kroku, byle dopaść własnej furtki.

Tymczasem źle się działo z Hanną G.; zanikała. Z ładnej, mocnej kobiety zrobił się przecinek. Nie miała czasu odpocząć od porodów, przybierała na wadze tylko przez ciężę. Struta, narzekająca, popijająca, umęczona. Robał się w niej załagł, mówi wieś. U państwa G. zaczęto zasłaniać okna, żeby nikt nie podglądał. Dom jak krypta, pełen wsobnego życia. Czerniki bały się nieznanej rzeczywistości dziejącej się tam po cichu wśród ścian. Czasem wydawało się, że Hanna już-już otwiera usta, żeby powiedzieć ludziom prawdę. Umarła, nie mówiąc nic nikomu, w wieku 39 lat.

W 2008 r. Piotr został sam z dwanaściorcem dzieci – 8 chłopcami, 4 dziewczynkami. Najmłodsza córka, Paulinka, miała 5 lat. Okna i drzwi pozostały zamknięte, Piotr nigdy nie szukał pomocy sąsiadów. Najmroczniejszy rozdział w historii domu pośrodku wsi miał się dopiero rozpocząć, potrwać kilkanaście lat i splątać w supel znaczeń i tropów, którego już kilka razy wcześniej nie zdołała rozplątać ani prokuratura, ani sąd. A potem nagle wyjaśnić się w ciągu kilku godzin z przerażającą prostotą i w niemal całkowitej zgodności z przecuciami wsi.

+++

W piątek 15 września 2023 r., po południu, dom Piotra G. otoczył policyjny kordon. Do środka wpuszczono psa wytresowanego do szukania zwłok. Potem weszli technicy. Ciała trojga niemowląt owinięte w czarne worki na śmieci zakopane były w piwnicy pod podłogą. Ubita ziemia, nie żadna posadzka, odkopywanie trwało krótko. Wiadomo już, że najstarsze zwłoki pochodzą sprzed kilku lat, najmłodsze mają 2 tygodnie. Wszystkie mają być dziećmi Piotra G. (54 lata) z jego dwiema córkami. W tym dwoje ostatnich z Pauliną, lat 20, zatrudnioną przy produkcji ciastek w cukierni w Starej Kiszewie.

Właśnie w cukierni na początku września zaczęło się mówienie prawdy o rodzinie G.

+++

Profil Piotra G. wyostrza się z dnia na dzień. Do Czernik przyjechali dzien-

nikarze w takich ilościach, że mieszkańcy musieli się przed nimi chować. Wójt Starej Kiszewy Marian Pick przeszukał dostępne sobie dokumenty, popytał ludzi z okolic, połączył fakty. Okazało się, że rodzina G. pochodzi z Gdańska. Tam wynajmowali mieszkanie, ale nie płacili czynszu. Właściciel, Polak pracujący na co dzień w Niemczech, chciał ich eksmitować, jednak wielodzietne rodziny są pod ochroną. Żeby się pozbyć G. z mieszkania, miał kupić 20 lat temu działkę ze starym domem we wsi Czerniki, gdzie Piotr i Hanna G. przenieśli się z ośmiorgiem dzieci.

Ale ta układanka, pomimo że oficjalna, może wyglądać jak czyjś zapasowy życiorys – nieznane jest nazwisko nabywcy działki we wsi, a z dokumentów wynika, że dom przekazano G. w darowiźnie dopiero w 2020 r. Od czasu przeprowadzki do Czernik Piotr G. ani jego żona nie pracowali – utrzymywali się z zasiłków opieki społecznej, wszystko zgodnie z prawem i przepisami. Piotr, który w życiu nie figurował w spisie urzędu pracy, żył z zasiłków do momentu aresztowania. Jego dobre zdrowie, forma fizyczna i wiek produkcyjny były tu bez znaczenia.

Rodzina G. miała założoną niebieską kartę i przydzielonego kuratora, często w ich odizolowanym domu bywała policja. W ostatnich latach prokuratura prowadziła aż pięć postępowań w sprawie Piotra G. – dotyczyły podejrzeń znęcania się nad członkami rodziny i kazirodztwa – wszystkie zostały umorzone wobec „braku danych dostatecznie uzasadniających podejrzenie popełnienia czynów”.

I jeszcze jedno: prawie wszystkie porody swoich dzieci – tych z żoną i tych, które miał mieć z własnymi córkami – Piotr G. przyjmował sam w domu z zasłoniętymi oknami.

+++

Wieś wiedziała, co robi Piotr G. w czterech ścianach. Często się o tym rozmawiało, ta wiedza ludzi uwiierała. Tylko że nie było już gdzie zwracać się po pomoc. Dzień dobry, pozdrowiał ich G. przemiłym głosem. Pytał o zdrowie, potrafił coś inteligentnie wygłosić, błysnąć rozsądnym poglądem. Tylko o sobie milczał.

I utarło się we wsi, że nie ma jednej prawdy o G. Bo albo trzeba by przyjąć, że organy ścigające przestępców mają go za wielokrotnie niewinną ofiarę pomówień, albo kryją jego winy. Jedno było pewne: Piotr G. to przebiegły drapieżnik. Przymilny w urzędach i wobec władzy, krwiożerczy w zamkniętym domu wobec słabych lub takich, których uzna za wrogów. ▶

nie przeszłości, jakby przed Czernikami wcale nie istnieli. Przyjechali nie wiadomo skąd, z zawodu byli nie wiadomo kim. Tacy samowystarczalni w swoim wielodzietnym sosie, biała plama na mapie wsi. Nie prywatność, tylko izolacja. Nawet nie starali się żyć w nowe miejsce.

Ale dzieci państwa G. nie opuszczaly szkoły, były czyste, zadbane, przynosiły z domu drugie śniadania. Same się ze sobą bawią?, nie mają kolegów poza szkołą? – takie jest prawo rodzeństwa. Nie chodzą do kościoła? – taki ich wybór. Nie było się do czego przyczepić.

Wieś jest malutka, niecałe 180 mieszkańców. Gdyby nie jakaś przeczuwana zła aura nad domem rodziny G. i dobiegające czasem z wnętrza krzyki, Czerniki nawet by nie plotkowały, że Piotr G. gwałci dzieci. Ale mówić głośno o jakiejś aurze i przecuciu? To niepoważne. Liczą się dowody. Gdy kilka lat temu pewien sąsiad z Czernik próbował mówić w sądzie o przecuciach w sprawie domu G., sędzia ostrzegła, że może zostać ukarany

► Czerniki proszą, żeby nie pisać o G. jako tutejszym. Zawsze był tu obcym ciałem.

+++

Paulina G. nie ma własnego życia, zna tylko życie z tatą.

Tata jest dla Pauliny wzorem, mówią koleżanki z pracy. Czasem patrzą przez okna cukierni – już na nią czeka w starej Vectrze, taki bykowaty, zawiezie ją na noc do domu. A rano znów przywiezie. Natomiast Paulina wpada w dziki krzyk i gotowa rzucać się z pazurami, gdy ktoś powie coś złego o jej tacie. Bardzo konfliktowa, mówią koleżanki, głośna i roześmiana.



Dom zły w Czernikach, poniżej piwnica, w której ukryto ciała.



© MATERIAŁY PRASOWE (2)

Wcale nie typ ofiary. Często się kłóciły w cukierni.

Paulina wychodzi do taty. Mówią sobie per „kochanie”. Trzymają się za ręce. Czasem on ją klepnie w tyłek. Jest witalnym wdowcem i mógłby dać poczucie bezpieczeństwa jakiejś kobiecie, spekulują we wsi. Ale wybrał córkę. W domu w Czernikach została mu do wychowywania już tylko ona i opóźniony intelektualnie syn Damian, lat 24. Wszyscy inni już uciekli – synowie mieszkają niedaleko, niektórzy sami mają wielodzietne rodziny. Jednego przygarnął teść. Jeden jest podobno

w wojsku, ale nie daje znaku życia. Córki są albo w ośrodkach dla samotnych matek, albo same mają rodziny. Jedną wyratowali z domu złego ludzkiego wójta Picka. Zawieźli do szpitala, gdzie urodziła bliźniaki, i już nie wróciła do ojca. Dzieci są pod opieką placówki.

+++

Damiana G. widać, jak siedzi na schodkach pod zamkniętymi drzwiami domu albo łązi bez celu i przesiaduje na studzienkach kanalizacyjnych wzdłuż drogi. Co tak łązisz, Damian?, pytają, choć znają odpowiedź. A bo mnie wypędzili tata

w cukierni nie ma. Kierowniczką zna się na ludziach i Paulinę szybko przejrzała: pyskata na zewnątrz, w środku słaba. Ma gorsze dni, kiedy sama przychodzi się pozalić do biura.

Paulina – pyta pani Matyszczyk pod koniec sierpnia – jesteś w ciąży?

+++

W maju Piotr G. goli Paulinę na łyso. Za karę, żeby nie patrzyli na nią inni chłopcy. Jest ładna, ma piękne blond włosy. No to już nie będzie taka ładna. W pracy dziewczyna mówi, że miała chorą skórę głowy, więc się ścięła.

Tylko że to już jest prawie koniec tej rodzinnej fikcji. Już koleżanki z cukierni mają Paulinę na oku. Na przykład: dlaczego przebiera się po pracy w korytarzu, a nie we wspólnej szatni? Dlaczego ścisła biust i brzuch pasami? Dlaczego ledwie chodzi? Ona skarży się na nie tacie. Piotr G. decyduje, że powinna wziąć urlop. Wraca chuda i słaba – poci się, przysiada, dyszy ciężko, podkłada ligninę pod sutki, bo cieknie jej mleko. Ciągłe esemesuje z tatą. Dziewczyny podglądają esemesy: co robi?, pyta Paulina. Ciągłe ryczy, pisze Piotr. Potem już nikt nie ryczy, leży pod podłogą w piwnicy.

Ktoś z cukierni – nie powiedzą kto, bo ciągle jest strach przed Piotrem G., mimo że aresztowany – idzie zawiadomić opiekę społeczną o ciąży. Jedzie pracownica pomocy. Pod pretekstem, że chce sprawdzić stan Damiana, wyciąga Paulinę na rozmowę. I chyba stary G. traci czujność, bo na to pozwala. Paulina leży w łóżku, w ubraniu, bo bardzo źle się czuje. Przyjeżdża pogotowie. W szpitalu wychodzi w badaniach – była w ciąży. Tam pęka, opowiada, co się stało, ale w dziwny sposób: beztrąsko, bez skrępułów. Jest przekonana, że tatuś chciał dobrze i tak właśnie trzeba było zrobić. W piwnicy leży troje dzieci, jedno siostry. Teraz co innego mężczy wieś – gazety piszą o Paulinie i Piotrze per „zwyrodnialcy”. A Paulina nie jest ofiarą taty? – pytają ludzie.

Gdy w okolicy dowiadują się o zbrodni, nawet bez szczegółów, przyjeżdżają bezbłędnie od razu pod dom G. pośrodku wsi Czerniki. Każdy tu wiedział o Piotrze G., tylko organy nie wierzyły.

+++

Piotr G. i Paulina G. zostali aresztowani pod zarzutami zabójstwa dzieci i kazirodztwa. Grozi im dożywocie. Jednak jest to, jak mówi Grażyna Wawryniuk z Prokuratury Okręgowej w Gdańsku, dopiero początek dochodzenia.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Żołnierze radziecy w Legnicy, 1992 r. W posiadaniu Rosjan były tu 1203 obiekty, m.in. szpitale, budynki mieszkalne, oświatowe, kulturalne i sportowe.



# Troski po Ruskich

Dla jednych to był prawdziwy koniec zimnej wojny, dla innych okazja łatwego zarobku, a dla jeszcze innych zwiastun nowego życia. 30 lat temu Polskę opuściła armia rosyjska. Co po niej zostało?

ZBIGNIEW BOREK

**B**yla godz. 5.30 w sobotę 18 września 1993 r., gdy z warszawskiego Dworca Wschodniego do Moskwy wyjechał pociąg z 24 oficerami, w tym pięcioma generałami. Zostali uznani za ostatnich rosyjskich mundurów w Polsce (choć zostało jeszcze ok. 30 żołnierzy misji nadzorującej tranzyt wojsk rosyjskich z Niemiec). Przed nimi wróciło do domu ok. 56 tys. żołdatów. Operacja zaczęła się w 1989 r., po częściowo wolnych wyborach i powołaniu pierwszego niekomunistycznego premiera, ale za początek oficjalnego wycofywania uznany został 9 kwietnia 1991 r., kiedy z garnizonu Borne Sulino wyjechał eszelon transportujący w kilkudziesięciu wagonach jednostkę raketową. Żegnano ich bez fanfar, choć np. na bocznicę w Nietoperku (woj. lubuskie) kobiety przyniosły kwiaty, mężczyźni butelczyny za pazuchą, a w Legnicy był festyn z estradą, rusztem i popisami komandosów. 17 września 1993 r. prezydent Lech Wałęsa przyjął od gen. Leonida Kowalowa meldunek o zakończeniu wycofywania wojsk rosyjskich i ogłosił, że Polska jest gotowa wstąpić do NATO.

Po Armii Rosyjskiej (wcześniej Radzieckiej, jeszcze wcześniej Czerwonej) pozostały nieruchomości. Najwięcej na tzw.

Ziemiach Odzyskanych, które traktowała jak swoje (zwłaszcza w pierwszych latach po wojnie) i gdzie stacjonowała większość jej garnizonów (także z powodów strategicznych). Ogółem użytkowała 70,5 tys. ha terenów, w tym m.in.: 563 ha gruntów ornych, 5 tys. ha łąk i pastwisk, 35 tys. ha lasów, 63 ha stawów i jezior. Lotniska i poligony zajmowały 58 tys. ha. W latach 1990–93 władze polskie przejęły 7854 obiekty wojskowe. Jedne, poniemieckie, czerwonoarmiści zajęli w 1945 r. (było ich 3807, w tym ok. 1,2 tys. budynków mieszkalnych), inne sami wybudowali (4407 obiektów, w tym 240 mieszkalnych). Wielu z nich Polacy do tamtej pory nie mogli nawet zobaczyć.

## Mała Moskwa

– *Jako siedziba rosyjskiego dowództwa w Polsce Legnica była miastem o ograniczonej suwerenności: jedna trzecia miasta znajdowała się w rękach Rosjan, wstęp był tam zabroniony i pilnie strzeżony. Nam, polskim mieszkańcom, pokazali ją dopiero, gdy ich wyjazd był przesądzony. I to z okien autobusu, który nie miał prawa się zatrzymać* – wspomina dr Wojciech Kondusza, autor książki „Mała Moskwa. Rzecz o radzieckiej Legnicy”. To wtedy

po raz pierwszy po niemal 50 latach (albo po raz pierwszy w życiu) polscy mieszkańcy Legnicy zobaczyli słynny Kwadrat: 40 ha za betonowym i ceglanym płotem, gdzie w willach fabrykantów zamieszkiwali najwyżsi rangą oficerowie i mieścił się (pięć kondygnacji, w tym dwie pod ziemią) sztab Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej (PGW AR). Niższe szarże zajmowały ponad tysiąc mieszkań w najlepszej miejskiej zabudowie, zwykli żołnierze – ponemieckie koszarowce. W posiadaniu Rosjan były w sumie 1203 obiekty – także lotnisko, zakłady, bazy magazynowe, szpitale, budynki mieszkalne, oświatowe, kulturalne i sportowe. Znajdowały się w 40 odrębnych kompleksach zlokalizowanych na 430 ha.

Po wyjeździe Rosjan rozpoczęła się inwentaryzacja. Okazało się, że przejęty majątek nie miał dokumentacji geodezyjno-prawnej, większości budynków Rosjanie nigdy nie remontowali. Na odchodnym nielegalnie sprzedawali swoje mieszkania Polakom, co mogli, wywieźli do Rosji, wyprzedawali antyczne lustra i meble z luksusowych willi, rozbierali nawet kominki. Szkód narobili też rodzimi złomiarze, a mimo to sporo budynków stanowiło łakomy kąsek. ▶

► W Kwadracie większość kupiły osoby prywatne i do dziś są to wille mieszkalne, kilka użytkują instytucje i urzędy. W dawnym sztabie przechowywane są kilometry akt personalnych pracowników zlikwidowanych przedsiębiorstw z całej Polski, jedna z najbardziej reprezentacyjnych willi – Dom Oficera – zamieniła się w seminarium duchowne, w Domu Prijoma (Przyjęć), w którym goszczono oficjeli państw Układu Warszawskiego, mieści się luksusowy hotel i restauracja. Budynki koszarowe zajmuje lokalna uczelnia, pas startowy 230-hektarowego lotniska wykorzystuje aeroklub, w hangarach działa sporo firm, ale są i pustostany, jak doszczętnie zrujnowany kompleks szpitalny w Łasku Złotoryjskim. Dr Kondusza: – *Zagospodarowano ok. 95 proc. poradzieckich obiektów. Choć zachowały się fragmenty płotów z cyrylicą, to miasto jest już scalone.*

### Raj na ziemi

Scalania nie potrzebowało Borne Sulinowo na Pomorzu Zachodnim, bo powstało w miejscu garnizonu. Stacjonowało tu największe zgrupowanie radzieckich wojsk lądowych w Polsce: nawet 25 tys. żołnierzy, rakiety operacyjno-taktyczne zdolne do przenoszenia broni jądrowej (jeden z trzech jej polskich magazynów do schyłku lat 80. znajdował się w pobliskiej Brzeźnicy-Kolonii), a także ok. 1 tys. czołgów (jak meldował CIA płk Kukliński). Garnizon został przekazany polskim władzom cywilnym w kwietniu 1993 r., dwa miesiące później zyskał status miasta. Po wojsku zostało ujęcie wody z siecią wodociągową i oczyszczalnia ścieków, linia kolejowa i elektroenergetyczna (problem, jak odnotowano, stanowiła ich dekapitalizacja), a także 378 budynków niemieszkalnych i 113 mieszkalnych. Niemal wszystkie znalazły nabywców, ale niektóre popadły w ruinę, choćby znajdujący się w prywatnych rękach dawny Dom Oficera z kinem, teatrem, salą koncertową i dyskoteką, w którym bywali generałowie armii Układu Warszawskiego. Z kolei inny prywatny przedsiębiorca pieczołowicie odrestaurował tzw. willę Dubynina, ostatniego dowódcy Północnej Grupy Wojsk, który zarzucił Polsce, że braterską do niedawna armię chce wyprowadzić rozbrojoną niczym jeńców wojennych („Armia Radziecka wyjdzie z Polski z wysoko rozwiniętymi sztabdami wtedy, gdy uzna to za stosowne, i drogami, które uzna za stosowne” – oświadczył).

Borne Sulinowo to dziś miasto z przedszkolem i podstawówką, przychodnią i ośrodkiem kultury. Ma Centrum Informatyki i Przedsiębiorczości, w gminie działa



### Sowietci do domu

W ramach wycofywania Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej w latach 1990–93 do Rosji wyjechało z Polski 2981 transportów kolejowych złożonych z 22 934 wagonów. Polskę opuściło ok. 56 tys. żołnierzy i 7,5 tys. pracowników cywilnych, którym towarzyszyło 40 tys. członków rodzin. Ponadto wycofano: 599 czołgów, 952 transportery opancerzone, 390 dział i moździerzy, 202 samoloty i 144 śmigłowce oraz 443 tys. ton wyposażenia wojskowego, w tym 94 tys. ton amunicji.

w miejscu garnizonu, sosny i świerki rosną tu między domami, do okien zaglądają sarny i lisy, na jagody i grzyby można wyjść w piżamie. Pierwsi cywile pojawili się w 1993 r., wkrótce na wojskowym placu apelowym proboszcz organizował misterium Męki Pańskiej. Rok temu mieszkańcy (jest ich ok. 650) doczekali się wiejskiej świetlicy, ale w ciepły wrześniowy dzień spacerują po okolicy i przesiadują na ławkach. Rozumieją, że Ruscy (tylko tak się ich nazywa) nie chcieli stąd wyjeżdżać, ale cieszą się, że musieli. – *Żyje się tu świetnie* – mówi Milena Robaszyńska. Pochodzi z Wielkopolski, Kęszycę Leśną zobaczyła cztery lata temu, pół roku później



Pomnik sapersa (łącznościowca?) w Kęszycy Leśnej. Dziś radziecką gwiazdę na helmie zastąpił orzełek.

kilkaset podmiotów gospodarczych, wiele pensjonatów, hoteli i wypożyczalni sprzętu turystycznego zajmuje powojkowe objekty. Mieszkańcy i przyjezdni niespecjalnie narzekają na pobliski poligon NATO, choć potężnym maszynom zdarza się niemiłosiernie hałasować. Największym problemem pozostaje liczba ludności. – *Docelowo szacowano ją na 8,5 tys., po zinventaryzowaniu powojkowej kubatury nawet na 12 tys., ale nie możemy dobić do 5 tys., a na stałe żyje tu niespełna 3,5 tys. osób* – wylicza Dariusz Tederko z urzędu miejskiego. Mieszkańcy weekendowi – jak ich nazywa – pracują za granicą albo w krajowych metropoliach, do Bornego Sulinowa przyjeżdżają głównie latem, bo leży nad jeziorem pośród lasów. – *Zajmują nowoczesne, często dwupoziomowe apartamenty w dawnej strefie oficerskiej i koszarach. Wieczorami w niemal wszystkich oknach widać światła, zimą w niektórych budynkach mogą świecić się nieliczne.*

Podobne atrybuty (i problemy) ma Kęszycę Leśną w woj. lubuskim. Też powstała

tu mieszkała. Agnieszkę Szefsz z Sosnowca ściągnął mąż Adrian: – *Mamy tutaj raj na ziemi. Cisza, spokój, dzieciaki cały dzień nie przy komputerze, tylko na podwórku albo w lesie, obcych widać na kilometr.*

Zapach lasu uderza każdego, kto przekroczy dawną wartownię. Zamieniono ją w mieszkanie, podobnie 90 proc. budynków koszarowych i domów oficerskich. Niektóre okna wciąż są jednak zabite deskami, z rynien wyrasta trawa, zarasta też teren dawnych magazynów, który miał być willowym osiedlem (na tablicy jeszcze widać napis: Kęszycza Park). W ruinę zamieniło się potężne kasyno wojskowe. – *Było tak luksusowe, że nabawiliśmy się kompleksów* – wspomina Dariusz Brożek, który odwiedził je na początku lat 90., gdy Kęszycę Leśną nie miała jeszcze nazwy, tylko numer rosyjskiej jednostki. Pracował wtedy w klubie garnizonowym polskiego wojska w pobliskim Międzyrzeczu, potem był lokalnym dziennikarzem, dziś jako urzędnik zajmuje się promocją gminy. – *Wszystkie nieruchomości mają*

tu właściciele, ale nie wszyscy właściciele mają pieniądze – mówi.



## Opcja zerowa

### Zostało po garnizonach

Brak pieniędzy był głównym problemem tych, na których barki spadło zagospodarowanie poradzieckich nieruchomości. Część (zwłaszcza poligony i inne obiekty ściśle militarne) wchłonęło polskie wojsko, ale większość trafiła w ręce lokalnych samorządów. „Rosjanie pozostawiali użytkowane mienie w stanie niezdatnym do użytku. Niemal żaden budynek nie nadawał się do natychmiastowego zagospodarowania” – pisze Maciej Czulicki z Biura Bezpieczeństwa Narodowego w specjalnym raporcie („Wybrane aspekty pobytu Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej w Polsce w latach 1945–1993 oraz wykorzystanie infrastruktury po jednostkach Armii Radzieckiej po 1993 r.”). Odnotowuje wyjątki: w legnickim szpitalu zostawili nienaruszone urządzenia sanitarne, placówka medyczna w Nowej Soli mogła działać po drobnym remoncie, gdzieś tam można było zamieszkać od ręki. „W większości jednak porosyjskie obiekty były ograbione ze wszystkiego, co dało się zdemontować i wywieźć (...). Niemałych szkód dokonali polscy szabrownicy (kradziono cegły, bruk, instalacje CO i elektryczną, płyty z lotnisk, schrono-hangary i wszystko, co miało jakąkolwiek wartość)” – czytamy.

Sytuację pogarszał brak unormowań prawnych. Ustawa o zagospodarowaniu nieruchomości Skarbu Państwa przejętych od wojsk Federacji Rosyjskiej pojawiła się dopiero w 1994 r. W latach 2001–07 z rezerwy budżetu państwa przeznaczono na ten cel 70 mln zł, do samorządów trafiały też pieniądze z innych źródeł, ale potrzeby były znacznie większe. Wiele gmin poradzieckie obiekty więc sprzedawało albo oddawało w wieczyste użytkowanie za bezcen, nie obwarowując transakcji terminami zagospodarowania. Jak pisze Czulicki, na jedne nieruchomości był pomysły, ale brakowało pieniędzy (dotyczyło to ok. 2 tys. obiektów w 24 garnizonach, m.in.: Szczecin, Wrocław, Świnoujście, Białogard, Warszawa) albo chętnych (3 tys. obiektów w 18 garnizonach, m.in. Świętoszów i Borne Sulino), w przypadku innych brakowało koncepcji i chętnych (ok. 2 tys. obiektów w takich garnizonach, jak Gródek, Pstrąże, Kluczewo, Żagań, Szprotawa, Krzywa), jeszcze inne (około 500) od razu spisano na straty. Wśród tych ostatnich dominowały „leśne”, czyli pozamiejskie garnizony słabo skomunikowane z otoczeniem, np. osada Kłomino: wchodziła w skład kompleksu garnizonowego

Gdy trwały rozmowy o rozliczeniach finansowych z tytułu pobytu żołnierzy rosyjskich, rosyjski sztab generalny wystawił Polsce „rachunek za wyzwolenie”: 26 mld 720 mln 959 tys. rubli. Polska przypomniała nieopłacone dotąd przez Rosjan rachunki za pobyt: 25,9 mln franków szwajcarskich za transport koleją, ponad 5 mln dol. za dostawy żywności i energii i 33,8 mld zł za czynsze. Rachunek za straty ekologiczne i przysłą likwidację skażeń sięgnął 60,6 bln zł (sprzed denominacji), bo według polskich ekspertów rosyjscy żołnierze zdewastowali 38,1 tys. ha lasów, chemikaliami i różnorodnymi odpadami zanieczyścili 6,5 tys. ha wód podziemnych i glebę na powierzchni 15,3 tys. ha. Rosjanie domagali się z kolei 400 mln dol. za wybudowane przez nich obiekty i budynki (95 proc. powstało bez zgody polskich władz i w zasadzie do niczego nie były Polsce potrzebne). Powstały impas przełamało przyjęcie we wzajemnych rozliczeniach opcji zerowej. Finansowo Polska na tym straciła, ale w efekcie Rosjanie wyszli z naszego kraju wcześniej niż z byłej NRD. Zamykało to 48-letni okres pobytu wojsk radzieckich w Polsce i rozpoczynało ciągnący się do dziś proces likwidacji porosyjskich szkód i przyłączania do Polski byłych garnizonów PGW.

le zatem Polskę kosztował pobyt wojsk radzieckich? Z końcowego raportu pełnomocnika rządu gen. Zdzisława Ostrowskiego: „przybliżone koszty poniesione w związku z przebywaniem wojsk rosyjskich w Polsce w latach 1945–1993, obliczone na poziomie cen z 1993 r., szacuje się na kwotę 62,8 bln zł” (przed denominacją). Przy ówczesnym kursie dolara (18 145 zł) koszt pobytu wyniósł 3,46 mld dol. I nawet jeśli były to wyliczenia na wyrost, służące wtedy naciskom podczas końcowych negocjacji, to koszt pobytu i tak był olbrzymi, bo przecież te wyliczenia nie uwzględniały wartości wywiezionego z Polski mienia, nie mówiąc już o kosztach podtrzymywania w Polsce na rosyjskich bagnietach tak mało efektywnego gospodarczo ustroju oraz rabunkach, mordach, gwałtach i innych przestępstwach dokonywanych przez żołnierzy radzieckich.

Źródło: Pomocnik Historyczny POLITYKI (27 stycznia 2007 r.)

Borne Sulino, ale z infrastruktury dla 15 tys. osób zachowało się tam dziś ledwie kilka budynków.

„W większości dawnych koszar powstały hotele, internaty lub domy mieszkalne, a w hangarach na lotniskach hurtownie i magazyny. Zaadaptowane zostały stare bunkry. Wiele z nich znalazło cywilne zastosowanie. Przeprowadzane inwestycje, w tym remonty i modernizacje, pozwoliły w wielu przypadkach na zagospodarowanie przejętych obiektów oraz włączenie do układu komunikacyjnego lub urbanistycznego miejscowości. Samorządom udało się pożytecznie zagospodarować większość tego majątku” – pisze Czulicki. Jak przyznaje, jego raport bazuje na fragmentarycznych danych, bo brakuje oficjalnych zestawień i zwartych monografii.

Mimo upływu niemal dekady od jego publikacji (2014 r.) sytuacja się nie zmieniła. Państwo polskie nie nadzoruje wielomilionowej (wciąż) wartości majątku, nie bada jego wpływu na lokalne budżety, środowisko naturalne i dobrostan obywateli, wnikliwie monitoruje jedynie losy tzw. pomników wdzięczności dla „wyzwolicieli”. Obowiązek ich budowy nałożono na władze lokalne po zakończeniu wojny, w 2016 r. ustawa dekomunizacyjna nakazała ich likwidację. Wojewodowie

wspierają ten proces z wielkim zaangażowaniem, podobnie IPN, który skrupulatnie odlicza obalenie każdego pomnika i zapowiada rychłe uporanie się z niedobitkami.

Zostało ich 30, m.in. w Olsztynie. Tamtejszy monument wzniesiony (w 1954 r.) ku chwale czerwonoarmistów został przemianowany (w 1989 r.) na pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińskiej i Mazurskiej (z powodu charakterystycznych pylonów zwany jest jednak szubienicami). Władze Olsztyna nie chciały się zgodzić na likwidację, bo jego twórcą był wybitny polski rzeźbiarz Xawery Dunikowski (osobiście wykuł twarz czerwonoarmisty). 13 września br. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie uznał racje ministra kultury oraz wojewody i nakazał usunięcie pomnika. Pomnik sapers (jak mówią jedni) albo łącznościowca (jak twierdzą lepiej zorientowani) stoi też w centrum Kęszycy Leśnej. To wizualny koszmar z gipsu: żołnierz czołgający się po trawniku pcha zwój drutu, jedną nogę ma, nie wiedzieć czemu, zakopaną, dłoń jak patelnię i twarz Frankenstein, ale gdy przyszło do dekomunizacji, miejscowi bronili go (skutecznie) jak niepodległości. – Żaden soldat, nasz ci on! – powtarzali, bo kilka lat wcześniej ktoś zdrapał z hełmu gwiazdkę i namalował orzełka.

ZBIGNIEW BOREK



# Leżajsk nic nie warzy

Zamknięcie browaru w Leżajsku miało przynieść Grupie Żywiec oszczędności. Na razie przynosi straty. Głównie wizerunkowe, bo na Podkarpaciu lepiej nie zamykać firm. Zwłaszcza w trakcie kampanii.

JULIUSZ ĆWIELUCH

Ostatnia puszka Jasnego Pełnego zjechała z linii produkcyjnej browaru w Leżajsku ze środy na czwartek 31 sierpnia. Pracownicy zrobili sobie skromną fotkę z ostatnimi puszkami w rękę. A następnie rozeszli się do domów. Dla większości z nich była to ostatnia zmiana w browarze, w którym produkowali piwo od 45 lat. Właściciel już w styczniu tego roku zapowiedział, że dni firmy są policzone. Tak jak policzone były koszty, które wskazywały, że na rynku jest nadprodukcja i Leżajsk trzeba zamknąć. Tylko

wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że to nie będzie takie zwykle zamknięcie.

## Obrońca browaru

Największym refleksem przy warzeniu politycznego piwa wykazał się poseł Grzegorz Braun z Konfederacji. Dwa tygodnie po oficjalnym komunikacie spółki o zamknięciu browaru w Leżajsku Braun rozkręcał przed bramą pikietę protestacyjną. Ze zdjęć trudno odtworzyć skalę tego, co 21 lutego działo się przed browarem. Na większości zdjęć z wydarzenia jest albo sam Braun, albo jego lokalny asystent Tomasz Buczek. W tle kilku mężczyzn. Braun pochwalił pana Boga, skrytykował rząd, rzucił, że „tradycji nie da się kupić w sklepie

u owada” (czytaj: w Biedronce). I ostro wkurzył lokalny PiS, który poczuł oddech politycznego rywala na plecach.

Tak się składa, że na Podkarpaciu PiS ma taki urodzaj talentów i poparcia, że przez ostatnie lata posłowie tej partii ostrzej konkurowali między sobą niż z opozycją. W samym Leżajsku w ostatnich wyborach parlamentarnych PiS dostał 79 proc. głosów. Tyle że to było cztery lata temu, a teraz z sondaży wynika, że w regionie może być mniej miejsc biorących do Sejmu, niż w PiS oczekiwano. W regionie coraz mocniej rozpycha się Konfederacja. A i społeczeństwo ma liczne oznaki zmęczenia, np. drożyzną. Na odsiecz leżajskim browarnikom już w marcu rzucił się lokalny poseł i wice-minister sprawiedliwości Marcin Warchoł. Minister osobiście stawiał się na specjalnej sesji rady powiatu leżajskiego.

Minister Warchoł w 2017 r. próbował tak zmienić Ustawę o wychowaniu w trzeźwości, żeby za picie piwa pod chmurką karać ograniczeniem wolności, a nie jak dotychczas co najwyżej

grzywną. Kiedy w społeczeństwie zawrzało, ministerstwo szybko zapomniało o zmianach w karaniu za alkohol pity pod chmurką. Krótką pamięć miał sam minister Warchoń, który tym razem wychwalał piwowarów. A suchej nitki nie zostawiał na właścicieli browaru. „Nie może być tak, że zagraniczny inwestor, który dostał w Polsce wręcz cieplarniane warunki, będzie podejmował tak poważne decyzje bez patrzenia na szerszy kontekst społeczny. Dlatego w tej sprawie polskie władze muszą działać zdecydowanie” – grzmiał na sesji. I żeby pokazać, jak bardzo jest zdecydowany, obiecał, że do walki zaangażuje samego prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobrę.

Pomysł Warchoń był przewrotny. Skoro Grupa Żywiec chce zamknąć browar w Leżajsku, ale dalej produkować piwo Leżajsk, to trzeba im tego zabronić. „Znak towarowy zawierający element geograficzny niezgodny z pochodzeniem wyrobu uważa się za znak wprowadzający odbiorców w błąd. To oznacza, że nie można produkować piwa Leżajsk w Ciecchocinku. Nie można tego robić też w żadnym miejscu jak tylko w powiecie leżajskim” – przekonywał minister Warchoń. Tyle że w tym samym momencie w browarze w Leżajsku rozlewali głównie piwo Warka, którego w Leżajsku warzono więcej niż rodzimego piwa. W efekcie i o tym pomysle minister Warchoń jakoś szybko zapomniał.

Za to poseł Braun o Leżajsku nie zapomniał i wysłał swoich ludzi pod leżajską bazylikę, żeby zbierali głosy w obronie browaru. Podstępna szarża na święte miejsce i własny elektorat nie mogła pozostać bez odpowiedzi. PiS też pozbił głosy – wśród własnych parlamentarzystów. Z tym że zadanie było delikatne. Trudno im było straszyć biznes, na który nie mieli takiego przełożenia jak wiceminister sprawiedliwości. Albo atakować rząd za bezczynność, skoro to ich rząd. Skończyło się na wyrażeniu woli i troski. Oświadczenie podpisali wszyscy parlamentarzyści PiS. I tu zderzyli się ze ścianą, bo internauci szybko sprowadzili ich na ziemię, przypominając, kto głosował za podwyższeniem akcyzy na alkohol – wszyscy; w klubie PiS była w tej kwestii dyscyplina. Kto doprowadził do wywindowania cen prądu? No i dlaczego browaru nie chce kupić Polski Holding Spożywczy, przecież w tym celu został powołany?

## Z pastwiska San Francisco

Zamknięty w sierpniu browar w Leżajsku mieści się przy ulicy Chmielnej. Po drodze są jeszcze ulice: Browarna, Hutnicza i Przytorze. Ta ostatnia



kluczowa, bo z niej wjeżdża się na drogę krajową nr 77. Przytorze to nazwa mało atrakcyjna, za to bezpieczna politycznie. Wcześniej ulica nosiła imię Stanisława Boronia. W grudniu 2017 r. Boroń, choć był honorowym obywatelem miasta, ulicę stracił. Co można uznać za mało eleganckie, ale w duchu nowej władzy, która dekomunizowała wówczas ulice. Boroń był nie tylko przewodniczącym Powiatowej Rady Narodowej, ale przede wszystkim budowniczym Leżajska. Konkretnie Leżańska, bo wśród miejscowych nazwa Leżajsk jakoś nigdy się nie przyjęła.

Badacz języka Władysław Makarski sugeruje, że Leżańsk pochodzi od terminu geograficznego *leżaj*, czyli *pastwisko*. – *Leżajsk przed Boroniem był pastwiskiem, a po Boroniem to już było San Francisco* – jak mówi w mieście. Może dlatego tak kłut w oczy obecną władzę, nawet po śmierci. Za jego czasów w mieście udało się zlokalizować zakłady chemiczne, fabrykę maszyn, zakład dziewiarski Mewa. Miasto dorobiło się porządnego szpitala. Rozbudowano system szkół. Ale perłą w koronie był browar. Kiedy w latach 70. w Leżajsku odkryto pokłady wody oligocenińskiej, pomysł władz był taki, żeby miejscowy Hortex rozlewał tam wody i napoje. Boroń chodził po komitetach i zjednoczeniach, żeby na miejscu powstał browar, a nie rozlewnia wód. A jak już wychodził dla miasta browar, to z czasem wychodził w nim dyrektorski stołek.



Adam Dąbek pamięta nie tylko Boronia, ale i budowę browaru, bo był na niej zatrudniony. Na spotkaniu umawia się na ławce przed blokiem. Mieszkanie ma małe i zawałone piwnymi pamiątkami. A na ławce wygodnie i na świeżym powietrzu. Według Wikipedii budowa zaczęła się w 1973 r. – *Ja przyszedłem do pracy w 1975, a już w grudniu 1977 zaczęliśmy gotowanie pierwszego piwa. Maszyny były z Czechosłowacji, a technologii ludzie pojechali się uczyć od Niemców, bo w Polsce jeszcze takich dużych browarów nie stawialiśmy* – opowiada Dąbek. Opowieść jest wciągająca. Na tyle, że na ławeczkę nieproszony dosiada się przechodzący obok sąsiad. Dąbek mówi, sąsiad kiwa głową. Sąsiad coś dodaje, Dąbek go poprawia, to on jest chodzącą encyklopedią leżajskiego piwowarstwa. – *Tamto piwo było inne, bardziej sycące, bo dłużej leżakowało i miało więcej ekstraktu. Więcej niż trzech piw nie dało się wypić* – wspomina Dąbek. Na co sąsiad żywo reaguje, że jednak się dało. – *Rzeczywiście byli tacy, którzy potrafili w osiem godzin wypić cały transporter. Ale tych szybko się z zakładu pozbyli. W pierwszym roku rotacja była na poziomie 40 proc. Później skład załogi się unormował. Browar uchodził za rodzinny. Zawięzły się tam podobno 22 małżeństwa* – wylicza Dąbek. Przez pierwszy rok leżańskie piwo nie było pasteryzowane, bo nie udało się na czas kupić i uruchomić maszyn do pasteryzacji. Towar sprzedawał się na pniu, reklamacji nie było.

## Ogólnie wesoło

Za komuny piwa brakowało jeszcze bardziej niż mięsa. O piwie się marzyło. O piwie się śpiewało. W 1987 r. wokalista Wańki Wstańki śpiewał w Jarociźnie „najlepszym piwem jest Leżański Full”. Piosenka poszła w lud. Sława piwa przekładała się na rozpoznawalność miasta. W czasach transformacji ta sława browarowi jednak zaszkodziła. – *Kiedy zaczęły się przemiany, był taki pomysł, żeby browar przejęła spółka pracownicza. Były już nawet kredyty na ten cel poumawiane. Ale minister Kaczmarek się nie zgodził, bo byliśmy w gronie 500 najlepszych firm, które poszły do prywatyzacji* – wspomina Dąbek. Jego zdaniem zakład w zderzeniu z wydajnością zachodnich firm i tak nie miałby szans. Ale przynajmniej załoga odkułaby się na prywatyzacji. – *Mieliśmy cztery razy większe zatrudnienie niż dziś, a wydajność cztery razy mniejszą, to jak się to mogło biznesowo spiąć* – retorycznie pyta Dąbek. To, o czym ►

► opowiada, politycy PiS nazywają dziś *dziką prywatyzacją*. To jedno z haseł tegorocznej kampanii wyborczej PiS. Zamysł browar w Leżajsku idealnie się w nią wpisali.

Z innymi pracownikami browaru trudno umówić się na rozmowę. Dopiero w piątek 8 września ludziom rozwiązują się języki. Rano na konta zwolnionej załogi poszły przelewy z odprawą. Za każdy przepracowany rok 6 tys. zł. Do tego po 3 tys. na przekwalifikowanie. Rekordzista zgarnął 60 pensji. Pechowiec zaledwie 8. W sumie ponad 21 mln zł dla 83 osób i kolejne miliony dla tych, którzy skończą pracę w grudniu, bo ponad 20 pracowników dalej podtrzymuje funkcjonowanie zakładu.

W. zgadza się na rozmowę, ale tylko anonimowo i tylko dlatego, że już ma pieniądze na koncie. No i poprosił go Paweł Fedor, kolega z pracy. Pawłowi ufa, bo on ciągle walczy o to, żeby browar jednak się odrodził. Ile W. dostał odprawy, nie chce mówić, bo to w okolicy drażliwy temat. Ludzie zazdroszczą. Ogólnie pieniądze przyzwoite, ale w zasadzie to wolałby nic nie dostać i dalej pracować. Zaczynał na linii jako młodszy operator rozlewu piwa. Najmował się w czasach, gdy do pracy szło się po protekcji. Ale same znajomości nie wystarczyły. Trzeba było jeszcze umieć ciężko pracować. Kolejka chętnych do pracy w browarze była bardzo długa. Mało kto tak dobrze płacił w okolicy.

### Tu stał, tam się przewrócił

Po 25 latach sam z siebie budzi się o 4.40 nad ranem. Nawet teraz, kiedy już nie pracuje. Wtedy wstawał, żeby dojechać do browaru i punkt 6 rano być już na linii. W browarze był porządek, obowiązywała punktualność. W pakiecie z zaangażowaniem. Jak trzeba było zostać po godzinach, to zostawał. Bywało, że i 20 godzin z rzędu, jak się linia zepsuła. W wakacji w zasadzie nie zasnął. Lato to szczyt sezonu i nikt w browarze o wolnym w tym czasie nawet nie marzył. Studia zrobił. Nie kazali, ale sam z siebie poszedł. Poczł, że wypada, skoro go awansują. Też go to sporo wysiłku kosztowało, ale liczył psychologię zarządzania i nie żałuje. Nazwy uczelni nie pamięta. Jak było w browarze? – *No ogólnie wesolo* – mówi i smutnieje. Od tygodnia jest już formalnie bezrobotnym. Ma czas i pieniądze. Mógłby pojechać na wakacje, ale jakoś tego nie zrobił. Pracy nie szuka. Na razie nie musi, ale też nie chce. – *Ciągle liczę, że tam wrócę. Ja w tym browarze całe życie miałem* – mówi.



Co do życia, to po upadku browaru okazało się bardziej kruche. – *Już mieliśmy jeden pogrzeb zwolnionego pracownika. Po pogrzebie zastąpił drugi kolega. Stał, nagle się przeurcił i już nie wstał. Będzie drugi pogrzeb* – mówi Fedor, który wyrósł na przedstawiciela załogi. Nikogo o nic nie oskarża. Po prostu mówi, jak jest. I pyta, czy rzeczywiście tak musi być?

Pod koniec 2018 r. w branży piwnej strzelały korki od szampanów. Z cyferek wynikało, że statystyczny Polak wypił ponad 100 litrów piwa. Konkretnie 100,5 litra. Branża przekroczyła magiczną setkę, o czym marzono przez lata. Choć trzeba oddać, że tempo dościsła do wyniku było imponujące. Jeszcze w 1993 r. statystyczny Polak wypijał – 33 litry piwa rocznie. W 1999 r. już 60 litrów. Im więcej Polacy pili, tym więcej działało się w branży. Na polskim rynku dochodziło do szalonych przejęć i spektakularnych upadków. Im więcej pieniędzy leżało na stole, tym drapieżniej firmy walczyły o pozycję na rynku. To właśnie w 1999 r. leżajski browar został kupiony przez Grupę Żywiec należącą do holenderskiego Heinekena.

Z historią browaru można się szczegółowo zapoznać w Muzeum Regionalnym w Leżajsku, które ma stałą ekspozycję poświęconą historii browarnictwa



w okolicy. Orowadzanie ma ten walor, że można je połączyć z degustacją piwa. Przy czym lepiej nie pytać, czy to miejscowe, bo reakcja oprowadzającego jest nerwowa. Jeszcze gorzej zapytać, jak to jest, że na filmie tak chwala Grupę Żywiec, a teraz wieszają na nich psy? Niektórzy idą nawet dalej. Wójt gminy Leżajsk mówi, że plan Heinekena jest taki, żeby jednym piwem, jakie można było kupić w Polsce, był Heineken. I na dowód tego przytacza długą listę browarów zamkniętych przez Grupę Żywiec w Polsce.

### Niewidzialna ręka kryzysu

– *Kupili nas, ale zaraz zamknęli okolicznych browar w Łańcucie. W 2003 r. pozbyli się browaru w Braniewie. Sprzedając, zastrzegł, że nie będzie tam już można produkować piwa. Kupił to DrWitt, ale później sprzedał i znowu zaczęła się produkcja piwa, co doprowadziło Holendrów do szału. Nam też chcą zamknąć usta i zakazać produkcji piwa na tym terenie* – mówi wójt Krzysztof Sobejko. Wójt w tej historii już dawno przestał być obserwatorem. Od marca ostro gra na przejęcie browaru przez właściciela sieci sklepów Żabka. – *Żabka ma ponad 10 tys. sklepów. Browar zyskałby nie tylko inwestora, ale również potężny kanał dystrybucji* – zachwala Sobejko.

W branży mówią, że pomysł z Żabką jest z kategorii za dobrych. – *Ostatnie cztery lata były dla producentów piwa bardzo trudne. Nie dość, że nie ziszczyły się oczekiwania, że sprzedaż będzie dalej rosła, to skala spadków sprzedaży jest dużo głębsza, niż wszyscy zakładali. W tej sytuacji sprzedaż browaru właścicielowi dużej sieci dystrybucji byłaby dla Grupy Żywiec ekonomicznym absurdem, bo stworzyliby sami sobie silnego konkurenta* – mówi Andrzej Olkowski, prezes Stowarzyszenia Regionalnych Browarów Polskich. Według jego obliczeń nadwyżka mocy produkcyjnych na rynku to jakieś 5 mln hektolitrow, czyli mniej więcej tyle, ile produkuje Browar w Żywcu. Zamknięcie Leżajskiego, który produkował 800 tys. litrów, problemów branży nie załatwia. Raczej pokazuje trend. Pod koniec sierpnia GUS opublikował dane statystyczne o spożyciu alkoholu za poprzedni rok. W 2022 r. statystyczny Polak wypił 92,9 litra piwa. To 7,6 litra mniej niż w rekordowym 2018 r. A z wyliczeń branży wynika, że ten rok sprzedażowo był jeszcze gorszy. – *Szacujemy, że spadki rok do roku mogą być nawet dwucyfrowe* – ocenia Olkowski. – *Ceny rosną, konsumpcja spada. To się nazywa kryzys. I ktoś za ten kryzys będzie musiał zapłacić.*

JULIUSZ CŹWIELUCH



**POSŁUCHAJ,  
ABY WYBRAĆ**

**W poniedziałki  
i piątki po godz. 12:20**

**Dominika Wielowieyska  
Mikołaj Lizut**

# **WYBORY III RP**

Słuchaj na [tokfm.pl/wybory](https://tokfm.pl/wybory)  
lub w aplikacji mobilnej TOK FM



# Umrzemy, zanim się dorobimy

Mamy demograficzną zapaść – obwieścił GUS, publikując najnowszy raport ludnościowy. Nasz kraj robi się stary i schorowany. Ale też w ogóle pozbawiony wigoru i napędu. Po ośmiu latach rządów PiS Polska znalazła się w stanie depresji, właściwie w każdej dziedzinie.

EDWIN BENDYK

**W** Polsce urodziło się w 2022 r. 305 tys. dzieci, najmniej od końca drugiej wojny światowej. W rekordowym 1955 r. urodziło się ich blisko 800 tys. Potem znowu było nieźle. W czasie stanu wojennego, w 1983 r. odnotowano blisko 724 tys. urodzeń. Co ważniejsze, liczba urodzeń ponaddwukrotnie przewyższała zgony. Polska rosła w siłę, choć ludziom nie żyło się dostatejnie mimo ambitnych planów rządzącej ówczesnie partii.

Teraz jest inaczej, a sygnały ostrzegawcze pojawiły się już w 2002 r., kiedy po raz pierwszy więcej ludzi w Polsce zmarło,

niz się urodziło. To wtedy GUS zaczął mówić o kryzysie demograficznym. Najwyraźniej 20-procentowe bezrobocie nie sprzyjało prokreacji. Pomogło jej zdecydowanie wejście do Unii Europejskiej, od 2006 r. znowu z każdym rokiem zaczęło być nas więcej (w sensie statystyki urodzeń, bo z kolei doszła masowa emigracja).

W 2013 r. trend ponownie się odwrócił, czemu chciał przeciwstawić się PiS idący po władzę z polityką prorodzinną i programem 500+ na sztandarach. W mediach można odnaleźć fantazje polityków PiS z tamtych czasów przekonanych, że przełamią natalistyczny imposybilizm Polaków i zachęcą ich skutecznie do mnożenia w tempie nawet 400 tys. rocznie. Na początku wydawało się, że jest jakaś



ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI

szansa, bo rzeczywiście statystyka urodzeń poszła w górę, a w 2017 r. naprawdę urodziło się 402 tys. dzieci. Ten wzrost związany był z poprawą dzietności, która w 2017 r. osiągnęła 1,45. I na tym się skończyło, potem rozpoczął się zjazd do dziśszego, rekordowo niskiego poziomu.

## Wielkie wymieranie Polaków

Najprostszy bilans polityki demograficznej PiS przez dwie kadencje rządów to nadwyżka zgonów nad urodzeniami o 520 tys. – i spadek dzietności w 2022 r. do 1,26. Eksperci podkreślają, że polskie statystyki zaniżają wskaźnik dzietności, a wymarłych z naddatkiem zastąpili imigranci. Nawet jeśli, to i tak perspektywy na przyszłość są ponure, co pokazała najnowsza prognoza ludnościowa GUS do 2060 r. W najgorszym wariantcie, gdy nie uda się pobudzić wzrostu dzietności i będzie ona spadać, to już w 2030 r. będzie nas 36,3 mln, a w 2060 r. zaledwie 26,65. Nawet jednak w najambitniejszym wariantcie rozbudzania zapału prokreacyjnego Polaków, a raczej Polek, i tak się skurczymy do 34,8 mln.

Nie sposób dziś wyrokować, jaki scenariusz jest bardziej prawdopodobny. Warto jednak uwzględnić przypadek Korei Południowej, kraju wielkiego sukcesu rozwojowego i jeszcze większego kryzysu demograficznego. Dzietność spadła tam w 2022 r. do 0,78 – najniższa wartość wśród krajów należących do OECD (klub zrzeszający 38 najbardziej rozwiniętych państwa świata). Na nic się zdała hojna polityka państwa wspomagającego rodziców nawet w zakupie pieluch. Czy grozi nam koreański scenariusz? Nie musi i nawet nie chodzi o zastanowienie się nad jego realnością, tylko o rzeczową dyskusję, nawet gdyby udało się w Polsce zrealizować bardziej optymistyczne warianty.

## Kryzys rozwojowy

Bo kryzys demograficzny jest problemem samym w sobie, ale jest także symptomem głębokiego kryzysu strukturalnego, z jakim Polska zostaje po ośmiu latach rządów PiS. Jaki kryzys – zapyta zapewne nie tylko zwolennik tej partii, ale i wiele osób bliższych opozycji. Wszak w ciągu ostatnich lat, mimo pandemii Polska rozwijała się najszybciej w regionie. Polski PKB powiększył się od 2015 r. o imponujące 31,9 proc., wzrósł eksport, osiągając w 2022 r. równowartość 402 mld euro. To wszystko prawda, i to tak oczywista, że w programie wyborczym PiS umieszczono wykres pokazujący, że do końca dekady Polska pod względem PKB na głowę przegoni Francję, a niewiele później dogoni Niemcy. Prezes Narodowego Banku Polskiego Adam Glapiński zapowiedział więc nieuchronne wyrównanie w ciągu dekady polskich pensji z pensjami pracowników w Wielkiej Brytanii lub Francji. A Jacek Sasin stwierdził wręcz, że rosnąca potęga gospodarcza Polski budzi strach nie tylko w Moskwie, ale i na Zachodzie. Oto bowiem środkowoeuropejski tygrys przekształca się w europejskie mocarstwo, które z kolei zgodnie z zapowiedziami Mariusza Błaszczaka, szefa MON, dysponować będzie najsilniejszą armią na kontynencie.

Wieszczenie kryzysu wobec tak ambitnych wizji przyszłości wyglądać musi jak ojkofoobiczny defetyzm. Wystarczy jednak przyrzeć się podstawowym informacjom i trendom, by przekonać się, że dobrze już było. Skoro historia zaczęła się od demografii, to warto przy demografii jeszcze chwilę pozostać. Wymieranie, czyli ubytek ludności, to fakt najbardziej dojmujący, choć cynik stwierdzi, że może on znaleźć pozytywny wyraz w statystykach – wszak im mniej ludzi, tym większa wartość PKB na głowę, więc możliwy jest rozwój pod tym względem nawet przy gospodarczej stagnacji.

## Kraj na emeryturze

Większym problemem od bezwzględnej liczby ludności jest jednak przemiana demograficznej struktury społeczeństwa. Dziś Polska dzięki boomowi demograficznemu z okresu stanu wojennego ciągle jeszcze nie należy do najstarszych społeczeństw Europy. Szybko jednak przybywa osób w wieku poprodukcyjnym, a maleją grupy ludzi młodych. I tak jeszcze w 2005 r. liczba osób w wieku 60+ i w grupie 20–29 lat była porównywalna, 6,6 mln do 6,4 mln. Dziś proporcja ta przesunęła się w kierunku 60+, z wartościami 9,8 mln do 3,9 mln. Ta nierównowaga będzie się powiększać, co powinno spędzać sen z oczu ministrowi Błaszczakowi. Silna armia wymaga bowiem rekruta, o którego będzie coraz trudniej. Warto o tym porozmawiać z Koreańczykami, od których kupujemy na potęgę uzbrojenie. Ba, gospodarka z kolei potrzebuje pracowników, których będzie coraz mniej – o ile w 2022 r. na 100 osób w wieku produkcyjnym przypadało 70 osób w wieku nieprodukcyjnym, o tyle w 2060 r. proporcje niemal się odwróciły. W 2070 r. proporcje te będziemy mieli najgorsze w Europie.

W ciągu ostatnich lat stało się jednak coś jeszcze bardziej dojmującego – otóż od 2018 r. przestała rosnać oczekiwana długość życia Polek i Polaków. Systematyczny wzrost tej wartości, a także poprawa oczekiwanej długości życia w zdrowiu uznawane są za jedno z ważniejszych wskaźników rozwoju cywilizacyjnego. Co się zatem stało, i to na dwa lata przed pandemią, która wstrząsnęła statystykami demograficznymi na całym świecie?

## Inwestycje

Jedno jest pewne – załamanie wieloletniego pozytywnego trendu oznacza, że po prostu załamał się system ochrony zdrowia (inną miarą tego kryzysu jest rekordowa liczba nadmiarowych zgonów podczas pandemii Covid-19). To zaś skutkiem niedoinwestowania. Statystyki OECD nie pozostawiają złudzeń: nakłady publiczne na ochronę zdrowia w Polsce w relacji do PKB należą do najniższych. Przy średniej unijnej 8,9 proc. PKB w 2020 r. w Polsce osiągnęły zaledwie 4,7 proc. Niedoinwestowanie systemu ochrony zdrowia przekłada się na strukturę zatrudnienia – średnia wieku lekarzy to 53 lata, przy czym największą grupę wśród lekarzy – 21 proc. tworzą osoby w wieku 50–59 lat. O obsłudze pielęgniarskiej lepiej nie wspominać, bo jest jeszcze gorzej.

Rząd chwali się, że zwiększa nakłady na zdrowie, najwyraźniej jednak nie nadążają one ani za inflacją, ani za przemianą demograficzną – jednym z najważniejszych aspektów starzenia się społeczeństwa jest wzrost popytu na opiekę medyczną, co wobec niedostatku inwestycji publicznych przekłada się na ucieczkę w prywatność i wzrost indywidualnych wydatków na leczenie i samoleczenie (udział leków bez recepty w obiegu – 54 proc. – jest najwyższy w Europie).

Przy okazji pojawia się jeszcze bardziej zasadnicze pytanie – a jak z innymi działaniami mogącymi przeciwdziałać skutkom kryzysu demograficznego? Służyć temu powinny inwestycje zwiększające wydajność gospodarki, jakość infrastruktury i dostęp do usług społecznych, jak opieka zdrowotna, ale także transport publiczny czy edukacja.

## (Nie)odpowiedzialny rozwój

Początek rządów PiS to nie tylko skuteczne wprowadzenie programu 500+. To także ogłoszenie w lutym 2017 r. Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Mateusz Morawiecki, jeszcze w roli wicepremiera i ministra rozwoju, m.in. pod wpływem książki „Przedsiębiorcze państwo” Mariany Mazzuca to zapowiedział, że polskie państwo stanie się aktywnym ►

► uczestnikiem gospodarczej gry, stymulując rozwój strategicznych kierunków. Pojawił się pomysł samochodu elektrycznego, promów, dronów i innych rozwiązań mających pociągnąć polską gospodarkę.

Postąpmy jednak jak nowojorczy, którzy mawiają „money talks, bullshit walks” – w uproszczeniu, popatrzmy na pieniądze. Okaże się, że począwszy od 2015 r., udział inwestycji (publicznych i prywatnych) w PKB systematycznie malał, osiągając w 2022 r. najniższy w ciągu dwudziestu lat poziom 16,8 proc., przy średniej unijnej 22,7 proc. Jak się ma ten trend do ambitnych zapowiedzi? Poza z hukiem otwieranym przekopem Mierzei Wiślanej i z hukiem omawianymi wielkimi planami, jak Centralny Port Komunikacyjny, właściwie nic nie powstało. Podobnie jest z drobniejszymi planami, np. w transporcie publicznym. Bo choć PiS w swym programie wyborczym chwali się, że „utworzył” tysiące linii autobusowych, to jednak dane sumaryczne GUS pokazują odmienny obraz. Długość połączeń autobusowych w Polsce zmalała z 754 026 km w 2015 r. do 394 359 km w 2022 r., a liczba linii zmniejszyła się z 14 608 do 9262. To obraz uśredniony, gdy spojrzeć na Warmię i Mazury, tam długość linii zmniejszyła się trzykrotnie.

Ekonomiści są zgodni, że inwestycje są podstawą dla zapewnienia długotrwałego rozwoju. Inwestycje inwestycjom jednak nie są równe, jedne mają charakter bardziej produktywny, inne mniej. Wydatek na akwapark w gminie lub zakup limuzyny w firmie nie przyniosą takich efektów, jak wydatki na naukę, badania i rozwój. W 2015 r. wydaliśmy na badania i rozwój 1 proc. PKB, w 2021 r. 1,44 proc. To ciągle daleko od blisko 5 proc., jakie wydaje Korea Południowa, i ciągle też odbiega na niekorzyść od średniej unijnej.

## Luka technologiczna

Ciekawe są dane ujawnione przez Magdalenę Węglarz z Politechniki Wrocławskiej w artykule porównującym innowacje w polskiej gospodarce z innowacyjnością państw unijnych. Dostrzegła ona, że w 2016 r. w strukturze nakładów na badania i rozwój nastąpiło załamanie udziału inwestycji w proporcji do wydatków bieżących, czyli na pensje i utrzymanie codziennej działalności infrastruktury. Jeszcze w 2012 r. udział inwestycji osiągał 29,8 proc., w 2015 r. 26,3 proc., a w 2016 r. tylko 18,7 proc. W 2021 r. to już 15,7 proc.

Z tych liczb jawi się dziwny obraz – rosną nakłady ogólne na badania i rozwój przy jednoczesnym zmniejszeniu poziomu inwestycji, czyli m.in. zakupów nowoczesnej aparatury i budowy nowych laboratoriów. Nieproporcjonalnie jednak wzrosły wydatki bieżące, co musi oznaczać na pewno wzrost zatrudnienia kadry naukowo-badawczej. I rzeczywiście, udział personelu B+R wzrósł z 6,9 osób na 1000 pracujących w 2015 r. do 9,3 osób w 2021 r. Tylko czy takie proporcje i przeciwstawne trendy wzrostu nakładów bieżących, zatrudnienia i malejących wydatków inwestycyjnych to odpowiedni sposób na osiągnięcie głównego celu – wzrostu innowacyjności?

Odpowiedzi udzielił prof. Andrzej Jasiński z Uniwersytetu Warszawskiego, pokazując w „Rzeczpospolitej”, że mimo wzrostu nakładów nie rośnie pozycja Polski w rankingach innowacyjności. Konsekwentnie trzymamy się blisko końca peletonu. Dlaczego? Przepływ od nauki do gospodarki jest niewielki, w efekcie poziom zaawansowania polskich innowacji nie poraża, a tym bardziej nie zbliża Polski do tzw. granicy technologicznej, czyli tam, gdzie konkurują ze sobą najbardziej

zaawansowane gospodarki. Polskę oddziela od nich luka technologiczna „oceniana powszechnie na kilkadziesiąt lat” – pisał Jasiński. Badacze spierają się tylko, czy luka ta zmniejsza się, nie zmienia czy może wręcz pogłębia.

Ten spór nie ma tylko akademickiego charakteru – od jego rozstrzygnięcia zależy przyszłość. I nie chodzi wcale o realizację fantazji o dogonieniu i przegonieniu Zachodu pod względem zamożności czy choćby średnich dochodów osobistych. O tym możemy zapomnieć, ten pociąg już odjechał. Stawką dziś jest przynajmniej utrzymanie standardu życia wobec wyczerpywania się głównego zasobu rozwojowego, jakim są ludzie i ich praca. Konsekwencje zaniechań inwestycyjnych, niezdolności do modernizacji, rozkładu systemu edukacji z pewnością odczuwać dotkliwie wtedy, gdy zatrze się dotychczasowy silnik rozwoju.

## Szczęśliwe sąsiedztwo

Brutalnie opisał go Bradford DeLong w książce poświęconej historii gospodarczej „Slouching Towards Utopia” (Zmierzając do utopii). Zastanawia się w niej, dlaczego tylko tak niewielu państwom udało się wyjść z biedy i dołączyć do klubu społeczeństw bogatszych czy wręcz bogatych – jak w przypadku Polski. „Rozwój przyszedł do Polski, bo leży obok przemysłowej potęgi – Niemiec, których firmy znalazły niezwykle korzyści z niskopłatnej pracy z sąsiedztwa”. To oczywiście uproszczenie, choć chwytła istotę rozwojowego modelu Polski i krajów Europy Środkowej.

Istotę tę widać w strukturze polskiego PKB. Jego źródłem w 61,5 proc. w 2022 r. był eksport. Głównym odbiorcą z Polski były Niemcy odpowiedzialne za 27,8 proc. polskiego eksportu, po nich Czechy (a więc także część niemieckiego ekosystemu gospodarczego) z udziałem 6,6 proc. Zależność ta w czasie rządów PiS nie zmniejszyła się, tylko powiększyła. Niestety, nie wykorzystaliśmy pozytywnych skutków tej zależności, czyli rozwojowego skoku i akumulacji kapitału do uruchomienia własnych potencjałów rozwojowych.

Problem chwytła analiza Banku Światowego przygotowana w 2021 r. wspólnie z GUS o produktywności polskiej gospodarki. Bo w istocie rozwój, mierzony m.in. wzrostem PKB zależy od tego, czy potrafi się robić więcej, wykorzystując mniejszą ilość zasobów – pracy, energii, surowców. A polski przemysł ciągle potrzebuje trzy razy więcej pracowników, żeby wyprodukować to samo, co przemysł niemiecki, piszą autorzy. Niestety, ostatnia dekada to stagnacja pod względem poprawy produktywności.

Do dziś problemy wskazane w tym raporcie nie zostały pomniejszone, przeciwnie. Ekspansja „przedsiębiorczego państwa” w polskim wydaniu zmniejsza konkurencyjność na rynku wewnętrznym, co powoduje wypychanie z rynku firm bardziej produktywnych, stawiających na innowacje, przez mniej efektywne, inwestujące w relacje z władzą i zależne od niej podmioty. Gorzej, że załamał się w Polsce duch przedsiębiorczości, mamy najniższy w Europie (2,5 proc.) odsetek osób deklarujących, że w ciągu trzech lat założą firmę, w 2011 r. wynosił on 23 proc. (POLITYKA 31).

Analiza OECD dotycząca długoterminowych perspektyw gospodarczego wzrostu krajów członkowskich ocenia możliwości Polski po 2030 r. na 1 proc. rocznie. Mniej niż Francja, Włochy czy Holandia. Zamiast się zbliżać, zaczniemy się oddalać. Polska staje się stara, schorowana i zaczęła wymierać, zanim została bogata.

EDWIN BENDYK





radio

**ZET**

*„POLITYKA JEST ZBYT WAŻNA,  
ŻEBY Z NIEJ ŻARTOWAĆ”*

TYLKO **POWAŻNIE** O POLITYCE

BOGDAN RYMANOWSKI

**GOŚĆ RADIA ZET** | PN - PT, 8:02

Sebastian Kulczyk sprzedał swoje udziały w Autostradzie Wielkopolskiej, jakie w spadku zostawił mu ojciec. Znikają kolejne ślady obecności Jana Kulczyka w polskiej gospodarce. Jakie piętno odcisnął na niej Doktor Jan i co z tym dorobkiem robią **jego dzieci**?



ADAM GRZESZAK

## Cień imperium

# K

rowa dywidendowa – tak w Kulczyk Investments, centrali kulczykowych biznesów, nazywano aktywa autostradowe, jakie Sebastianowi zostawił ojciec. Bo spółki z grupy Autostrady Wielkopolskiej uznawano za stabilne i niewrażliwe na gospodarcze zawirowania źródło dochodów. Tak zresztą przed laty wymarzył to sobie Kulczyk senior, który z tego powodu cenił branżę infrastrukturalną.

Autostrada Wielkopolska to był jego autorski pomysł. Na początku lat 90. Polska żyła marzeniami o nowoczesnych drogach, brakowało jednak w państwowej kasie pieniędzy, by je zbudować. Panowała za to wiara w wolny rynek, dlatego postanowiono sprawę oddać w ręce prywatnego biznesu. Tak narodziła się w 1993 r. spółka Autostrada Wielkopolska (AWSA), do udziału w której

Kulczyk namówił też bogate państwowe firmy, z którymi miał dobre kontakty (m.in. Elektrim, Orbis, Orlen, PSE). Pojawiły się też zachodnie spółki dysponujące tak niezbędną wiedzą i kapitałem. AWSA stanęła w 1995 r. do przetargu koncesyjnego na budowę i eksploatację odcinka A2 z Łodzi do Świecka. I wygrała. – *Był tylko problem z finansowaniem. Banki traktowały nieufnie inwestorów autostradowych. Miały wątpliwości co do prognoz ruchu i tego, czy Polacy zaakceptują płacenie za przejazd autostradą. Dlatego żądały gwarancji Skarbu Państwa* – wspomina Marek Pol, były wicepremier i minister infrastruktury.

Negocjacje na linii koncesjonariusz–państwo–banki trwały trzy lata, zaś odcinek A2, jaki AWSA miała wybudować, skurczył się do trasy Konin–Nowy Tomyśl. Potem przez osiem lat trwały negocjacje w sprawie doprowadzenia A2 od Nowego Tomyśla

do Świecka, co ostatecznie zostało zrealizowane przez Autostradę Wielkopolską, ale już w systemie partnerstwa publiczno-prywatnego. Zawsze jednak otwarcia ukończonych odcinków świętowano z olbrzymim rozmachem. Były tańce koparek, „fanfary dla A2” (utwór specjalnie skomponowany przez Jana A.P. Kaczmarska). Byli politycy, samorządowcy, media. I zawsze mistrzem ceremonii był Doktor Jan, który A2 nazywał My Way.

## Kuszenie VW

Choć trzeba przyznać, że czasem działał bez fanfar, dyskretnie i skutecznie. Marek Pol z wdzięcznością myśli o Doktorze, bo to za jego sprawą udało się uratować Fabrykę Samochodów Rolniczych Polmo w Antoninku pod Poznaniem, największy zakład przemysłowy Wielkopolski. Na początku lat 90. Pol był wicedyrektorem upadających zakładów wytwarzających archaiczne auta użytkowe Tarpan Honker. – *Szukaliśmy inwestora, który uratuje zakład. Rozesłaliśmy oferty do wielu koncernów, niektóre nawet były zainteresowane, ale po bliższych analizach rezygnowały. Jedy- nym koncernem, który całkowicie nas zlekce- ważył, był Volkswagen* – opowiada.

Wtedy do akcji wkroczył Doktor Jan (tak go tytułowano, bo był doktorem prawa), właściciel poznańskiej spółki Kulczyk Tradex, która od niedawna była wyłącznym importerm aut z grupy Volkswagena. Podczas jakiejś oficjalnej importerskiej imprezy w Wolfsburgu Jan Kulczyk zagadnął Ferdinanda Pięcha, prezesa koncernu, w sprawie Poznania. Doktor słychał z tego, że łatwo nawiązywał kontakt i umiał rozmawiać. Szef VW połknął haczyk i Niemcy zaczęli rozważać przeniesienie do Pol- ski produkcji pick-upa VW Taro. – *Był tylko je- den problem. Taro to była licencyjna wersja Toyoty Hilux, więc na przenosiny musieli zgodzić się Japończycy. Długo oglądali nasz zakład, aż powiedzieli, że zgody nie dadzą. Volkswagen chciał się już wycofać, ale wte- dy na szczęście pojawił się Sobiesław Zasada* – wspomina Marek Pol.

Słynny rajdowiec i przedsiębiorca był wówczas blisko związany z Mercedese- m. Kupował upadające polskie zakłady motoryza- cyjne z myślą o stworzeniu własnego koncernu w oparciu o mercedesowską technologię. – *To prze- konało Volkswagena, by z Poznania jednak nie rezy- gnować. I tak dzisiaj, po 30 latach, Volkswagen Poznań rozrósł się do czterech zakładów produkcyjnych, wyprodukował już 4 mln samochodów, zatrudnia prawie 10 tys. osób i jest naj- większą firmą Wielkopolski* – komentuje Pol, dodając, że bez Jana Kulczyka to mogło się nie udać.

Biznesmen działał tu pro bono, bo na żadnym etapie nie było rozważane jego zaangażowanie w tę inwestycję. Związki Kulczyka z Volkswagenem utrzymywały się jeszcze długo, ale ograniczały do roli polskiego importera aut. – *Genialnym ruchem Doktora było wciągnięcie do spółki holenderskiej firmy Pon Holdings. Fir- ma braci Pon to był najstarszy i najbardziej zasłużony dystrybu- tor aut Volkswagena, z którym w Wolfsburgu bardzo się liczone. Dzięki temu Kulczyk Tradex aż do 2011 r. pozostawał niezależ- nym importerm, choć Grupa VW we wszystkich krajach rezygno- wała z lokalnych partnerów i tworzyła własne spółki handlowe* – relacjonuje dr Jerzy Krężlewski, niegdyś dyrektor marketingu w Kulczyk Tradex.

Jan Kulczyk lubił się wiązać z dużymi branżowymi graczami, którzy mieli pieniądze i wiedzieli, jak prowadzić biznes. Takimi jak np. France Telecom, z którym kupili Telekomunikację Polską. O trikach Doktora sporo może opowiedzieć Janusz Lewandowski, w latach 90. minister przekształceń własnościowych, który w ra- mach prywatyzacji sprzedał Janowi Kulczykowi Browary Wielkopolski. Kulczyk miał być samodzielnym inwestorem, bo korzystał z preferencji dla krajowych przedsiębiorców. Tymczasem szyb- ko podzielił się spółką, angażując wielki południowoafrykański koncern SAB. Wspólnie stworzyli Kompanię Piwowarską, któ- ra niebawem, przejmując kolejne polskie browary, rozrosła się do największego producenta piwa w Polsce.

Potem SAB dokonał fuzji z amerykańskim koncernem Miller i tak powstał drugi światowy producent piwa. Jan Kulczyk wymie- nił swój pakiet w Kompanii Piwowarskiej na akcje SABMillera, co okazało się najbardziej dochodowym interesem jego życia. Spieniężyły go już dwiema, inkasując po- nad 10 mld zł. Kompania Piwowarska jest nadal polskim piwnym liderem, tyle że należy już do ja- pońskiego koncernu Asahi.

## Krowa na sprzedaż

Autostrada Wielkopolska nie jest pierwszą inwestycją ojca, której pozbywa się syn. Wcze- śniej sprzedał spółkę Serinus, wspomnienie po marzeniach Jana Kulczyka o karierze na- cciarza. To branża wysokiego ryzyka, więc wizja wielkich zysków zamieniła się w realne straty, co przyniosło rozczarowanie nie tylko Doktoro- wi, ale też wielu drobnym akcjonariuszom gieł- dowym. Teraz przyszła kolej na sprzedaż spółek autostradowych: AWSA I (Konin–Nowy Tomyśl) i AWSA II (Nowy Tomyśl–Świecko), a także spół- ki zajmującej się utrzymaniem autostrady oraz spółki budowlanej A2 Route. Moment okazał się niefortunny, bo oferta trafiła do potencjalnych kupców w chwili wybuchu wojny w Ukrainie, kiedy inwestowanie w autostradę wiodącą do granicy z Białorusią mogło budzić wątpli- wości. Jednak chętnego nie trzeba było daleko szukać. Francuski fundusz inwestycyjny Mer- ridiam, specjalizujący się w inwestycjach in- frastrukturalnych, który był już akcjonariuszem Autostrady Wielkopolskiej, postanowił dokupić kulczykowy pakiet. Zapłacił za niego ok. 3 mld zł.

To najcenniejsze aktywo w polskiej gospodarce, jakie Sebastianowi zostawił Jan Kulczyk.

Dlaczego syn pozbył się dywidendowej krowy? – *Sebastian ma inną niż ojciec koncepcję prowadzenia biznesu* – przekonuje jeden ze współpracowników Doktora Jana, a dziś jego syna. – *Stara się unikać branż silnie regulowanych przez państwo. Płatne odcinki A2 Autostrady Wielkopolskiej, zwane popular- nie kulczykówką były zawsze przedmiotem krytyki, bo opłaty za przejazd są tu dużo wyższe niż na innych płatnych odcinkach. Nawet między Nowym Tomyślem a Świeciem płaci się mniej, bo tu wysokość myta narzuca państwo. Szefowie AWSA prze- konywali zawsze, że państwo może dokładać do interesu, a oni nie, bo banki-kredytodawcy patrzą im na ręce. Kierowcy nie byli do tego przekonani, panowała opinia, że Kulczyk zdziera z nich pieniądze, więc atmosfera wokół Autostrady Wielkopolskiej gęstniała. Zwłaszcza ostatnio, gdy PiS postanowił pójść do wy- borów z obietnicą bezpłatnych autostrad i szykuje się do dzia- łań przeciwko wszystkim prywatnym koncesjonariuszom* ▶



Volkswagen za sprawą zabiegów Jana Kulczyka uratował fabrykę samochodów pod Poznaniem. Poniżej: Ciech – nadzieja biznesowa Sebastiana Kulczyka.



► autostradowym (jeden z wiceministrów rzucił nawet groźbę przymusowego wywłaszczenia). Trudno w tej sytuacji się dziwić, że Sebastian Kulczyk postanowił zejść im z drogi.

## Jak brat z siostrą

Ma zupełnie inny charakter niż ojciec. Wie, że nazwisko, które Doktor Jan uczynił znakiem towarowym, nie ma już takiej siły oddziaływania. Częściej bywa problemem niż atutem. Zwłaszcza w Polsce, gdzie wciąż wiele osób pamięta niejasne tłumaczenia Doktora przed orlenowską komisją śledczą z rozmów z rosyjskim szpiegiem Władimirem Ałganowem. Dlatego Sebastian unika mediów, nie udziela wywiadów, stara się być niewidoczny. Rezyduje głównie w Londynie albo w Szwajcarii. W Polsce pojawia się z rzadka. Wie, że czasy się zmieniły.

Kiedy osiem lat temu w wieku zaledwie 65 lat Jan Kulczyk niespodziewanie zmarł, Sebastian już od półtora roku był prezesem Kulczyk Investments. Ojciec wdrażał go do roli następcy, choć jak wszyscy przyznają, wciąż kierował firmą z tylnego siedzenia. Córka Dominika w tym czasie zajmowała się kręceniem filmów dokumentalnych i działalnością charytatywną, w ramach Kulczyk Foundation. Ojciec marzył, że rodzeństwo kiedyś wspólnie przejmie jego interesy, ale operacyjnie będzie nimi zarządzał Sebastian. To okazało się nierealne. Dominika i Sebastian to ogień i woda.

– *Dominika starała się czasem odgrywać wobec Sebastiana rolę starszej siostry, co on źle znosił. W sprawach biznesowych się nie dogadywali. Dlatego szybko doszli do wniosku, że muszą spadek podzielić* – relacjonuje osoba z otoczenia.

Ten podział zajął im dwa lata, bo rozsupłanie zagmatwanych ojcowskich interesów, spółek rozrzuconych w Polsce, ale i odleglejszych częściach świata, w rozmaitych reżimach prawnych nie było łatwe. Trzeba było oszacować ich wartość, przeliczyć gotówkę, nieruchomości, rezydencje i wszystkie zabawki Doktora, takie jak np. wielki oceaniczny superlüksowy jacht Phoenix 2, jaki Doktor sobie sprezentował na sześćdziesiąte urodziny.

Ostatecznie stanęło na tym, że niemal wszystkie biznesy ojca wzięł Sebastian. Poza jednym – spółką Polenergia, największą polską prywatną grupą energetyczną, specjalizującą się dziś głównie w energii odnawialnej. Ta trafiła do siostry i sprawnie zarządzana okazała się dla niej dywidendową krową. Dominice przypadła też cała ojcowska gotówka, dzięki której jako najbogatsza Polka (ok. 9 mld zł) może realizować miliarderskie kaprysy, takie jak np. zakup londyńskiej posiadłości w prestiżowej okolicy Knightsbridge za 57,7 mln funtów (ponad 300 mln zł). Kupiła też dom Marii Skłodowskiej-Curie pod Paryżem (za 709 tys. euro), bo jako Polka i feministka chciała chronić ślady wielkiej rodaczki, a w jej domu stworzyć Dom Sióstrzeństwa, czyli „naturalne miejsce spotkań kobiet, które swoją działalnością, tak jak Maria, przekraczają wszelkie znane nam bariery” – jak wyjaśniła na Instagramie. Widać, że lubi ojcowski styl.

## Pociecha w Ciechu

Sebastian też inwestuje w nieruchomości, budując superlüksowe apartamenty na sprzedaż m.in. w Krakowie, Katowicach, Warszawie pod marką NOHO. Jednak jego największą fascynacją są nowe technologie. Ojciec akceptował jego pasję, choć jej nie rozumiał. Sam nawet nie korzystał z komputera.

Syn odziedziczone pieniądze inwestuje w nowo powstałe spółki technologiczne, wierząc, że kiedyś przyniosą mu zyski takie, jak ojcu przyniosły udziały w Kompanii Piwowskiej, Erze GSM (dziś T-Mobile) czy Telekomunikacji Polskiej (dziś Orange Polska). W tym celu w 2017 r. utworzył Manta Ray VC, fundusz venture capital. W portfelu ma już kilkanaście spółek polskich i zagranicznych – od na razie mało znanych, takich jak Brainly, Booksy, Stanush czy Fibaro aż po słynne, jak np. Hyperloop One Richarda Bransona. Ostatnio zafascynował go BaseLinker, szybko rosnący polski integrator handlu internetowego, z którym wiąże duże nadzieje. – *Część pieniędzy ze sprzedaży Autostrady Wielkopolskiej pójdzie na inwestycje technologiczne, część na nieruchomości, a reszta na rozbudowę Ciechu* – wyjaśnia jego współpracownik.

Zakup Ciechu to była ostatnia transakcja prywatyzacyjna Jana Kulczyka. W czerwcu 2014 r. jego spółka KI Chemistry kupiła od Skarbu Państwa ponad 51 proc. akcji. Ciech to dawna peerelowska centrala handlu zagranicznego, która z czasem obrosła w spółki produkcyjne, dzięki którym jest dziś jednym z największych europejskich producentów produktów chemicznych, w tym sody kalcynowanej, niezbędnej w produkcji szkła i metalurgii. Kulczyk junior deklaruje, że Ciech jest jego spółką strategiczną, której nie sprzedaje, ale chce wprowadzić do grona największych europejskich graczy przemysłu chemicznego.

Na razie pracowicie wykupuje akcje notowane na GPW, ogłaszając kolejne wezwania. Ma już blisko 80 proc. akcji i zamiar wycofania Ciechu z giełdy. Bo to rynek regulowany, a on za takim nie przepada. Zwłaszcza że PiS od dawna nie ukrywa zamiaru unieważnienia prywatyzacji Ciechu i odebrania spółki. Próbowano już działań prawnych, na razie bezskutecznie.

Kiedy 20 lat temu pisaliśmy z Joanną Solską artykuł „Państwo to Jan”, który wywołał ogromną burzę, byliśmy autentycznie zaniepokojeni bliskimi związkami Jana Kulczyka z politykami i jego wszechobecnością w polskiej gospodarce. To był szczytowy moment rozwoju jego imperium. Był niemal wszędzie: w telekomunikacji, drogach, ubezpieczeniach, motoryzacji, handlu, paliwach. Próbował konsolidować Orlen z Lotosem, organizować fuzję z węgierskim MOL i austriackim OMV, łączyć PZU z Wartą. W 2004 r. wybuchła afera orlenowska. Stało się to zaraz po ujawnieniu okoliczności zatrzymania przez służby specjalne prezesa PKN Orlen Andrzeja Modrzejewskiego, a potem odwołania go ze stanowiska. Polecenie wydał ówczesny premier Leszek Miller, żeby zablokować podpisanie kontraktu na zakup ropy. Powołano sejmową komisję śledczą, a jeden z badanych wątków dotyczył ujawnionych dokumentów Agencji Wywiadu na temat spotkania Jana Kulczyka z Władimirem Ałganowem, do którego miało dojść w Wiedniu, w 2003 r., i wówczas – jak wynikało z papierów – biznesmen miał powoływać się na swoje wpływy u prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego w sprawie korzystnej dla Rosjan prywatyzacji Rafinerii Gdańskiej. Wtedy wszystko się urwało. Kulczyk ruszył w świat kupować kopalnie złota w Afryce i złoże ropy w Azji. Do Polski zaglądał już rzadziej, bardziej chwalił realia afrykańskiego biznesu, w których się odnajdywał. Gdybyśmy dziś mieli porównywać, to rolę Jana Kulczyka zaczyna odgrywać Daniel Obajtek. Bo dziś państwo to Daniel.

ADAM GRZESZAK



Jan Kulczyk podczas uroczystości otwarcia odcinka autostrady A2 Nowy Tomysł–Świecko.

© PIOTR SKORNIK/AGENCJA WYBORCZA.PL

# Marka się przebrała

Jak wybory, to znowu bitwa o handel. Padają zapowiedzi obowiązkowych „lokalnych pótek” w sklepach, powrotu do handlu w niedzielę, kolejnych ograniczeń dla wielkich sieci sklepów i ich „marek własnych”, przywilejów dla polskiej żywności. Co z tego ma sens?

JOANNA SOLSKA



ILUSTRACJA IZA KUCHARSKA

Szansę na powrót do wielkiej polityki, czyli piąte miejsce na liście kandydatów PiS do Sejmu w Toruniu, Jan Krzysztof Ardanowski zawdzięcza Michałowi Kołodziejczakowi. Ardanowski stracił stanowisko ministra rolnictwa po sprzeciwie wobec „piątki dla zwierząt” Kaczyńskiego, od tego czasu funkcjonuje na bocznym

torze jako doradca prezydenta do spraw rolnictwa. Kiedy jednak lidera AgroUnii umieściła na jedynej swojej liście w Kolinie Koalicja Obywatelska, do prezesa dotarło, że do walki o głosy rozdrażnionych rolników musi wystawić zawodnika cięższej wagi, mającego na wsi poważanie, obecny minister rolnictwa Robert Telus nie wchodził więc w rachubę.

W trakcie spektakularnych akcji protestacyjnych Kołodziejczak domagał się, aby handel w Polsce sprzedawał przede wszystkim polskie produkty. Żalił się, że sam nie może sprzedać kapusty. Jako kandydat na posła z listy KO szef AgroUnii obiecuje, że co najmniej połowa artykułów żywnościowych w polskim handlu będzie krajowej produkcji. ►

► To bezpieczna obietnica, cieszy, a nie szkodzi.

Ardanowski musiał Kołodziejczaka przelicytować. I mocno przestrzelił, obiecując producentom i rolnikom – za małym, by stać się partnerami dla wielkiego handlu – że PiS zmusi sieci do zakupu ich towarów. Wyborczy program partii nazywa się „lokalna półka”, ponieważ po jego wejściu w życie w sklepach co najmniej dwie trzecie oferty będą musiały stanowić produkty lokalne. Koniec z cypryjskimi ziemniakami i marokańskimi pomidorami; o bananach i cytrynach Ardanowski na razie nie wspomniał. Na paragonach będzie napisane, czy produkt jest polski.

Gdyby „lokalne” miało znaczyć to samo co „polskie”, nic by się w wielkim handlu nie zmieniło. Biedronka zapewnia, że już 93 proc. towarów sprzedawanych w sieci jest produkcji krajowej. Polska jest przecież kiełbasa z duńskiej wieprzowiny i wyprodukowana przez zagraniczny koncern, ale w naszym kraju. Carrefour polskich towarów ma 65 proc.; w dziale produktów świeżych aż 76 proc. Lidl twierdzi, że polską żywność sprzedaje także w swoich sklepach za granicą.

Ale już powód do zmartwienia może mieć np. polska firma BerryGroup Pniewy, jeden z największych w kraju producentów borówki amerykańskiej. Konkurencja na tym rynku jest ostra, słabsi wypadają, więc grupa, której członkami są polscy rolnicy, chce zarabiać nie tylko w sezonie, zimą i wczesną wiosną owoce importuje z Chile, Peru czy Maroka. – *Handel oczekuje, że borówka ma być w sprzedaży przez 52 tygodnie w roku* – zapewnia Mateusz Pilch z BerryGroup. Oczekiwania polityków są jednak inne.

## Mole w sieci

Ardanowski ma odzyskać dla PiS nie tylko przedsiębiorców, których partia straciła ostatnio, lecz także tych, którzy odwrócili się od niej jeszcze za czasów ministra Jurgieła, czyli w pierwszej kadencji rządu PiS. Jurgiel, chcąc zapewnić rolnikom dodatkowe źródła dochodu, nie chcąc wykończył sporo rodzinnych firm zajmujących się rzemieślniczą produkcją wędlin. Janusz Rodziewicz, ówczesny szef Stowarzyszenia Rzeźników i Wędliniarzy, alarmował na łamach POLITYKI, że polski rząd tworzy nieuczciwą konkurencję dla polskich przetwórców wędlin. Firmy muszą płacić VAT oraz wszystkie inne podatki, a utworzony w obejściach rolników RHD (rolniczy handel detaliczny) może wytwarzać i sprzedawać wyroby mięsne



Aż 67 proc. polskich klientów w 2023 r. najczęściej udawało się po zakupy do dyskontów. Sklepy z przewagą lokalnych produktów – jeśli powstaną – będą dla nich czymś w rodzaju delikatesów.

praktycznie bez podatków. Potwierdzeniem wielkości obrotów są tylko zapisy „na zeszyt”. Tak to „lokalny” szkodzi „polskiemu”.

Kandydat na posła Ardanowski zapewnia, że dzięki „lokalnej półce” zyskają zarówno rolnicy, jak i klienci, ale definicji lokalności nie podaje. W sukurs śpieszy mu Telus. Wyjaśnia, że polski dostawca sprzedaje swoje produkty „w swoim sklepie”, nie będzie już musiał jeździć 100 km i dalej. Będziemy lepsi od UE, tam odległość „od pola do stołu” wynosi przeciętnie 170 km. Na uwagę Witolda Boguty, szefa Krajowego Związku Producentów Owoców i Warzyw, że polskie przetwórstwo takiemu zadaniu nie sprostą, Telus przytakuje: – *Straciliśmy lokalne przetwórstwo, gdy nas wprowadzono do UE, teraz koncerny rządzą*. To kompletnie nie w tym rzecz, bo małe przetwórnice są po prostu droższe od gigantów. To dlatego np. „lokalnej półki” obawia się jej potencjalny

beneficjent, czyli Gminna Spółdzielnia Samopomoc Chłopska w Pruszczu Pomorskim. GS broni się przed konkurencją zagranicznych dyskontów własnymi wyrobami. Ma w okolicy 20 sklepów, do których dostarcza pieczywo z własnej piekarni z mąki przemielonej w swoim młynie oraz wędliny produkowane we własnej masarni. – *Z polskiej wieprzowiny* – zapewnia prezes Łukasz Wielgat. Geesowskie pieczywo klienci kupują chętnie, ale po świeżym mięsie czy kurczaku raczej nie przyjdą, na promocjach w dyskoncie schab i wędliny kosztują mniej. Swojskie salcesony, kaszanka czy pasztetowa z GS w Pruszczu Pomorskim to nie są produkty masowe, raczej delikatesy.

Januszowi Rodziewiczowi, obecnie ekspertowi mięsnego rynku, „lokalna półka” nawet się podoba, ale w nią nie wierzy. – *Przed kilkoma laty takie półki wprowadził Carrefour, klienci mogli kupić produkty od lokalnych dostawców, ale inicjatywa upadła*. Sieć, oprócz wymogów unijnych, stawiała dodatkowe, np. że produkty muszą być pakowane i mieć datę przydatności do spożycia co najmniej przez miesiąc. Zresztą drobnych przetwórców nie stać na współpracę z sieciami, które biorą 30 proc. marży, dlatego w to, że mała, ograniczona lokalna działalność (tzw. mole) trafi do sieci, nie wierzy. A z większymi stanie się to, co z doskonałym lokalnym producentem wędlin. Sokołów, który już jest własnością firmy zagranicznej, wykupił producenta wędlin Gzella z Borów Tucholskich, ale nadal sprzedaje jego wyroby pod starą marką. No i nie wiadomo: to lokalny produkt, czy nie?

## Kaszanka jak kiełbasa

Polityczną bitwę o handel już niedawno mieliśmy. Zakaz budowy wielkich hipermarketów, jaki wprowadził pierwszy rząd PiS, LPR i Samoobrony, miał pomóc właścicielom małych polskich sklepów, ale je wykończył. – *W osiedlach zaczęły masowo powstawać niewielkie sklepy dużych sieci dyskontowych* – przypomina Andrzej Fałński, były już szef POHiD, więc może mówić, co myśli. Małe sklepy nie wytrzymały morderczej konkurencji, kolejnym ciosem dla nich był – także wprowadzony dla ich dobra – zakaz handlu w niedziele.

W 2018 r., gdy zaczął obowiązywać, wypadło z rynku 18 tys. rodzimych placówek. Według GUS w 2022 r. funkcjonowało już tylko 291 tys. sklepików, w 2015 r. było ich 361 tys. Tylko w ostatnim roku zamknęło się 2,5 tys. rodzinnych biznesów. Sklepy rodzinne, które mogą być w niedziele

otwarte, straciły klientów, bo w sobotę skusiły ich wielkie promocje w dyskontach, zajmujących już 42 proc. polskiego rynku.

Ireneusz Wróbel, który wraz z ojcem dorobił się ośmiu sklepów spożywczych w okolicy Dębicy na Podkarpaciu, chwali się, że lokalnymi produktami handluje w nich od lat. – *Pieczyno mam tylko od pana Ciszka, jajka wyłącznie od pana Żmudy, a kaszankę, jeszcze gorącą, przywożą prosto z Kabanosa w Przecławiu. Ziemniaki od pana Józefa dostają trzy razy w tygodniu, bo szybko schodzą, markońskimi nie handluje, jabłka mam gorzej wyglądające, ale smaczniejsze, polskie* – zachwala. Sklepy rodziny Wróbelów prosperują dobrze, ale czują na plecach oddech taniej polskiej sieci Dino. Więc, żeby konkurencja ich nie pokonała, do części spożywczej dobudowali sklep z narzędziami i artykułami dla domu. Ale nad sklepami rodzinnymi nie wiszą szyldy Wróbel, tylko już logo Lewiatana, franczyzodawcy. Dla większości rodzinnych biznesów to ostatnia deska ratunku, w pełni samodzielne nie przetrwają.

Lewiatan za opłatą prowadzi szkolenia i podpowiada, jakie produkty najszybciej schodzą. Łączy właścicieli sklepów w jedną grupę zakupową, dzięki czemu zdobywają towar po niższych cenach. Raczej od dużych dostawców. Tworzy z właścicielami sklepów sieć, której razem łatwiej konkurować z gigantami, także dlatego, że wydają wspólne gazetki reklamowe.

Franczyzodawcą jest też polska Grupa Specjał, nad sklepami jej franczyzobiorców wiszą szyldy Nasza Chata, Livia albo Rabat. Jej szef Krzysztof Tokarz zapewnia, że to właśnie sprzedaż lokalnych produktów odróżnia te sklepy od wielkich sieci. Jest w nich też dużo większy wybór: w dyskontach asortymentu jest góra 3 tys., w lokalnych sklepach nawet dwa razy więcej. Ale jest też druga strona medalu. – *Tradycyjne pieczywo na zakwasie z pobliskiej piekarni potrafi być dwa razy droższe od tego z sieci* – przyznaje Tokarz. Wyższe są też inne ceny. Bywa, że kaszanka kosztuje tyle, ile kiełbasa w dyskoncie. „Lokalna półka” musi więc mieć ograniczony zakres, bo inaczej sklep długo nie pociągnie.

W niewielkiej Dębicy na Podkarpaciu jest już pięć Biedronek, jeden Lidl, coraz agresywniej rozpycha się Dino, a sklepów rodzinnych ubywa. Według firmy badawczej NielsenIQ w 2023 r. aż 67 proc. polskich klientów najczęściej udawało się po zakupy do dyskontów, przed rokiem „tylko” 60 proc. Sklepy z przewagą lokalnych produktów, jeśli w ogóle takie powstaną, będą dla polskich klientów czymś

w rodzaju delikatesów. Przywilej otwarcia w niedziele, jakim PiS obdarował właścicieli małych sklepów, nie ma dla nich znaczenia, ich sytuacji finansowej nie poprawia. Dlatego niewielu z niego korzysta.

PiS trwa przy zakazie niedzielnego handlu, bo jego wyborcy w większości żądają jego utrzymania, a Solidarność wręcz postuluje zaostrzenie reguł. W tym roku niedziel handlowych zostało już tylko siedem. Wyborcy Koalicji Obywatelskiej chcieliby zniesienia zakazu, zwłaszcza osoby, które także w niektóre niedziele muszą pracować. KO im to obiecuje, zapewniając jednocześnie pracowników handlu, że dwie niedziele będą mieli wolne, a w te pracujące otrzymają 200 proc. wynagrodzenia. W tym sporze siły polityczne są prawie wyrównane. Konfederacja deklaruje wolność gospodarczą, więc zakazu handlu niedzielnego nie popiera; ale młodzi o lewicowych poglądach sklepów otwartych w niedziele nie chcą. Trzecia Droga kompromisowo postuluje, aby dwie niedziele w miesiącu jednak były handlowe, a dwie nie.

### Precz z markami własnymi

Zakaz handlu w niedziele sklepiki zrujnował, „lokalna półka” im nie pomoże, więc PiS wyciąga kolejną obietnicę wyborczą. Ma rodzimym biznesom pomóc, ale też raczej zaszkodzi. W Kosowie Laccim na Mazowszu premier Mateusz Morawiecki zobowiązał się, że PiS wreszcie skończy z tzw. markami własnymi (czyli z logo sieci, a nie producenta), ponieważ produkty polskich wytwórców muszą być znane pod ich własną marką, żeby im ułatwić dostęp do klientów, zarówno krajowych, jak i zagranicznych.

– *Tak by było najlepiej, ale o wartości marki producenta w 40 do 60 proc. decyduje reklama. Właściciele większości rodzimych firm już na nią nie stać* – twierdzi Andrzej Wojciechowicz, ekspert Komisji Europejskiej. Premier nie wspomina, kto i w jaki sposób zapłaci za to, żeby małe polskie firmy stały się znane.

Marki własnych ma być już nie więcej jak 20 proc. Dziś zdaniem ekspertów w dyskontach jest ich nawet do 80 proc. Klienci je zaakceptowali, bo uznali, że ich jakość jest już porównywalna z produktami markowymi, ale cenę mają o wiele niższą – to przyczyna ich powodzenia. Według NielsenIQ w 2023 r. po marki własne sięga aż o jedną trzecią klientów więcej niż przed rokiem. Więc to nie sieci boją się obietnic polityków najbardziej, ale polskie firmy i konsumenci.

Stanisław Cabaj, producent garmażerki Mateo, zaczął od ręcznie lepionych

pierogów, obecnie firma wytwarza już kilkaset ton pierogów, knedli i kartaczy miesiennie. Na tyle popytu w sklepach lokalnych nie ma, a na wysokie opłaty i marże, których żądają sieci, Cabaja nie stać. Dlatego zdecydował, że będzie dostarczał swoje produkty do sieci anonimowo, a one sprzedadzą je jako marki własne. Konsumenci nie będą świadomi, czyje knedle im smakują, nie zobaczą logo Mateo. Po co Cabaj to robi, skoro jego firma na popularności nie zyskuje? – *W ten sposób mogę produkować więcej, a efekt skali pozwala mi na obniżenie cen* – wyjaśnia.

Co się stanie, jeśli politycy marki własne z sieci wymiutą? Wtedy za marki producentów po prostu zapłacimy drożej. A te marki i firmy, na których odbiorcom zależy najbardziej, wykupią sieci – w ten sposób zakaz ominą, bo staną się ich właścicielami. Przedsiębiorstwa takie jak Mateo znikną.

Dlatego właściciele Mateo nie chcieliby, żeby decydowali za niego politycy. To samo mówi Maciej Ptaszyński, prezes Polskiej Izby Handlu, zrzeszającej polskie sklepy: – *Pozostawmy wybór klientom.*

JOANNA SOLSKA

REKLAMA



Prywatna Klinika Rehabilitacyjna  
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,  
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY  
Krojanty - Dwór k. Chojnic  
tel. (052) 398-56-56  
fax. (052) 398-56-06  
www.krojanty.com.pl  
klinika@krojanty.com.pl

#### LECZYMY:

rwę kulszową, wypadnięcia dysków,  
chroniczne zespoły bólowe  
kręgosłupa i głowy, powikłania  
choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa,  
następstwa i powikłania urazów  
układu kostnego, więzadeł i stawów,  
migrenowe bóle głowy.

#### PROWADZIMY REHABILITACJĘ:

po wylewach, po operacjach  
ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT  
SWOIM RODZICOM

# Demon Putin

Dla coraz większej liczby Rosjan nieradzących sobie z wojenną rzeczywistością okultyzm i mistycyzm stały się narzędziami porządkowania świata, którego nie rozumieją.

PIOTR ŁUKASIEWICZ

# W

ładimir Putin kazał zabić czarnego psa i wypił jego krew. Szamani zamknięci w podziemiach Kremła przekonali go bowiem, że tylko w ten sposób zapewni sobie zwycięstwo nad Ukrainą. Odprawivszy ponury rytuał, dyktator zażył następnie kąpieli w miksturze z poroża syberyjskich jeleni – aby zagwarantować sobie życie wieczne. Po tych krwawych zabiegach

nakazał jeszcze zlikwidowanie pewnego syberyjskiego szamana, który rozpoznał w nim piekielnego demona. Ot, kolejny zwyczajny dzień prezydenta Federacji Rosyjskiej.

To tylko mała próbka magii i ludowych fantazji snujących się wokół Kremła w ostatnich latach, spora część Rosjan pogrzyżyła się w nich, szukając sensu życia. Głęboko zlaicyzowane w czasach komunizmu społeczeństwo na nowo odkrywa duchowość i życie religijne. Ponieważ jednak Cerkiew prawosławna stała się de facto jeszcze jedną instytucją opresyjnego państwa, Rosjanie coraz częściej zwracają się w stronę mistycyzmu i okultyzmu.

Badania ośrodka Lewada z maja 2022 r. pokazały, że tylko niewiele ponad 50 proc. Rosjan uważa się za osoby religijne. Rok później już ponad 60 proc. pytanym twierdziło, że religia nie ma w ich życiu większego znaczenia. Czy więc Rosja ponownie się sekularyzuje? A może nigdy nie wróciła na dobre do prawosławia, stłumionego po rewolucji bolszewickiej? Po rozpadzie ateistycznego ZSRR same władze podejmowały próby nawrócenia Rosjan – z marnymi rezultatami.

Jednocześnie w 2022 r. ponad połowa Rosjan wierzyła w „złe oko” i czynienie uroków, a rynek książek o tematyce ezoterycznej wzrósł od 2020 r. już o 50 proc. Wnioskując z najlepiej sprzedających się tytułów, Rosjanie od początku pandemii poszukiwali sposobów na radzenie sobie z groźną rzeczywistością. Samodoskonalili się w „pracy z podświadomością, rozumieniem celów życiowych i wypełnianiem karmicznych zadań” albo w technikach medytacyjnych.

## Gdzie jest mój mąż

Od początku pandemii triumfy święci również tarot. „Kommiersant” donosił na miesiąc przed rozpoczęciem wojny z Ukrainą, że liczba sprzedawanych w Moskwie talii wzrosła o 500 proc. Rosjanie patrzyli w karty i YouTube, gdzie pojawiły się dziesiątki popularnych kanałów tarologów, głównie kobiet, stawiających tarota w odpowiedzi na pytania z klasyki wróżbiarstwa: czy zmienić pracę? czy wyjść za mąż? Po rozpoczęciu „specjalnej operacji wojskowej” doszły jeszcze nowe: gdzie jest mój mąż?; czy Rosji coś grozi?

Część tarologów, oprócz objaśniania indywidualnych losów żołnierzy okupujących Ukrainę, zabrała się również za wróżby geopolityczne: kiedy skończy się wojna?; czy Rosja wygra? Pojawiają się też pytania natury demonicznej: czy Wołodymyr Zełenski jest wysłannikiem diabła?; czy bierze narkotyki? Ale też bardzo konkretne, jak rozważania Ksenii Miedwiediewy, znanej jako Bystra Tarolożka, nad prawnymi i etnicznymi niuansami wcielenia do Rosji ukraińskich miast Odessy, Charkowa albo Mikołajowa.

Rosyjscy tarolodzy odpowiadają w ten sposób na zaniepokojenie społeczne wywołane wojną, niepewnością losu żołnierzy i brakiem rzetelnego wyjaśnienia, dlaczego właściwie państwo poszło się bić. Jeśli takich wyjaśnień brakuje albo są mało przekonujące, pojawia się myślenie magiczne, zastępujące poczucie sprawstwa.

Z kolei tarotowe analizy geopolityczne albo dotyczące losu okupowanych przez Rosję ziem wywodzą się wprost z oficjalnej propagandy Kremla. Wchłonięcie części Zaporozża, Chersońszczyzny albo reszty Donbasu jest jedynym konkretem, którym Kreml może wojnę usprawiedliwiać. I w tej sprawie wspierają go również wróżowie oraz wróżki z Telegrama i YouTube. Nie tylko porządkują rzeczywistość swoim odbiorcom, ale również utwierdzają ich w przekonaniu, że zdobycze wojenne mają zdeteminowany w kartach charakter.

A skoro wszystko jest już przewidziane i zapisane, wierzącemu w to Rosjaninowi nie zostaje nic innego niż poddać się losowi. Nie warto się buntować, można zrzucić z siebie odpowiedzialność – i taka właśnie postawa jest dopełnieniem zaklęcia, jakie Putin rzucił na Rosjan. Brzmi ono: „Wy się nie buntujecie i żyjecie, a ja dostarczam dobrobyt, zgodnie z rozdzielnikiem, bogatym oligarchom więcej, biedocie w sam raz”. Zaklęcie staje się mitem społecznym, czasami definiowanym jako „kontrakt społeczny Putina z Rosjanami”.

W przypadku Rosji państwo Putina nie wypełniło swojej części kontraktu. W krótkim odstępie czasu nie podołało pandemii, wywołało wojnę, którą prowadzi i prawdopodobnie

przegrywa kosztem setek tysięcy zabitych i rannych oraz kosztem załamania życia ekonomicznego cywilów. Nie ma już obiecannej sprawiedliwości, pozostaje jednak w Rosjanach potrzeba poczucia sprawstwa przez zaklinanie rzeczywistości.

## W umyśle wroga

W rezultacie nie tylko obywatele, ale i rosyjska władza zwraca się ku siłom nadprzyrodzonym. W listopadzie 2022 r. portal Insider, tworzony przez rosyjskich emigrantów, doniósł, że w Moskwie odbyły się ćwiczenia Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB) z walki informacyjnej. Ujawniony meldunek z ćwiczeń zawierał instrukcje, jak uniknąć „moralnej i psychologicznej dezintegracji personelu”, który w czasie wojny narażony będzie m.in. na działanie „generatorów energii psi” oraz „czarnej materii”. Amerykańska CIA zastosuje je wobec Rosjan, by złamać ich psychikę.

Słychać tu również echa tajemniczej „broni elektromagnetycznej”, która miała nękać amerykańskich dyplomatów na całym świecie w postaci tzw. syndromu hawańskiego. Dyplomaci ci uskarżali się na silne bóle głowy i uderzenia gorąca pojawiające się znikąd i nękające pracowników ambasad na całym świecie. Amerykanie podejrzewali, że nękają ich Rosjanie lub Chińczycy. Tymczasem rosyjski wywiad uznał, że to właśnie amerykańscy szpiegowie posiadli już zdolności oddziaływania psychicznego na odległość.

Wiara rosyjskich szpiegów w magiczne zdolności ich arcywroga znajduje wyraz nie tylko na ćwiczeniach. Jeden z byłych szefów wywiadu wojskowego, gen. Boris Ratnikow, twierdził kiedyś, że wiedzę wywiadowczą czerpał wprost z... umysłu Madeleine Albright, ówczesnej amerykańskiej sekretarż stanu. Jego podwładni mieli „implementować przekąźnik myśli w jej mózgu”, gdzie FSB odkryła „głębokie pokłady nienawiści do Rosji”. Rosjanie zagłębiali się więc w odmęty umysłu Albright, tocząc tam „bitwy astralne”.

Brzmi to jak rojenia szaleńca, ale Nikołaj Patruszew, obecny szef FSB, były podwładny gen. Ratnikowa i jedna z najważniejszych osób na Kremlu, w maju br. w wywiadzie dla agencji TASS twierdził, że pod parkiem Yellowstone „budzi się właśnie megawulkan”, którego erupcja zmiecie wszystkie formy życia z kontynentu północnoamerykańskiego. I według Patruszewa wiedza o nadchodzącym kataklizmie skłania właśnie Białą Dom do snucia planów zasiedlenia Syberii i Europy Wschodniej, czyli również Ukrainy. Stąd tamtejsza wojna, wywołana oczywiście przez Waszyngton.

W słowach Patruszewa pobrzmiwa ten sam mechanizm, który każe zwykłym Rosjanom pytać wróżów tarota o los mężów i synów na wojnie w Donbasie – szef FSB najwyraźniej nie może zaakceptować faktu, że rzekomo słabej Ukrainie udało się obronić przed rosyjską inwazją. Musi w tym być znak działania większych sił, wręcz apokaliptycznych.

## Zbawienie po przełomie

Rosyjska państwowość od XVI w. oparta była na poczuciu religijnej misji. U zarania caratu pojawił się koncept Rosji jako trzeciego Rzymu, spadkobierczyni pierwszych apostołów, a później Bizancjum. Mit rosyjskiego wybraństwa legł u podstaw „ruskiego miru”, czyli wyobrażenia ładu cywilizacyjnego, którego Rosja jest ośrodkiem i do którego włączane są sukcesywnie terytoria zamieszkiwane przez ludzi mówiących podobnym językiem i wyznających podobną religię. Czyli Ukraina właśnie, o której Putin, religijny neofita, pisał w słynnym eseju historycznym z 2021 r., że nie istnieje jako państwo i jest częścią rosyjskiej cywilizacji. ►

► Esej ten był ideowym przygotowaniem agresji na Ukrainę w lutym 2022 r. Rosja, by istnieć, musi wzrastać. Dlatego wchłonięcie Ukrainy było tyleż politycznym, co zbrojnym planem religijnym. Putin tworzył go namyślnie w pandemicznej izolacji, a usłudzy historycy donosili mu kolejne mapy dowodzące słuszności jego eschatologicznych tez.

Bo przecież „bez Rosji świat nie ma sensu”, według słów Dmitrija Kisieliowa, jednego z najważniejszych propagandystów Kremla. Kisieliow wypowiedział je 28 lutego 2022 r., czyli w dniu, gdy Putin postawił siły nuklearne Rosji w stan podwyższonej gotowości. I zaczęło się straszenie świata przez Kreml nuklearną zagładą w odpowiedzi na wsparcie, jakiego Ukrainie udzielił Zachód.

Broń atomowa ma tu kluczowe znaczenie. W każdej apokaliptycznej religii albo kulcie zbawienie następuje po przełomie, godnym zakończenia obecnych, banalnych dziejów i rozpoczęcia ich nowej, wielkiej wersji – prawdziwej Historii. Kiedy przyjrzeć się bliżej blefom nuklearnym Putina i Kremla, można rozpoznać w nich marzenia wszystkich apokaliptyków – od świętego Jana aż do tzw. Państwa Islamskiego – głoszących, że można utworzyć nową jednostkę cywilizacyjną poprzez odcięcie się od świata.

Odcięcie się od europejskiej „cywilizacji śmierci” i jej zgnilizny moralnej jest warunkiem koniecznym powstania nowej Rosji. Putin wielokrotnie w ostatnim roku podkreślał, jak bardzo

z ust”, a u jego boku pozostaną tylko dobrzy Rosjanie. Im bardziej wojna w Ukrainie staje się brutalna, a izolacja Rosji dotkliwa, tym mocniej los Rosjan związany jest z losem Putina.

## Wędrownik szamana

Ciężko uwierzyć we wszystkie te kąpiele Putina w miksturach z poroży jeleni albo spożywanie krwi czarnych psów. Oczywiście nie ma na to żadnych dowodów. Nie jest jednak ważne, co Putin robi, by zachować wieczną młodość i pokonać Ukrainę. Ważne jest, dlaczego Rosjanie w to wierzą.

Jedną z ciekawszych teorii wyjaśniających popularność ruchów mistycznych i apokaliptycznych stworzył brytyjski historyk Norman Cohn. W wydanej w 1957 r. książce „W pogoni za Milenium” dowodził, że w czasach wielkiej grozy – pandemii, wojny, szoku społecznego, zmian klimatu, czyli w czasie zerwania z dotychczasową rzeczywistością – rozpadają się tradycyjne struktury społeczne. Ludzie tracą oparcie w państwie, w swoich rolach publicznych oraz prywatnych. Zagrożenie powoduje, że muszą uciekać, a na nowym miejscu – od nowa ustalać swoją pozycję społeczną i na nowo konstruować społeczeństwo.

Pojawiają się wówczas prorocy-organizatorzy życia społecznego, na nowo budujący systemy, w których ludzie mogą jako tako funkcjonować. To w gruncie rzeczy zjawiska pozytywne, popychające świat do przodu po przebytych nieszczęściach. Często jednak to tworzenie nowej rzeczywistości opiera się na prognozowaniu cudów, zwiastowaniu nowego Jeruzalem, trzeciego Rzymu, nowego Milenium, w którym przez tysiąc lat do powtórnego przyjścia Chrystusa wraz z aniołami rządzić będą sprawiedliwi i posłuszni.

Z rosyjskiego okultyzmu również można wyciągnąć coś pozytywnego. Rosjanie nie mają wpływu na rzeczywistość swojego państwa totalitarnego, więc próbują magicznymi sposobami. Armia nie informuje o śmierci męża na wojnie? Może pójść do wróżbity, który powie mi, gdzie leży jego ciało? Trzeba coś zrobić, kiedy wszystko wokół mnie jest statyczne i nieprzeniknione. Na dłuższą metę nie da się ludzi trzymać w posłuszeństwie, gdy czterej jeźdźcy apokalipsy – pandemia, wojna z Ukrainą, śmierć i kryzys ekonomiczny – zaczynają krążyć nad Rosją.

Ci, którzy wierzą w magię, przynajmniej mają jakiś plan wyrwania się spod tego widma. Działa tu zresztą mechanizm podobny do popularności Anatolija Kaszpirowskiego w latach 80. Kiedy upadał system, ludzie nie znajdowali oparcia w dotychczasowej władzy, szukali więc pomocy u telewizyjnego maga. Kaszpirowski był zwiastunem nowej Rosji, lepszym niż nieudany reformator Michaił Gorbaczow albo wiecznie pijany Boris Jelcyn.

A jeśli Putin jest inny i nie da się go tak po prostu odsunąć od władzy? Czemuż by nie zaufała szamanowi z Jakucji, niejakiemu Saszy Gabyszewowi, który w 2019 r. przewędrował kilka tysięcy kilometrów piechotą. Twierdził, że idzie na Kreml, by pokonać Putina-demonia. Ludzie dawali mu jedzenie i schronienie, robili sobie z nim zdjęcia, popierali go. Zjednywał sobie sympatię. Szedł z Syberii na Moskwę tak długo i uporczywie, aż władze zdały sobie sprawę, że Sasza jest groźny, bo przyciąga sympatię, zagraża powadze samodzielnemu i organizuje nowy system społeczny przeciwko Putinowi.

Ostatecznie Gabyszewa zamknięto w psychiatryku, tak na wszelki wypadek. Ale w rosyjskiej rzeczywistości magicznej nie ma żadnej gwarancji, że wkrótce nie pojawi się następny szaman, który w końcu zburzy ten system.

PIOTR ŁUKASIEWICZ



© ANDREY ZATIKHO/EAST NEWS

**Szaman z Jakucji Sasza Gabyszew w 2019 r. wędrował z Syberii do Moskwy... by pokonać Putina-demonia. Ostatecznie zamknięto go w psychiatryku.**

jego kraj jest samodzielny ekonomicznie, odrębny i poszukujący nowego globalnego porządku, opartego na „świecie wielobiegunowym i sprawiedliwym”, równoważącym pozycję Ameryki. W jego słowach dźwięczą zresztą podobieństwa z „New World Order”, popularną na Zachodzie teorią spiskową, według której tajne spiski i porozumienia żydowsko-masońsko-iluminackie chcą obalić stary świat i zbudować nowy, na swoją modłę.

Putin straszy świat bombami atomowymi i jednocześnie przesyła współobywatelom ważny sygnał: „Jesteśmy w tym razem, nie ma odwrotu”. Kilka razy podkreślał, że zdrajcy-odszepieńcy mogą uciec z kraju, „wypływają jak muszki

# Lampedusa to początek

Powrót kryzysu migracyjnego weryfikuje hasła wyborcze, dzięki którym włoska prawica doszła do władzy. Niewiele z nich pozostało, a premier Meloni widzi ratunek w Brukseli.

PIOTR PODEMSKI

**P**rzybycie do małego portu rybackiego jednego dnia (12 września) 112 łodzi z 5 tys. migrantów na pokładzie wszędzie oznaczałoby katastrofę. Tym bardziej na Lampedusie, niewielkiej włoskiej wyspie na Morzu Śródziemnym, gdzie stałe mieszka zaledwie 6 tys. osób. Absolutnie niewystarczające okazało się, od dawna już zresztą przepełnione, lokalne centrum imigracyjne, dysponujące wszystkim ok. 400 miejscami.

Sytuacja wymknęła się spod kontroli, gdy zniecierpliwieni migranci – głównie młodzi czarnoskórzy mężczyźni z Afryki Subsaharyjskiej – zaczęli wymykać się z ogrodzonego terenu w poszukiwaniu jedzenia. Obecne na wyspie międzynarodowe media odnotowały też pochowanie w śnieżnobiałej trumience ciała noworodka, który urodził się podczas

morskiej przeprawy, oraz przybycie pozabawionego opieki trzylatka (od początku roku podobnych przypadków było ponad 10 tys.), którym bez namysłu zajęły się włoskie rodziny. Lokalny portal informacyjny napisał, że „na Lampedusie, w uśmiechu dzieci, widać wielkie serce Włochów pomimo obojętności Europy”.

Te ludzkie odruchy nie przekreślają jednak faktu, że mieszkańcy wyspy są znużeni i sfrustrowani trwającym co najmniej od 2015 r. kryzysem. Już nawet lewicujący zespół rockowy Modena City Ramblers w piosence „Fuocoammare” (Ogień na morzu) śpiewa: „Nie mogę już znieść tego znużenia w sercu/ Nie ma już właściwych modlitw ani odpowiednich świętych/ Nie ma dobra i zła, odkupienia i grzechu/ Czuję w gardle strach, który skradł mi życie/ Maryjo, opiekunko żeglarzy, ratuj mniej z tej otchłani!”.

Współcześni mieszkańcy Lampedusy to albo potomkowie rybaków, albo hipsterscy uciekinierzy z wielkich miast, którzy w poszukiwaniu ciszy i piękna przyrody

wyprowadzili się do tego najodleglejszego zakątka Włoch, położonego bliżej Tunezji niż Sycylii. Niestety od lat spokój jest tam towarem mocno deficytowym.

## Poskromienie złoŹnicy

Powrót do normalności konsekwentnie obiecywali Włochom, nie tylko tym z Lampedusy, pravicowi politycy. Właśnie na obietnicach powstrzymania masowej imigracji (do dziś określa ją jako „inwazję” i „akt wojny”) zbudował swą karierę polityczną lider Ligi Matteo Salvini, zwany przez zwolenników *il capitano*. W latach 2018–19 spełniał się jako minister spraw wewnętrznych, regularnie odmawiając migrantom prawa zejścia na włoski ląd, z czego zresztą do dzisiaj rozliczają go sądy. Podobnie zdecydowane hasła, w tym słynnego już *blocco navale* (blokady morskiej), głosiła w ostatniej kampanii wyborczej obecna premier Giorgia Meloni.

Gdyby sytuacja nie była tak poważna, można by uznać, że rzeczywistość ►



► pierwszego roku jej rządów kompletnie ośmieszyła tamtą kampanijną retorykę. Według oficjalnych danych od początku roku do włoskich brzegów przybiło 130 tys. migrantów, czyli niemal dwukrotnie więcej niż w analogicznym okresie roku ubiegłego – wówczas pod rządami rzekomo bezmyślnie prowadzących ojczyznę ku ruinie „lewaków”.

Objąwszy władzę, Meloni, niegdyś radykalna eurosceptyczna, zaskoczyła również tym, że nie próbowała – jak robi to choćby polski rząd – wykorzystywać problemu masowej imigracji do podgrzewania nastrojów antybrukselskich we Włoszech. Wręcz przeciwnie, uznała, że tylko przy pomocy Brukseli – instytucjonalnej i finansowej – jest w stanie zapanować nad problemem imigracji u siebie w kraju.

Z jednej więc strony Meloni powtarza, że Włochy nie godzą się na odgrywanie roli „europejskiego obozu dla uchodźców”. Z drugiej jednak poszukuje konstruktywnej współpracy z Ursulą von der Leyen. Fotel premierowski w Palazzo Chigi znacząco odmienił zatem dawną wiecową trybunę, która najwyraźniej rozumiała, że więcej może dla Włoch uzyskać w dialogu z Unią niż w ostrym sporze.

Kilka dni po apogeum z 12 września na Lampedusie pojawiła się Meloni. I to nie w towarzystwie prawicowych sojuszników z Polski czy Hiszpanii, ale właśnie Ursuli von der Leyen, szefowej Komisji Europejskiej, której publicznie dziękowała za natychmiastowe przyjęcie zaproszenia i zrozumienie dla trudnej sytuacji Włoch.

W skrajnie napiętej atmosferze, wśród rozgoryczonych migrantów i mieszkańców wyspy, obie panie spędziły tylko krótką chwilę w porcie oraz w centrum migracyjnym. Później jednak kolumna ich samochodów została zatrzymana na wąskich uliczkach Lampedusy, co wymusiło niejako bezpośrednią konfrontację z przedstawicielami miejscowej społeczności.

Stojąc w tłumie, ramię w ramię z szefową Komisji, włoska premier dała kolejny dowód cywilnej odwagi i opanowania, cierpliwie wysłuchując w obecności telewizyjnych kamer litanii zrozumiałych pretensji wyspiarzy (słychać było też jednak krzyki zwolenników: Giorgia! Giorgia!). „Ręczę za to głową!” – powiedziała na koniec Meloni, obiecując rozwiązanie problemu Lampedusy.

Na zorganizowanej chwilę później konferencji prasowej Meloni określiła przyjazd von der Leyen nie tyle jako



uchodźców po Europie, ale powstrzymanie migracji u źródła, czyli w Afryce.

## Ostatni Włoch

Już z tej perspektywy widać, jak absurdalne jest pewne referendalne pytanie z innej części Europy o „przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzuconym przez biurokrację europejską”. Kreślone w ten sposób linie podziału są bowiem z gruntu fałszywe. To nie Bruksela, a Lampedusa pogrążona jest w kryzysie z powodu przybywających codziennie wielu setek migrantów. To nie Bruksela, a Rzym, w osobie prawicowej



Szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen i włoska premier Giorgia Meloni podczas wizyty w ośrodku recepcyjnym dla imigrantów na Lampedusie.

gest solidarności wobec Włoch, co raczej odpowiedzialności Europy wobec siebie samej, „bo przecież są to granice włoskie, ale i europejskie”. Dalej nastąpił otwarty przytyk wobec „tych, którzy sądzą, że problem migracji można zamknąć w granicach samych tylko Włoch”, i „z przyczyn ideologicznych” przeciwstawiają się przyjętym przez Unię wspólnym rozwiązaniom.

Meloni nazwała migrację globalnym wyzwaniem naszej epoki, od którego zależy przyszłość Europy, ponieważ – o ile nie podejmiemy solidarnych działań – najpierw doprowadzi, owszem, do ruiny Włochy i inne państwa graniczne Unii, ale zaraz potem także wszystkie pozostałe. W zgodzie ze sobą z przeszłości zaznaczyła jednak, że docelowym rozwiązaniem problemu nie może być wyłącznie relokacja

premier Meloni, prosi o pomoc i solidarność Europę, w tym Polskę, czemu Komisja stara się uczynić zadość.

Niejeden włoski wyborca zadaje sobie pytanie, z jakich względów miałyby w obliczu zagrożenia rosyjskiego wbrew własnym interesom handlowym oraz tradycyjnym prorosyjskim sympatiom okazywać wsparcie i solidarność Ukraińcom czy Polakom, skoro ci ostatni – krótkowzrocznie zresztą – odmawiają mu tego samego w sprawie przerażającego Włochy kryzysu migracyjnego.

Podczas wspomnianej konferencji na Lampedusie von der Leyen dwukrotnie powtórzyła, że migracja to problem europejski i dlatego wymaga europejskiej odpowiedzi. Zaproponowała też 10-punktowy plan przewidujący m.in.

zwiększanie wsparcia dla Włoch ze strony unijnego Frontexu, ale i ONZ, przejęcie części migrantów przez inne państwa na zasadzie dobrowolnej solidarności, a także walkę z przemytnikami ludzi na Morzu Śródziemnym i wzmocnienie nadzoru morskiej granicy Włoch z wody i z powietrza.

Najmocniej szefowa Komisji podkreślała jednak konieczność sprawnego rozpatrywania wniosków azylowych, odrzucanie bezzasadnych i skuteczne odsyłanie ich autorów do krajów pochodzenia. „To my będziemy decydowali, kto i w jakich okolicznościach przybywa do Unii Europejskiej, a nie przemytnicy ludzi” – zadeklarowała.

się w trwałej demograficznej zapaści, a same Włochy są najstarszym europejskim społeczeństwem (kilka miesięcy temu sporo zamieszania wywołała prowokacyjna akcja społeczna w formie filmiku, który wieszczyl, że już w 2050 r. urodzi się ostatni Włoch).

Tymczasem Afryka przeżywa demograficzną eksplozję – jej populacja do 2050 r. może się niemal podwoić, przekraczając 2,5 mld, przy średniej wieku ok. 28 lat. Młodzi ludzie z Afryki, która – również ze względu na katastrofę klimatyczną – nie będzie w stanie ich wyżywić, w sposób naturalny będą szukali miejsca do życia w wyludniającej się i starzejącej Europie. Ta zaś zresztą będzie ich

takich mas ludzkich. W sycylijskim Porto Empedocle doszło do masowej ucieczki setek migrantów, co z kolei wywołało panikę i wręcz zamieszki wśród mieszkańców sennego na co dzień miasteczka.

Premier Meloni zapowiedziała zatem otwarcie nowych centrów migracyjnych w całym kraju. Spotkała się jednak z reakcją, którą prasa jednogłośnie okrzyknęła „buntem gubernatorów”. Pochodzący z wyboru, a nie z rządowego mianowania, rządcy włoskich regionów, tym samym liczący się z nastrojami lokalnej opinii publicznej, nie życzą sobie na swoim terytorium problemów takich jak na Lampedusie czy Sycylii. Zwłaszcza że już teraz bywa, iż stają przed sądami, które – kierując się europejskimi standardami – rozliczają ich z braku zapewnienia migrantom godziwych warunków pobytu w podległych im placówkach (wbrew mitom to nie są komfortowe hotele).

Nastroje antyimigranckie pozostają we Włoszech na tyle silne, że za ich sprawą próbuje powrócić do łask wyborców Matteo Salvini. Nieprzypadkowo w dniu wspólnej konferencji prasowej Meloni i von der Leyen lider Ligi spotkał się z Marine Le Pen, grząc, że to, co dzieje się na Lampedusie, to śmierć Europy. Zgrało się to w czasie z reakcją na migracyjny kryzys Francji i Niemiec, które zapowiedziały wzmocnienie kontroli własnych granic na szlakach z Włoch. Trudno się dziwić, że z włoskiego punktu widzenia wygląda to naprawdę na próbę uczynienia z Italii „Lampedusy Europy”.

Poza aspektem czysto politycznym czy społeczno-ekonomicznym trudno nie dostrzec w wydarzeniach na Lampedusie również wymiaru etycznego. Wokół wyspy nie da się postawić muru czy płotu, a traktowany na serio postulat „blokady morskiej” oznaczałby w praktyce albo pozostawienie spalonych słońcem ludzi na morzu na pewną śmierć, albo też taranowanie ich przez okręty wojenne lub wręcz otwarcie ognia.

Gdyby do tego doszło, byłaby to prawdziwa klęska Europy, wyrzeczenie się przez nią własnych, wywodzonych zarówno z chrześcijaństwa, jak i z oświecenia wartości. Tymczasem bodaj nawet strzelanie z ostrej amunicji w dłuższej perspektywie nie powstrzymałoby skutecznie masowej migracji z Afryki do Europy. Ta wydaje się nieunikniona.

Nawet we Włoszech coraz częściej słychać więc głosy o jałowości sporu pomiędzy zwolennikami blokady morskiej i przyjmowania imigrantów. Lampedusa to naprawdę dopiero początek.

PIOTR PODEMSKI

Tylko w ciągu kilku dni września na Lampedusę przybyło ponad 10 tys. migrantów, teraz czekają na przewiezienie do innych ośrodków na terenie Włoch.

Von der Leyen na Lampedusie pokazała Włochom solidarną twarz Unii Europejskiej, ale problem jest oczywiście bardziej skomplikowany. Bo z czego właściwie bierze się aktualna masowa migracja? W krótkiej perspektywie wielu ekspertów widzi jej przyczynę w swoistej strategii negocjacyjnej władz Tunezji, które – podobnie jak niegdyś Turcy – usiłują unaocznic Europie, co może się stać, jeśli ta odmówi bezwarunkowej wypłaty Tunisiowi setek milionów euro jako zapłaty za powstrzymanie łodzi z tysiącami migrantów przed opuszczeniem afrykańskich wybrzeży.

O wiele ważniejsze, mimo wszystko, są jednak czynniki długoterminowe. Aż do lat 90. ludność Europy przewyższała liczebnie populację Afryki. Dziś jednak Stary Kontynent znajduje

potrzebowała, by jakkolwiek załatać deficyt własnych młodych pokoleń.

A zatem w pewnej mierze jest to próba powstrzymania tego, co nieuniknione. I nie obejdzie się przy tym bez dotkliwych kosztów społecznych, ponieważ przybycie milionów młodych Afrykańczyków, często niepiśmiennych i ubogich, z doświadczeniem rozmaitych traum i fizycznej przemocy, nieodwołalnie odmieni kulturowe oblicze Europy.

### Pierwszy przystanek

Dramatyczne sceny z Lampedusy to z dużym prawdopodobieństwem dopiero początek. Włoskie władze od lat standardowo relokują stamtąd tysiące przybyłych na pobliską Sycylię. Tym razem okazało się jednak, że i tamtejsze struktury nie są gotowe na przyjęcie





# Kraina rozczarowania

Sobotnie wybory mogą sprawić, że po pięciu latach moralnej rewolucji Słowacja wróci do ciemnej przeszłości symbolizowanej przez **Roberta Fico**.

DARIUSZ KAŁAN **Z BRATYSŁAWY**

**J**ak wielu rówieśników Dávid Straka, 25-latek z miasteczka Nová Dubnica, absolwent prestiżowego liceum międzynarodowego w Bratysławie, który od pięciu lat studiuje matematykę i statystykę w Amsterdamie, nie zamierza wracać do Słowacji. To właśnie on sześć lat temu z kilkoma znajomymi wyprowadził na ulice tysiące Słowaków w protestach przeciwko skorumpowanej elicie politycznej. Marzyli o nowoczesnym państwie, z którego nie trzeba wyjeżdżać, państwie silnym wobec silnych i przyjaznym słabym.

Te marzenia się nie spełniły. Teraz rozczarowanie Straki pogłębia zapowiedź powrotu do władzy polityka, przeciwko któremu wówczas demonstrowali. I który dla niego jest uosobieniem głównych przywar słowackiej polityki: klientelizmu, związków z oligarchią finansową, osłabienia instytucji państwa i radykalizacji języka. Faworytem sobotnich wyborów parlamentarnych jest bowiem Robert Fico, były długoletni premier i lider socjalkonserwatywnej partii Smer-SD.

– *Atmosfera w Słowacji jest toksyczna, ludzie są podzieleni, nietolerancyjni i przepętnieni agresją* – mówi Straka.

Przełom lat 2017–18 przyniósł niespotykane w Słowacji ożywienie obywatelskie. W kraju apatycznym, w którym od czasu aksamitnej rewolucji nie było większych wybuchów społecznych, ulice co kilka miesięcy zapełniały się tysiącami rozczarowanych obywateli. Najpierw w marszach przeciwko korupcji, a potem ku pamięci dziennikarza śledczego Jána Kuciaka, zamordowanego wraz z narzeczoną Martiną Kušnírovą w związku ze swoimi śledztwami.

– *Dziś widzę, że w naszych działaniach było wiele młodzieńczej arogancji* – wspomina Straka. – *Ale w tamtym czasie afery wybuchały niemal co tydzień, nikt nie ponosił za nie odpowiedzialności, a ludzie tylko wdychali, że nic się nie da zrobić.*

Wielu demonstrantów było przekonanych, że mord na Kuciaku to potwierdzenie diagnozy, że Słowacja pod okiem Fico i jego ekipy stała się państwem sterowanym z tylnego siedzenia przez szmeranych biznesmenów powiązanych z mafią i chronionych przez wysokich urzędników państwowych.

To wtedy imperium polityczne Fico, premiera w latach 2006–10 i 2012–18, zaczęło się trząść w posadach. Pod presją opinii publicznej – i być może partnerów zagranicznych – podał się do dymisji, przekazując stanowisko bliskiemu współpracownikowi,

który następnie wyprowadził część posłów i założył swoją partię. Później było już tylko gorzej: kandydat Fico przegrał wybory prezydenckie, a sam Fico – europejskie i parlamentarne. Jego ugrupowanie szorowało po sondażowym dnie, notując poparcie na poziomie 8 proc.

## W atmosferze wielkiego oczyszczenia Słowacy wybrali sobie nowe elity.

Prezydentką została nieznana liberalna prawniczka bez doświadczenia politycznego Zuzana Čaputová, a premierem cztery-partyjnego rządu – trybun antykorupcyjny Igor Matovič. Do polityki weszło pokolenie profesjonalistów z kancelarii prawniczych, think tanków i organizacji pozarządowych, którzy obiecywali modernizację kraju i wyplenienie patologicznych układów. Wtedy, czyli w marcu 2020 r., wydawało się, że społeczny gniew nie wypali się w ulicznych pochodach, a Słowacja jest na drodze do spełnienia marzeń Dávida Straki.

Dziś koalicja rządowa – złożona z partii OĽaNO (Zwyczajni Ludzie i Niezależne Osobistości), Sme Rodina (Jesteśmy Rodziną), SaS (Wolność i Solidarność) i Za Ľudí (Dla Ludzi) – jest już tak skonfliktowana, że oddała władzę walkowerem, rozpisując przedterminowe wybory, a rządy powierzyła gabinetowi technokratów, na czele z bezbarwnym ekonomistą, Ľudovitem Ódorem. Čaputová, choć jest liderką w rankingach zaufania, zapowiedziała, że nie będzie się ubiegać o drugą kadencję. Partia byłego premiera Matovičia (OĽaNO), która od początku była de facto bardziej ruchem protestu, bez silnych struktur i jednorodnego programu,

tym razem musi walczyć o przekroczenie progu wyborczego. A w badaniach opinii prowadzi 59-letni Robert Fico.

Nie ma jednej przyczyny, dla której władza zrodzona z prawdziwego buntu społecznego tak szybko roztrwoniła poparcie. Na pewno nie miała szczęścia do lidera. Radykalny i nieprzewidywalny Matovič, krytyczny nie tylko wobec „mafijnego” Fico, ale i liberalnych elit, z równą sprawnością przemawiał na wiecach w trampkach i T-shircie, co korzystał z mediów społecznościowych. Jednak właśnie te cechy, które doprowadziły go na szczyt, okazały się zabójcze przy pełnieniu urzędu.

– *Jego walka z korupcją była autentyczna. Ale zupełnie nie potrafił kierować krajem. Drażliwy, podejrziwy, łatwo rzucający oskarżenia... Jego zachowanie zaczęło niszczyć koalicję* – mówi Mária Kolíková, ministerka sprawiedliwości w jego rządzie. Ján Krošlák, były poseł partii Matovicia, jest bardziej dosadny: – *Zawsze był niewychowanym rebeliantem i manipulatorem. To jakoś działało w opozycji. Kiedy wygrał wybory, miałem nadzieję, że obudzi się w nim mąż stanu. Zawiodłem się.*

Ale też Matovič trafił na trudny czas. Sześć dni po jego zwycięstwie w Słowacji wykryto pierwszego pacjenta z covidem. Tym samym rząd, który miał walczyć o sprawiedliwość i transparentność, musiał skupić całą uwagę na pandemii. W zasadzie żaden lider w Europie nie zdał tego egzaminu. Ale nawet najgorliwsi zwolennicy Matovicia przecierali oczy ze zdumienia, kiedy zlecał przetestowanie wszystkich obywateli (5,5 mln) szybkimi testami antygenowymi, wynegocjował w sekrecie sprowadzenie rosyjskiej szczepionki Sputnik V, a na swoim Facebooku zaczął atakować własnych ministrów.

Dziś łatwo obwiniać toksycznego Matovicia. Tyle że koalicja nie przetrwała nawet po jego odejściu ze stanowiska. Problem

więc być może tkwi głębiej: słowacka centroprawica nie jest w stanie wyłonić sprawnego i zgranego rządu. Zawsze było tam bowiem więcej generałów niż szeregowców, kierowanych niejasną mapą osobistych ambicji i animozji, a każdy musiał mieć swoją prywatną, choćby kanapową armię. Teraz i tak wytrwali dłużej niż poprzednia próba zjednoczenia sił (2010–12).

**Pamięć o społecznym wyzwaniu, rzuconym skorumpowanym elitom po zabójstwie dziennikarza śledczego, powoli wygasa.** Odchodzący dziś liderzy doszli do władzy na hasłach „Pokonajmy razem mafię” i „Przeciwstawmy się złu”. Teraz, w latach wojny w Ukrainie i wzrostu cen, na wyobraźnię wyborców najbardziej zdaje się działać alternatywa: chaos albo stabilność. A nikt tak dobrze nie symbolizuje stabilności jak Robert Fico, najdłużej urzędujący premier w historii niepodległej Słowacji.

Siedziba jego partii Smer-SD to ponura szklana bryła między blokami mieszkalnymi w bratysławskiej dzielnicy-sypialni Ružinov. Przyjmuje nas opalony, elegancki Ladislav Kamenický, wiceprzewodniczący Smer-SD i były minister finansów. – *Nie twierdę, że w przeszłości nie popełniliśmy błędów* – mówi. – *Ale po rozłamie złapał się nowy oddech. Mamy pięciu nowych wiceprzewodniczących, żaden nie ciągnie za sobą skandali. Smer-SD to partia, którą ludzie znają od dawna i kojarzą z kompetencją i spokojem.*

Fico i jego ekipie udało się odzyskać część wyborców, bo zamiast szukać nowego elektoratu, odbudowali poparcie wśród tradycyjnej bazy: starszych osób z małych ośrodków. Oni widzą w nim nie głowę klientelistycznego i na poły mafijnego układu, ale twórcę szczodrej polityki socjalnej oraz charyzmatycznego silnookiego. Dla nich to on jest gwarantem

spokoju na górze oraz obrony tradycyjnych wartości i interesów Słowacji przed amerykańskimi agentami (na czele z liberalną prezydentką). Udało mu się uniknąć powiązania z mordem Kuciaka i Kušnírovej. Do uchylecia immunitetu Fico i jego ministra spraw wewnętrznych zabrakło dwóch głosów w parlamencie, a biznesmen uważany za zleceniodawcę (jego były sąsiad) został uniewinniony przez sąd.

To, że w ramach oczyszczenia wymiaru sprawiedliwości oskarżenia usłyszeli choćby powiązani z nim szefowie policji, urzędu skarbowego i banku centralnego, a także wielu sędziów, prokuratorów i policjantów, na wielu wyborcach Fico nie robi wrażenia.

**Po zabójstwie dziennikarza do protestu grupy nastolatków przyłączyli się studenci, działacze i politycy.**

Spontaniczna inicjatywa zaczęła się profesjonalizować, ale nie wykształciła wspólnej platformy politycznej. Niektórzy, jak Straka, zupełnie zniknęli z życia publicznego. Inni ograniczyli się do komentowania albo do polityki lokalnej, niewielu do dziś działa na scenie krajowej.

– *To była nasza decyzja, żeby nie iść razem do polityki. Ludzie wyszli na ulicę nie dlatego, że popierali tę czy inną opcję polityczną, ale dlatego, że chcieli uczciwego państwa* – mówi 33-letni Juraj Šeliga, aktywista, a później wiceprzewodniczący parlamentu. Jeden z tych, dla których organizacja protestów okazała się trampoliną do kariery politycznej. – *Dzięki temu duch tych protestów nadal żyje.*

Dla niego i innych przeciwników Fico pociechą jest to, że były premier ma małe szanse na samodzielne rządzenie i transformację kraju w stylu Orbána. Ostatnie sondaże dają mu ok. 19 proc. głosów, do stworzenia stabilnego rządu będzie więc potrzebował poparcia albo dawnych uciekinierów z własnej partii, albo skrajnej prawicy.

Druga w sondażach jest Progresywna Słowacja (16,5 proc.), faworytka bratysławskiej kawiarni, czyli dobrze wykształconej młodzieży, artystów i klasy średniej. Jeśli duch protestów rzeczywiście nadal żyje, wielu widzi go właśnie w tym liberalnym ugrupowaniu, które nie jest skażone udziałem w chaotycznych rządach Matovicia.

Według Dávida Deja, 27-letniego kandydata Partii Progresywnej na posła i uczestnika protestów, wyjście na ulice jest odruchową odpowiedzią na konkretne wydarzenia, ale nie powinno być narzędziem prowadzenia polityki. – *Obecnie odpowiednikiem protestów jest karta wyborcza. To ona zdecyduje, czy Słowacja pójdzie naprzód, czy wróci do ciemnej przeszłości* – mówi Dej. ■

„Wygra mafia albo ludzie – Ty decydujesz”

– plakat wyborczy liderów centroprawicy: Viery Leščákovéj i Igora Matovicia.





© ARPAD KURICZ/ANADOLU AGENCY/FEAST NEWS

Na dzisiejszych Węgrzech referenda, i to najlepiej w dniu wyborów, mają za zadanie zmobilizować rozleniwiony sukcesami elektorat Fideszu.

# Dopalacze Orbána

SZABOLCS VÖRÖS Z BUDAPESZTU, JĘDRZEJ WINIECKI

**C**zy popiera Pan/Pani nauczanie o orientacji seksualnej nieletnich w publicznych placówkach bez zgody rodziców? Czy popiera Pan/Pani promowanie terapii zmiany płci u nieletnich? Czy popiera Pan/Pani nieograniczone pokazywanie nieletnim treści medialnych o charakterze seksualnym, które mogą mieć wpływ na ich rozwój? Czy popiera Pan/Pani pokazywanie nieletnim treści medialnych dotyczących zmiany płci?

Na tak postawione pytania mieli odpowiadać Węgrzy 3 kwietnia zeszłego roku, w referendum zorganizowanym w dniu wyborów parlamentarnych. Połączenie obu głosowań było pomysłem rządzącego Fideszu. Wcześniej prawo nie pozwalało na podobny zbieg terminów, trzeba więc było je zmienić. Dla zachowania pozorów projekt ustawy wniósł poseł formalnie pozostający w opozycji.

Tematyka nie była przypadkowa – posłużyła do wytyczenia linii podziału społeczeństwa. I to tak, by nikt – albo prawie nikt – nie mógł otwarcie wystąpić przeciw rządowi. Bo dla tzw. zwykłych ludzi odpowiedzi na tak tendencyjnie sformułowane pytania były oczywiste. Kto miałby popierać „nieograniczone pokazywanie nieletnim treści medialnych o charakterze seksualnym”, np. w przedszkolach?

Chodziło także o dopalacz – gwarancję, że żelazny elektorat partii władzy pofatyguje się do urn. Bo premierowi Viktorowi Orbánowi zwykła większość już nie wystarczy do utrzymania konstrukcji władzy, którą zbudował. Potrzebne jest pełne zaangażowanie większości. Referendum towarzyszące zeszłorocznym wyborom było właśnie takim dopalaczem.

Orbán nie mógł jednak przewidzieć, że 24 lutego Rosja najedzie Ukrainę i wojenna niepewność odsunie na bok inne

emocje. Z miejsca porzucił więc walkę z seksualizacją dzieci i zaczął się przedstawiać jako obrońca Węgrów w niepewnych czasach. Pozował na przywódcę wojskowego, kraj wytapetowano jego zdjęciami w czarnej softshellowej kurtce z wysokim kołnierzem i dwoma zamkami błyskawicznymi na piersi, w której pokazywał się na granicy albo w otoczeniu wojskowych.

**O**statecznie, również za sprawą wojny w Ukrainie, frekwencja w kwietniowym referendum była wysoka: 69,4 proc. W równoczesnych wyborach wzięło udział 70,2 proc., czyli karty referendalne nie odebrała znikoma liczba głosujących. Śladem bojkotu był brak podpisu potwierdzającego jej pobranie.

Fidesz wybory wygrał, ale w referendum poniósł fiasko. Zresztą na własne życzenie, sam wyśrubował wymogi. Dziś, aby referendum ogólnokrajowe było ważne, frekwencja musi przekroczyć 50 proc. (może je roz�isać parlament na wniosek prezydenta, rządu lub co najmniej 100 tys. obywateli; jeśli będzie ich 200 tys., parlament nie ma już wyboru i musi je roz�isać). Dawniej o ważność referendum było łatwiej – wystarczyło, by 25 proc. uprawnionych

do udziału opowiedziało się za jedną z możliwości. Tak niskie progi ustawili socjaliści, by zapewnić pomyślność referendum z 1997 r. w sprawie wejścia do NATO i do Unii Europejskiej.

W referendum z 2022 r. Fidesz przegrał, bo lekcję odrobiła opozycja. Po jej stronie żadne z ugrupowań nie zachęcało do udzielenia odpowiedzi „tak” na któreś z pytań. Nie wzywano też do bojkotu. Instruowano, by karty brać, głosować i oddawać nieważne głosy. Postąpiła tak ponad jedna piąta uprawnionych, często zaznaczając krzyżykami wszystkie odpowiedzi, dopisując jeszcze swoje uwagi, czasem obsceniczne, i przesadzając – mimo wysokiej ogólnej frekwencji – o nieważności przedsięwzięcia.

**T**a taktyka została udanie przetestowana przy okazji poprzedniego referendum z 2016 r., gdy pytanie było jedno i brzmiało: „Czy chcesz zezwolić na to, aby Unia Europejska mogła nakazywać obowiązkowe przesiedlanie osób niebędących obywatelami węgierskimi na terytorium Węgier bez zgody Zgromadzenia Narodowego?”.

Warto tu przypomnieć, że w kryzysowym 2015 r. przez Węgry wiódł kluczowy szlak. Co prawda rok później migranci byli już w Niemczech i innych krajach Europy Zachodniej, a na granicy stały płoty, ale Komisja Europejska – z którą węgierski rząd miał na pieńku w związku z zamachem na praworządność – proponowała plany relokacji uchodźców. To o nie obywateli spytał Orbán. Oczekiwał, że referendum przyniesie wynik poręczny w potyczkach z Brukselą.

Głosowanie z 2 października 2016 r. nie zapewniło wiążącego rozstrzygnięcia, frekwencja wyniosła ledwie 44 proc. Ale że spośród głosów ważnych 98 proc. padło na odpowiedź „nie”, to Fidesz był zadowolony. Uznał referendum za ważne, może nie formalnie, ale politycznie już tak. Przy czym rzeczywisty cel ćwiczenia był inny. Referendum zorganizowano po to, by na półmetku kadencji rozruszać żelazny elektorat Fideszu. Opozycja była w kłopotcie. Liberałowie podpowiadali sympatykom, by głosować na „tak”. Reszta opozycji skłaniała się ku „nie” lub bojkotowi. Węgierska Partia Psa o Dwóch Ogonach, bardziej happening artystyczny niż ugrupowanie polityczne, wzywała do wrzucania głosów nieważnych. A tych było sporo, apelu posłuchało 6,2 proc. głosujących, pokazując drogę wyjścia z referendalnej pułapki.

W referendum z 2022 r. Partia Psa powtórzyła strategię, do unieważniania kart namawiało także postępowe

Momentum, które w 2017 r. rozpoczęło działalność jako ruch zbierający podpisy pod wnioskiem o referendum przeciwko organizowaniu przez Węgry igrzysk olimpijskich w 2024 r. Wówczas podpisało się pod nim ponad 200 tys. osób – to dużo jak na węgierskie warunki. Orbán był pod takim wrażeniem, że porzucił starania o organizację imprezy.

I jeszcze aspekt finansowy. Referendum z 2022 r. było sposobem na znalezienie dodatkowych pieniędzy na kampanię rządu i ustanowienie nierównych zasad gry. W tej parlamentarnej limit wydatków jest niski, raptem milion forintów na kandy-

**Opozycja radziła  
brać karty i oddawać  
nieważne głosy,  
stawiając krzyżyki  
na TAK i na NIE.**



data w jednym okręgu, to równowartość ok. 12 tys. zł. To ograniczało możliwości opozycji, odciętej od telewizji i skazanej przede wszystkim na promocję w internecie, w serwisach społecznościowych. Tymczasem rząd przed referendum uruchomił dodatkowo kampanię pozornie informacyjną, faktycznie pracującą na rzecz Fideszu. Tu żadnych limitów nie było.

Na Węgrzech epoki Orbána władza nieustannie i w całym kraju bombarduje obywateli przekazem propagandowym z plakatów. I tych mniejszych, wiszących na słupach ogłoszeniowych, i tych wielkich, rozmiarów billboardów, widocznych z daleka. Teraz np. namawia do wstępowania w szeregi armii. Każdy taki plakat w rogu zawiera informację o tym, kto za niego płaci. Zazwyczaj to anonimowe fundacje albo przedsiębiorstwa. Jasne jest jednak, że podmioty te wydają pieniądze otrzymane od rządu.

Niektóre są znane, jak Forum Współpracy Obywatelskiej, będące parasolową instytucją skupiającą organizacje niybo zarządowe. Forum ma poważny budżet, zajmuje się m.in. współpracą z Klubami „Gazety Polskiej”, ściągającymi na manifestacje do Budapesztu. Z kolei właścicielami słupów i tablic ogłoszeniowych są przedsiębiorcy powiązani z Fideszem. Dawniej większość takich miejsc należała do Lajosa Simicski, oligarchy i byłego druha Orbána. Gdy ich drogi się rozeszły, Simicska majątek rozsprzedał.

Opozycji jest o tyle trudno, że węgierski premier konsekwentnie odmawia debaty z konkurentami, nie udziela też wywiadów mediom innym niż rządowe. Ostatni raz wziął udział w debacie telewizyjnej w 2006 r. i ją przegrał, tak jak wybory chwilę później. Wywiad redakcji z innej politycznej bajki dał ostatnio w 2009 r.

Dziennikarze z mediów niekontrolowanych przez Fidesz próbują przydybać premiera przy każdej okazji. W grudniu jednemu z reporterów udało się złapać Orbána po mszy adwentowej. Szedł ze złożonymi rękami, dziennikarz zadawał pytania o dług publiczny i los nauczycieli zwolnionych za uczestnictwo w aktach społecznego nieposłuszeństwa. Poirytowany Orbán odpowiedział jedynie: „Człowieku, właśnie wyszedłem z kościoła!”. Zdanie to po węgiersku brzmi niegrzecznie i protekcyjnie. Pewnie dlatego weszło do słownika politycznego, stając się przy okazji inspiracją do memów i krytycznych dla Orbána internetowych przeróbek.

Powtarzalna logika Orbánowskiego systemu podpowiada, że termin kolejnego referendum wypadnie gdzieś w pierwszej połowie przyszłego roku, na półmetku kadencji. Być może nie będzie to jednak konieczne, bo wyborcę Fideszu rozgrzeją wybory do Parlamentu Europejskiego 9 czerwca, które połączono z lokalnymi, przyspieszonymi o kilka miesięcy.

**T**aka kumulacja będzie testem dla opozycji. W łączonych wyborach musi bowiem przyjąć inną taktykę – w europejskich obowiązuje ordynacja proporcjonalna, głosuje się na listę, wystarczy przekroczyć próg 5 proc., by się liczyć w podziale mandatów. W lokalnych, w okręgach jednomandatowych, kandydaci opozycji – bądź kandydat, w przypadku połączenia sił – będą się mierzyć z faworyzowanym przedstawicielem Fideszu.

Duże partie opozycyjne, czyli Koalicja Demokratyczna i Momentum, liczą, że wybory europejskie okażą się przełomem. Wymuszają integrację opozycji, dziś składającej się z mniej więcej 10 partii, w większości trudnych do odróżnienia i mających poparcie rządu 1–2 proc. W czerwcu pewnie wiele z nich nie przekroczy progu i zejdzie z placu boju, więc rytm opozycji w kampanii przed wyborami parlamentarnymi, planowanymi na 2026 r., nadadzą największe ugrupowania.

Tak odległa perspektywa pokazuje też realne możliwości opozycji, która na razie toczy bratobójczą walkę o wyborców, których Orbán nie potrafi skaptować. A tych jest niewiele, „dopalany” referendum żelazny elektorat mocno się zahartował. ■



Hartwig Fischer, były dyrektor British Museum i Peter Higgs, były kustosz działu Grecji i Rzymu.



# Kanty w muzeach

Największymi instytucjami świata wstrząsają skandale. Podkopują przekonanie o ich uczciwości oraz bezpieczeństwie. I podsycają debatę o dekolonizacji dóbr kultury.

# Z

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

łódzieje namawiani przez chciwego antykwariusza przygotowują misterny plan włamania i kradną zabytki z muzeum – to motyw wielu filmów. Widz może kibicować złoczyńcom, podziwiając ich spryt i sprawność. Albo raczej śledzić, jak bystry policjant depte im po piętach.

Okazuje się, że fikcja nie odbiega od rzeczywistości – z tym że jest mniej finezyjna, za to bardziej niesmaczna. W pierwszym najnowszym scenariuszu czarnym charakterem jest Peter Higgs, kustosz działu Grecji i Rzymu w British Museum, który zabytki sprzedawał na eBayu. Tym „dobrym” jest dr Ittai Gradel, antykwariusz, który wpadł na trop procederu. Drugoplanowa – lecz istotna – postać to Hartwig Fischer, dyrektor BM, przez długi czas zamiatający sprawę kradzieży dwóch tysięcy obiektów pod dywan.

## Odcinek I. British Museum

Gdyby „sultan1966” wystawiał tylko nieskatalogowane obiekty, działałby dalej. Gradel kupował od niego klejnoty. Ponieważ zdarzało się, że antyczne oryginały opisane były jako kopie – i wyceniane poniżej wartości – albo wyrwane z oryginalnych opraw, antykwariusz zakładał, że sprzedawca jest nieobeznany

laikiem, który w jakiś sposób wszedł w posiadanie artefaktów skradzionych z British Museum dawno temu. Stopniowo zaczął jednak podejrzewać, że sprzedawca z eBaya może być pracownikiem tej szacownej instytucji. Pewności nabral w 2020 r., gdy na oficjalnej stronie BM pojawiło się zdjęcie kamei (z katalogu kolekcji antykwariusza Charlesa Townleya), którą cztery lata wcześniej wystawił na sprzedaż „sultan1966”. Ponieważ Gradel przelewał pieniądze za kolejne zakupy na jego konto, udało mu się ustalić, że pod tym nickiem kryje się Higgs.

W 2021 r. Gradel powiadomił o tym władze BM, które wszczęły wewnętrzne dochodzenie, ale pierwotnie nie stwierdziło ono żadnych uchybień. Do brudnej tajemnicy trzecie najczęściej odwiedzane muzeum świata przyznało się dopiero przed paroma tygodniami. 16 sierpnia Peter Higgs został zwolniony, a 9 dni później Hartwig Fischer sam ustąpił ze stanowiska. Na marginesie: nie tylko były dyrektor ponosi winę za ukrywanie kreta. Inni też uparcie tuszowali kradzieże. Na przykład Nigel Boardman, członek komisji rewizyjnej muzeum, który teraz – jako szef jednostki ds. przestępstw gospodarczych – odpowiada za śledztwo w tej sprawie. A to mocno podważa jego bezstronność.

Choć stanowisko dyrektora instytucji otwartej w 1753 r. to marzenie niemal każdego muzealnika, przed tym, który zostanie lada moment wybrany, stoi arcytrudne zadanie. Będzie musiał odbudować reputację instytucji, która boryka się także z innymi problemami: niezadowolonymi z płac pracownikami, protestami



Jean-Luc Martinez (z lewej), były dyrektor Luwru, Emmanuel Macron, prezydent Francji, Mohamad Khalifa al-Mubarak, zastępca dyrektora Luwru Abu Zabi i Mohammed bin Zayed Al-Nahyan, książę Abu Zabi.

różnych środowisk przeciwko gigantowi naftowemu BP, który sponsoruje muzeum oraz koniecznością znalezienia ponad miliarda funtów na remont i inwentaryzację. Bo British Museum nie skatalogowało jeszcze swoich ośmiu milionów obiektów, co przecież umożliwiło Higgsowi oraz jego poprzednikom działalność. W końcu nie wiadomo nawet, ile z 2 tys. zabytkowych eksponatów wyniósł ten złodziej, a ile inni?

Kolejna sprawa: odzyskanie sprzedanych na eBayu artefaktów nie będzie łatwe, bo to proces drogi i pracochłonny – obecni właściciele zawsze mogą powiedzieć, że zabytki nabywali „w dobrej wierze”; artefakty mogły wyjechać za granicę, gdzie roszczenia nie będą respektowane, poza tym wiele z nich będzie trudno wysledzić, bo są to luźne klejnoty wydłubane z opraw.

Zdecydowanie najpoważniejszą konsekwencją tych kradzieży jest jednak upadek jednego z kluczowych argumentów w debacie o restytucji zabytków. Brzmi on, że zagrabione obiekty są bezpieczniejsze w dobrze strzeżonych muzeach byłych potęg kolonialnych niż w miejscach ich pochodzenia. Grecja np. od lat domaga się od BM zwrotu marmurów Elgina, dla których już dekadę temu wybudowała w Atenach muzeum. Ostatnie rozmowy na ten temat przerwano w lutym, być może między innymi z powodu kłopotów związanych z ujawnieniem kreta w muzeum. Teraz, gdy okazał się nim kustosz odpowiedzialny za rzeźby z Partenonu, Grecy chcą wrócić do negocjacji i mają w rękach mocny atut.

Z roszczeniami wystąpił też Pekin, który chce, aby z Londynu wróciło 23 tys. chińskich relikwii. Podobne postulaty pojawiają się z Nigerii, która od lat walczy o znajdujących się w BM tzw. brązów z Beninu, które stanowią symbol roszczeń o zwrot dóbr kultury pochodzenia kolonialnego. XIX-wieczni biali odkrywcy, wywożąc zabytki z krajów ich pochodzenia, twierdzili, że ratują je dla potomności, ale w rzeczywistości to oni czuli się duchowymi spadkobiercami starożytnych zaawansowanych cywilizacji.

Ówczesnych mieszkańców tych terenów uważali za niedouczone barbarzyńców, którzy nie potrafią o nie zadbać. Tyle że „uratowane” dzieła sztuki bywały przez nich niszczone. Również

w British Museum. Przykładem jest fryz z Partenonu, który w 1937 r. bogaty handlarz dziełami sztuki i darczyńca muzeum Joseph Duveen nakazał „wyczyścić” z resztek pigmentów, bo jaskrawe kolory nie pasowały do jego wizji śnieżnobiałego antyku. Pracownicy muzeum wiedzieli, że jest to niszczenie bezcennych zabytków, ale mieli odgórną nakaz milczenia, a marmury Elgina postawili na lata w Galerii im. Duveena.

„Zachód przejął nie tylko artefakty, lecz także władzę nad historią. Teraz nie chodzi więc jedynie o restytucję materialną, ale i o przewyżczenie arogancji wobec krajów pochodzenia” – piszą w demaskacyjnej doskonale udokumentowanej książce „Łowcy skarbów. Jak ojcowie archeologii rozkradli bogactwa Orientu” Dilek Zaptcioglu-Gottschlich i Jürgen Gottschlich (patrz s. 77).

## Odcinek II. Luwr

W scenariuszu francuskim chodzi o nielegalne pozyskiwanie zabytków za znacznie większe pieniądze. Bierze w tym udział międzynarodowa siatka złoczyńców i politycy. I tu występuje skrompowany dyrektor, ale tym razem na trop afery wpada uciążliwy badacz. 23 maja 2022 r. Jean-Luc Martinez, były szef Luwru i kawaler Legii Honorowej, został aresztowany pod zarzutem udziału w kradzieży dzieł sztuki, wspierania przemytników i ukrywania proveniencji dóbr kultury. Wszystko przez to, że w 2016 r. wydał zgodę, by Luwr Abu Zabi zakupił za 8,5 mln euro pięć pochodzących z przemytu starożytnych obiektów, w tym stelę z czasów Tutanchamona.

Powstanie oddziału najczęściej odwiedzanego muzeum świata w Zjednoczonych Emiratach Arabskich to element rozbudowanej współpracy kulturalnej Francji z krajami arabskimi – z petropolityką w tle. W 2007 r. podpisano umowę, na mocy której placówka za 400 mln euro uzyskała prawo do korzystania z nazwy Luwr (na 30 lat). Obecność Emmanuela Macrona na otwarciu galerii egipskiej w Abu Zabi (zgrupowano tam obiekty za 50 mln euro) w 2017 r. nie była więc niczym zaskakującym, tak samo jak odpowiedzialność paryskiego dyrektora za podejmowane w sprawie tego oddziału decyzje. I chociaż jego zeszlóroczne zatrzymanie było szokiem dla opinii publicznej, prezydent Francji musiał wiedzieć o toczącym się śledztwie, bo już rok wcześniej odwołał go ze stanowiska. Szybko jednak znalazł dla niego ciepłą posadkę, mianując go – o ironio – ambasadorem ds. międzynarodowego dziedzictwa kulturowego.

Na trop przypuszczenia, że stela Tutanchamona może pochodzić z przemytu, wpadł prof. Marc Gabolde, egiptolog z Uniwersytetu Paula Valéry w Montpellier. Wszystko przez to, że miała ona historię podobną do złotego sarkofagu kapłana Nedżemancha zakupionego w 2017 r. przez Metropolitan Museum of Arts w Nowym Jorku (MET). Gdy zabytek ten trafił na ekspozycję i plakaty wystawy, na policję zgłosił się oszukany przez współników handlarz. Zeznał, że za przewiezienie do Europy skradzionego podczas arabskiej wiosny sarkofagu i jego sprzedaż odpowiadają dwaj znani antykwariusze – Roben Dib z Hamburga oraz Christophe Kunicki z Paryża. W wyniku śledztwa sarkofag wrócił do Egiptu, a Dib zgłosił się na policję i trafił do więzienia. Kunicki zapadł się pod ziemię.

W 2019 r. Gabolde zwrócił uwagę władzom Luwru, że oba te zabytki – stela i sarkofag – były w latach 30. XX w. w rękach egipskiego handlarza antykami Habiba Tawadrosa, a osobą, która w 2016 r. zaproponowała ją komisji zajmującej się zakupami eksponatów w Luwrze Abu Zabi, był poszukiwany Kunicki. Te kłopotliwe dla rodowodu steli podejrzenia dyrektor Martinez uznał za nieprzekonujące, co stało się jednym z zarzutów, jakie mu postawiono. ▶



Shelby White, milionerka i kolekcjonerka sztuki starożytnej.

► Francuski watek przemytu zabytków lekko przycichł. Afera z sarkofagiem też, ale nowojorski MET znów trafił na języki: za sprawą kolejnego skandalu – tym razem na dużo większą skalę.

### Odcinek III. MET

W tym opartym na faktach głównej rolę gra 84-letnia Shelby White, żona zmarłego milionera Leona Levy'ego, nowojorska kolekcjonerka sztuki starożytnej. Jest wielką filantropką wspierającą MET od ponad 30 lat (galeria sztuki grecko-rzymskiej nosi imiona obojga małżonków) i członkinią rządowej organizacji Cultural Property Advisory Committee zwalczającej nielegalny handel antykami. Jednocześnie stale interesują się nią śledczy.

Zacząło się, gdy w 1993 r. wyszło na jaw, że w jej kolekcji są przedmioty zrabowane ze stanowiska rzymskiego w Anglii. W 2000 r. okazało się, że większość zabytków na wystawie „Glories of the Past: Ancient Art from the Shelby White i Leon Levy Collection” ma sfalszowane metryczki. Ostatnio pracownicy biura Prokuratora Okręgowego na Manhattanie weszli do jej domu dwa razy – w czerwcu 2021 r., a potem w kwietniu ubiegłego roku – i skonfiskowali 72 antyki o wartości 69 mln dol., które niezgodnie z prawem wywieziono z 10 krajów. 17 nielegalnie pozyskanych przez małżeństwo antyków znaleziono też w MET. Dla porządku: zdarzało się, że White oddawała skradzione artefakty prawowitym właścicielom w Anglii, Włoszech, Turcji i Jemenie, jeszcze w tym roku MET opuściły pochodzące z jej kolekcji dwie chińskie rzeźby z VII w. oraz zrabowany w Iraku alabastrowy byk z Uruk.

Prawnicy na pewno wybronią miliarderkę, która utrzymuje, że nabywała przedmioty w „dobrej wierze” na aukcjach publicznych i od renomowanych dealerów, a gdy okazywały się pochodzić z przemytu, dobrowolnie je zwracała. Christos Tsirogiannis, archeolog sądowy i obserwator handlu nielegalnymi antykami z Ionian University w Grecji, który współpracował z amerykańskimi śledczymi, uważa jednak, że to nieprawda. Kolekcjonerka – stwierdza – dobrze wiedziała, co i od kogo kupuje, czego przykładem są nabyte przez nią obiekty niesławnego brytyjskiego antykwariusza Robina Symesa, niegdyś szefa międzynarodowej sieci handlarzy zrabowaną sztuką.

Za Shelby White ujmują się lojalnie wszyscy jej beneficjenci, bo jej fundacja finansowała wykopaliska, wspierała badania sztuki starożytnej oraz rozdawała pieniądze na stypendia i programy na Harvardzie i Uniwersytecie Nowojorskim. – *W USA powiązania uczelni i muzeów ze światem finansjery są regułą, bo ich istnienie i dobrobyt zależy od olbrzymich dotacji prywatnych darczyńców. Ale w zamian muszą działać tak, by ich do siebie nie zrażać* – tłumaczy asyriolog dr Tytus Mikołajczak z Uniwersytetu im. Adama

Mickiewicza w Poznaniu, który doktoryzował się na uniwersytecie w Chicago. – *Dlatego dotację od działającej pomimo afer fundacji White można uzyskać tylko na badania obiektów znajdujących się w kolekcjach. Trzeba jednak przy tym pamiętać, że muzea nie lubią, gdy podważa się proveniencję zabytków z ich zbiorów, więc tak długo, jak tylko mogą, trzymają się fałszywych atrybucji.*

Związki środowisk akademickich i muzealnych ze światem bogatych kolekcjonerów sprawiają, że nielegalny handel antykami nie jest za oceanem tematem chętnie podejmowanym. Nagłaśnianie w mediach śledztwa i zmuszanie kolekcjonerów, by zwrócili skradzione zabytki i dzieła sztuki krajom ich pochodzenia, mają tylko uspokoić sumienia. Nie zawsze też są zwracane ochoczo – marmurowy posąg Heraklesa z kolekcji White wrócił do Turcji dopiero po 11 latach od zdemaskowania jego nielegalnego pochodzenia. A przecież nie jest ona jedyną kolekcjonerką. – *Odnoszę wrażenie, że zamieszanie wokół White to „pokazówka”, a nie systematyczna walka z nielegalnym handlem zabytkami. Może to jakiś rodzaj reakcji na ruchy postkolonialne w krajach Bliskiego Wschodu i Afryki, które coraz głośniejsze domagają się zwrotu zagrabionych starożytności* – twierdzi dr Mikołajczak.

### Odcinek IV. Idea

Życie pisze zwykle scenariusze bez czarnych i białych charakterów, bo w sporze o rolę wielkich muzeów światowych za każdą ze stron stoją jakieś szczytne idee i mocne argumenty, ale jednocześnie wszyscy mają coś za uszami. Idea zwrotu zrabowanych zabytków do krajów ich pochodzenia jest słuszna. Choćby jako zadośćuczynienie i możliwość umieszczenia tych dzieł w ich pierwotnym kontekście. Wspomniane afery potwierdzają jednak, że nawet najbardziej szacowne instytucje albo nie panują nad sytuacją, albo świadomie wchodzą w niejednoznaczne układy. Jednocześnie nie można zapominać, że w wielu krajach walczących o zwrot ich dziedzictwa działają zorganizowane grupy przestępcze zajmujące się grabieniem tego, co znajduje się na miejscu i wywożeniem za granicę. Wojny na Bliskim Wschodzie i arabska wiosna spowodowały, że zabytki z Egiptu, Syrii czy Iraku masowo trafiają na czarny rynek i nie ma większego znaczenia, że muzea nie będą ich kupować. Prywatni kolekcjonerzy nie mają skrupułów.

Wielkie muzea powstały w XIX w. w dobie narodzin nacjonalizmów i miały dowodzić wyższości Zachodu. Dziś są obiektem wielkiej międzynarodowej debaty. – *Żle się stanie, jeśli w miejscu oddanego artefaktu wystawiony zostanie inny wyciągnięty z magazynu, bo to oznacza, że nie doszło do krytycznego namysłu nad historią, kolonializmem, imperializmem oraz zawłaszczaniem dziedzictwa* – mówi dr Monika Stobiecka z Artes Liberales na UW, badaczka politycznych uwikłań dziedzictwa. – *Za restytucją powinna podążać gruntowna praca kuratorska, wyjaśniająca pustkę po oddanym do kraju pochodzenia obiekcie. Zwrot zagrabionych artefaktów w żaden sposób nie zagraża istnieniu muzeów światowych, ale zaostrzenie nacjonalizmów powoduje, że zabytki i restytucje stały się bardzo ważnym narzędziem w rękach rządów; jednocześnie przykład British Museum czy Luwru pokazuje, że i elementem petropolityki.*

Rację ma prof. Krzysztof Pomian, który we wstępie do trzytomowego dzieła „Muzeum: Historia światowa” pisze o dziwności tego typu instytucji, wynikającej z ich równoczesnej bezużyteczności i nieodzowności. „Bezużyteczności, bo nie zaspakaja żadnej życiowej potrzeby i nie wytwarza niczego, bez czego nie moglibyśmy się obyć. Nieodzowności, bo trudno sobie wyobrazić nowoczesne społeczeństwo bez muzeum. Pozbawić je muzeum to wydać na nie wyrok śmierci i wywołać w konsekwencji opór, a nawet rewoltę”.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

# 1 Klucz do wszystkiego

Pół wieku temu na straży państwowych i prywatnych sekretów stanęła nowa metoda kryptograficzna. Jest skuteczna, ale jej przydatność może się skończyć każdego dnia. Czy jesteśmy na to gotowi?

KAROL JAŁOCHOWSKI

**Z**alóżmy, że Francis Crick i James D. Watson jakimś cudem bioinżynierii zasiadają na scenie i opowiadają o tym, jak odkryli strukturę DNA. Relacja z tego wydarzenia trafia na YouTube. Albo przypuścmy, że Thomas Edison i Nikola Tesla ożywnieni magiczną iskrą stają do dyskusji o wyższości prądu zmiennego nad stałym – i zaczyna się obłęd. Licznik odślon po godzinie wskazuje miliony, więcej nawet niż podczas premier produktów Apple’a.

A teraz weźmy tegoroczną RSA Conference, najważniejszą chyba międzynarodową imprezę kryptologiczną. W panelu udział biorą między innymi autorzy odkrycia, które pół wieku temu zmieniło bieg historii. Zrewolucjonizowało sposób, w jaki wymieniamy się informacjami. Zagwarantowało bezpieczeństwo nie tylko tajemnicom państwowym, jak wcześniej używane metody kryptograficzne, ale i naszym małym sekretom. Zapewnili prywatność przesyłu danych, symbolizowaną skrótem SSL czy HTTPS, i ukryli zawartość

portfeli z bitcoinami. Kryptografia klucza publicznego, bo o tym wynalazku mowa, przełączyła cywilizację globalną na wyższy bieg.

Tymczasem trud obejrzenia nagrania rozmowy Whitfielda Diffie’ego i Clifforda Cocks’a z 7 czerwca podjęło niespełna pięćset widzów, wliczając autora.

## Doskonałe = niewykonalne

Wiele jest szyfrów. A wśród nich ten na pierwszy rzut oka doskonały. Opiera się na wykorzystaniu klucza jednorazowego, czyli ciągu znaków, najlepiej wygenerowanych losowo, który „dodaje się” do ciągu tworzącego treść. Nadawca wiadomości używa go do jej zakodowania, odbiorca – odkodowania (szczegóły techniczne nie są istotne dla zrozumienia zasady). Szyfrowanie z kluczem jednorazowym ma ogromną przewagę nad technikami, które kazały zastępować znaki wiadomości innymi znakami zgodnie z jakąś ściśle określoną zasadą. One pękają pod naporem matematyki, analizy częstości

znaków oraz powtarzających się wzorców.

Niestety internet oparty o taką kryptografię by się nie wydarzył. Nadawca i odbiorca musieliby za każdym razem uzgadniać klucz w tajemnicy przed światem – używać specjalnego, bezpiecznego łącza albo skorzystać z usług kuriera. Gdyby taka metoda miała stać się podstawą globalnej gospodarki, oznaczałaby konieczność dystrybucji milionów kluczy i graniczące z pewnością ryzyko ich przechwytywania przez osoby trzecie.

Jako pierwsza realne kroki w celu rozwiązania tego problemu poczyniła armia brytyjska, motywowana głównie względami ekonomicznymi. Government Communications Headquarters (GCHQ) – agencja szpiegowska, której podobna do obwarzanka siedziba pod Cheltenham służy lotnikom za punkt orientacyjny – oddelegowała do tego zadania kryptologa Jamesa Ellisa. Był on genialny w stopniu porównywalnym do Alana Turinga, matematyka, który przyczynił się do złamania szyfrów Enigmy. Był także ►

ILUSTRACJA RYSZARD KAJZER

► podobnie do niego idiosynkratyczny oraz introwertyczny. Nie tolerował też odgranej kontroli. Przełożeni wybrali go jednak nie w dowód szczególnego zaufania czy szacunku, a raczej potwierdzenia niskiego priorytetu, który przypisywano temu wyzwaniu. Uważano powszechnie, że jest niewykonalne.

### Niewykonalne = genialne

Wybór okazał się słuszny. Pochodzący z nieznanego innym kryptologom planety Ellis podszedł do sprawy po swojemu. W 1969 r. przypomniał sobie o pewnym anonimowym projekcie (o nazwie C-43), który Bell Telephone Company prowadziła pod koniec drugiej wojny światowej. Zakładał on przerzucanie obowiązku szyfrowania na odbiorcę wiadomości. Miał on generować szum na linii telefonicznej (bo o taką komunikację chodziło), do którego, na drugim końcu kabla, nadawca dodawał następnie własny komunikat. I tylko odbiorca, znając specyfikę zakłóceń, potrafił później taki sygnał oczyścić.

Ellis ku własnemu zaskoczeniu zauważył, że można tę metodę uogólnić – wiadomość poddać działaniu jakiejś operacji matematycznej, którą łatwo wykonać w jedną stronę, ale trudno w drugą (niezłą analogią jest mieszanie farb o różnych kolorach). Brytyjczyk nie miał jednak pojęcia, jakiej konkretnie operacji szukać, bo nie był matematykiem.

W sposób niezobowiązujący podzielił się jednak swoją refleksją z 22-letnim wówczas Cliffordem Cocksem. Ten ledwo opierzony matematyk, który dopiero co opuścił mury Oksfordu, zabrał się do poszukiwania odpowiedniej jednokierunkowej funkcji matematycznej i sprytnego sposobu jej użycia w zasadzie z braku lepszego zajęcia. Nie wiedział, że nad problemem tym łamała sobie głowy niemała część kadry GCHQ. Dla pozostałej, jeszcze większej, pomysł brzmiał jak herezja.

Ponieważ firma zabraniała wynoszenia z biura jakichkolwiek notatek, Cocks odkrycia dokonał prawie mimochodem. Pewnego wieczoru zmapował sobie – jak to określił – problem w głowie, a rano, po przebudzeniu, spał gotowe rozwiązanie. W głównej roli obsadził funkcję uwzględniającą rozkład dużych liczb na czynniki pierwsze – proces obliczeniowo niebywale wręcz czasochłonny. Shaun Wylie, główny matematyk w Cheltenham, tak ocenił propozycję

Cocksa: „Niestety, nie widzę w niej żadnego błędu”.

Skrystalizowana jesienią 1973 r. metoda Cocksa (uzupełniona przez Malcolma Williamsona, jego kolegę z GCHQ) zakładała użycia kombinacji dwóch kluczy – publicznego i prywatnego, sekretnego. Zrozumienie tej metody, choć nie wymaga doktoratu z matematyki, zmusza do długiego opisu (zgrabny przykład z mieszanym farb można znaleźć w sieci). Dość powiedzieć, że matematyczną relację między kluczem prywatnym a publicznym określa właśnie funkcja jednokierunkowa na dużych liczbach.

Paradoksalnie ideowa prostota propozycji Cocksa wzbudziła nieufność GCHQ. Tamtejsi eksperci obawiali się, że choć wtedy – w latach 70. – nikt nie znał sposobu na szybki i łatwy rozkład dużych liczb na mniejsze, to problem ten mógł kiedyś okazać się matematycznie trywialny.



**Komputery kwantowe**  
– gdyby powstały  
– odsłoniłyby wszystko  
to, co szyfrowaliśmy  
z kluczem publicznym  
od 50 lat.



A gdyby szyfrowanie z kluczem publicznym miało się stać standardem, gdyby zaczęto go powszechnie używać do utajniania korespondencji, uwierzytelniania, prowadzenia transakcji, to ta trywialność zachwiałaby stabilnością całego państwa, a może nawet cywilizacji. Poza tym w czasach komputerów wielkich jak szafa gdańska wydawało się, że wdrożenie tego systemu będzie zbyt kosztowne. Szefostwo wywiadu brytyjskiego zamknęło sprawę, a wyniki pozostały tajne – bo taki był modus operandi GCHQ. W efekcie Ellis, Cocks i Williams już kilka lat później byli świadkami ponownego odkrywania tego, co sami już wymyślili. I musieli milczeć.

### Genialne = tajne

W połowie lat 70. do identycznych wniosków co Brytyjczycy doszły dwie grupy Amerykanów. Tyle że oni nie pracowali dla rządu ani korporacji, więc nie obejmowała ich klauzula tajności. Oni też przez kilkadziesiąt lat, aż do końca XX w., ogrzewali się w świetle chwały – zbierając niewymierne i wymierne owoce swojego osiągnięcia – sukces Brytyjczyków został wyróżniony przez Institute of Electrical

and Electronic Engineers (IEEE), największe na świecie zrzeszenie ludzi związanych z techniką, dopiero w roku 2010.

Idea szyfrowania z kluczem publicznym przebiła się do świadomości społeczności naukowej w 1976 r., kiedy jej zasadę opublikowali działający niezależnie Whitfield Diffie, zatrudniony na Stanford University Martin Hellman i Ralph Merkle, wówczas jeszcze student University of California w Berkeley. Trzej Amerykanie poczynili krok analogiczny do wykonanego przez Jamesa Ellisa. Chwilę później Ron Rivest, Adi Shamir i Leonard Adleman, doskonale uzupełniający się kryptografowie z Massachusetts Institute of Technology, wpadli na trop odpowiedniej funkcji jednokierunkowej. Z tym że nie stało się to od razu, w chwili odprężenia po pracy, jak u Cocksa, ale po wielu miesiącach mozolnych poszukiwań. Przełom nastąpił w święto

Pesach 1977 r. Spopularyzowany przez miesięcznik „Scientific American” przebił się do mediów głównego nurtu.

Zapachniało kryptologiczną wiosną, ale i czymś gorzkim. Choć algorytm zwany jako RSA (akronim nazwisk wynalazców) powstał na uczelni jako owoc swobodnej wymiany myśli, w 1983 r. został objęty amerykańskim prawem patentowym. Brytyjczycy protestowali, twierdząc, że nie można licencjonować matematyki. Bez skutku. Aż do 2000 r. korzystanie z RSA wiązało się zwykle z koniecznością wnoszenia opłat.

### Tajne = groźne

Wynalazek Ellisa i Cocksa – oraz oczywiście Amerykanów – wyznacza moment przejścia fazowego w historii kryptografii. Wcześniej umiejętność szyfrowania wpływała na ludzkie losy w sposób znaczący, ale niejako uogólniony, na poziomie narodowym. Metoda klucza publicznego ujawniła nowy potencjał kryptografii, dosięgający każdego uczestnika współczesnego społeczeństwa, detalicznie. Odsłoniła też nowe obszary potencjalnych nadużyć.

Zmianie uległa dynamika zaufania obywateli do władzy. Rządy dysponujące i sankcjonujące dostęp do najbardziej zaawansowanych metod kryptograficznych zyskały nowe, fantastyczne narzędzie kontroli. GCHQ i jej amerykański odpowiednik National Security Agency (NSA) wyrosły podczas zimnej wojny na przemysłowe molochy, zatrudniające więcej matematyków niż jakiekolwiek inne instytucje na świecie.

Obawa przed potencjalnymi nadużyciami była powodem, dla którego w latach 90. XX w. programista amerykański Phil Zimmermann zaproponował algorytm Pretty Good Privacy, pozwalający na korzystanie z dobrodziejstw klucza publicznego za darmo. Atak, który przypisał na niego rząd USA, był zapewne najbardziej dobitnym symbolem napięcia między instytucjami władzy a cyfrowymi libertarianami, głoszącymi, że swobodny dostęp do technik kryptograficznych należy do zestawu podstawowych swobód obywatelskich.

Czas jednak wrócić do pytania zasadniczego: Czy szyfrowanie z kluczem publicznym jest naprawdę bezpieczne? I tak, i nie.

### Groźne = kwantowe

Gwarantem bezpieczeństwa są specyficzne, jednokierunkowe funkcje matematyczne. Szyfrowanie jest więc bezpieczne, gdy czas potrzebny komputerom do ich wykonania (w tę trudniejszą stronę) jest absurdalnie długi, a postęp w dziedzinie obliczeń – umiarkowanie szybki i linearny. Ograniczenie to dotyczy jednak tylko świata klasycznego.

Sytuacja może się zmienić z chwilą nadejścia konstruowanej mozolnie w laboratoriach maszyny liczącej nowej generacji: komputera kwantowego. Urządzenie to porusza się niejako „na skróty przez czas” (to fraza pisarza naukowego George’a Johnsona). Ścieżki obliczeń, które komputer klasyczny musi pokonywać jedna po drugiej, kwantowy obiera jednocześnie – wszystkie. Gdyby takie maszyny zaprzęć do pracy, świat mógłby stanąć na krawędzi poważnego kryzysu – bo odkryte zostanie nie tylko to, co jest zakryte, czyli zaszyfrowane, w tej chwili.

Komputery kwantowe odsłoniłyby wszystko to, co szyfrowaliśmy z kluczem publicznym od pół wieku. Sekrety przeszłości.

Ideę tych maszyn zasugerował w latach 80. Richard Feynman, jedna z najbardziej barwnych postaci współczesnej nauki. Zauważył, że do symulowania złożonych układów kwantowych można użyć innych, prostszych układów kwantowych. Niedługo później Brytyjczyk David Deutsch – postać także niemieszcząca się w akademickich schematach – dodał, że te proste układy ułożyć można tak sprytnie, że będą wykonywać obliczenia nieosiągalne dla tradycyjnych komputerów. W końcu, w 1994 r., Peter Shor, matematyk z Bell Labs, odkrył algorytm pozwalający maszynom kwantowym w błyskawiczny sposób rozkładać duże liczby na czynniki proste. Mówiąc inaczej – Feynman, Deutsch i Shor stworzyli narzędzie do miażdżenia kryptografii klucza publicznego.

Z przyczyn być może fundamentalnych, a na pewno wciąż niejasnych skonstruowanie użytecznego komputera kwantowego sprawia kolosalne trudności. Trzeba jednak założyć, że kiedyś w końcu zostaną one w całości lub częściowo przezwyciężone. Co się wówczas stanie?

### Kwantowe = nierealne

Nic szczególnie. Otwartość i nieprzewidywalność matematyki, fakt, że w tej dziedzinie nie da się zmechanizować procesu dokonywania odkryć, ma dwojakie konsekwencje. Owszem, nie ma pewności, kto, kiedy, jak i jaką znajdzie metodę wykonywania w obie strony funkcji stojących na straży kryptografii klucza publicznego. Jak mówił Malcolm Williamson (kolega Cocks’a) magazynowi „Wired”: „W całym

tym szpeju może być ukryta jakaś magiczna śrubka. I jakiś student matematyki może naprawdę spowodować katastrofę”. Ale też jednocześnie jest matematyka niewyczerpywalnym źródłem pomysłów na nowe funkcje szyfrujące.

Rozproszone rozważania na ten temat rozwinęły się w całą nową, żywą dziedzinę wiedzy: kryptografię postkwantową. Kandydatki na nowe, odporne na dominację komputerów kwantowych metody kryptografii są już przygotowane (wykorzystują m.in. algorytmy kratowe, oparte na funkcjach skrótu czy kody korekcyjne). Pozostaje wybór najbardziej efektywnych i najlepiej rokujących na przyszłość.

Kryptolodzy mają więc dylemat podobny do tego, przed którym stali pół wieku temu – muszą ufać, że przez kilkadziesiąt najbliższych lat nie pojawi się szybka i łatwa metoda łamania zasugerowanych przez nich funkcji. „Stawką jest przyszłość. Trzeba ją chronić już dziś” – mówił Ali El Kaafarani, znawca kryptografii postkwantowej (w podkaście magazynu „Physics World”). To wybór, którego ostatecznie muszą dokonać narodowe, federalne, unijne agencje bezpieczeństwa.

Są skazane na kompromis, bo w poza-platońskich kontekstach szyfr doskonały nie istnieje. Nawet kryptografia kwantowa (fascynujący, ale osobny temat), której teoria spełnia kryterium absolutnego bezpieczeństwa przesyłu informacji, wcielona w konkretne, materialne urządzenie staje się wrażliwa na podsłuch i ataki z zewnątrz. Jest więc trochę jak z kluczem jednorazowym. Artur Ekert, wybitny kryptolog częściowo polskiego pochodzenia, mawia: „Teoretycznie nie ma różnicy między teorią a praktyką, ale praktycznie jest”.

KAROL JAŁOCHOWSKI

PROMOCJA

## PULSAR NADAJE PODKASTY POPULARNONAUKOWE

Wszechświat jest nie tylko dziwniejszy niż myślimy;  
jest dziwniejszy niż umiemy pomyśleć – mawiał Werner Heisenberg.  
Ale można o tym porozmawiać.

**Koźniewski: Efemeryczne tłumaczą na sensoryczne**  
**Kostecki, Rorot: Slow science to jest to!**  
**Robert: Jestem wciąż na rzeźnym głodzie**



Ponad 60 wyjątkowych gości na [projektpulsar.pl](http://projektpulsar.pl)

# Ulmowie na tle

Wybitny polski socjolog prof. Antoni Sułek przez wiele lat prowadził w swojej rodzinnej gminie na Lubelszczyźnie prywatne, osobiste badania na temat relacji między chłopami i Żydami podczas okupacji. Obraz jest bardziej skomplikowany niż czarno-białe stereotypy.

ANTONI SUŁEK

# B

eatyfikacja rodziny Ulmów ze wsi Markowa religijnie uświęci i społecznie usankcjonuje bohaterstwo i odwagę tych wszystkich, którzy zginęli za ratowanie Żydów. Szerzej – także tych Polaków, którzy Żydów przechowywali, narażając życie własne i swoich rodzin. Najszerzej tych, którzy w jakikolwiek sposób, nawet

zostawiając na miedzy kawałek chleba, pomagali Żydom przetrwać Zagładę.

Jakkolwiek wielkie było miłosierdzie Ulmów i ich rozrywające serca męczeństwo, to nie mogą oni być emblematem postawy ogółu Polaków wobec ginących Żydów. Tak samo jak takim emblematem nie powinna być karuzela kręcąca się nieopodal muru walczącego getta w Warszawie ani też stodoła w Jedwabnem. Polacy pod okupacją nazistowskich Niemiec zachowywali się rozmaicie i każdy z typów ich zachowania ma swój symbol.

**Gorący spór o stosunek Polaków do Żydów toczy się w Polsce od wielu lat**, a niedawno odżył po wywiadzie prof. Barbary Engelking w rocznicę powstania w getcie warszawskim. Zdaniem Akademickiego Klubu Obywatelskiego im. Lecha Kaczyńskiego „Polacy, w swojej zdecydowanej większości, starali się ratować Żydów”, zaś przeciwnym zdaniem pisarza Henryka Grynberga „donosiciele i szmalcownicy było *więcej niż neutralnych*” („Rzeczpospolita”, 6–7 maja 2023 r.). Dość powiedzieć, że autorzy tych zideologizowanych szacunków niczego nie policzyli. W swoich kontrach do wypowiedzi Engelking także minister nauki utrzymywał, że Polacy „masowo” pomagali Żydom i że była to postawa w społeczeństwie „dominująca”, oraz zapowiedział, że zleci „bardzo szerokie badania międzyuniwersyteckie w celu



Żydzi w synagodze w Kurowie, zdjęcie sprzed 1939 r.  
Poniżej: panorama Kurowa z końca lat 30.



*wykazania gmina po gminie* zaangażowania społeczeństwa polskiego w ratowanie Żydów w czasie holokaustu”.

Wątpię, czy tak kolosalne przedsięwzięcie zostanie podjęte i doprowadzone do końca, i czy badanie skupione tylko na pomocy może ukazać wielostronną prawdę o Polakach i Żydach. Dziś atmosfera w Polsce nie sprzyja wolności badań w tej dziedzinie. Do wielkich prawd dochodzi się cicho i małymi krokami.

Tak się składa, że nie czekając na rozległe badania „gmina po gminie”, od 2000 r. osobiście zbadałem wojenne relacje między miejscową ludnością a Żydami na jednym kawałku okupowanej Polski. Jest on tak duży, że zdarzyło się tam bardzo wiele z tego, co stało się Żydom i z Żydami, i zarazem tak mały, że sam jeden mogłem go obejść i porozmawiać ze wszystkimi ludźmi, o których wiedziałem lub przypuszczałem, że mają coś do opowiedzenia. Ten kawałek to nawet nie cała gmina, to połowa gminy Kurów w Lubelskiem, tuzin sąsiadujących ze sobą wiosek. Obeszłem je, wieś po wsi, „z nosem przy ziemi” i „z nastawionymi uszami”. Jestem stąd, więc ludzie bardzo już starzy mi ufali, mówili chętnie i szczerze, czasem do bólu. Stałem się powiernikiem ich wspomnień.

W swym badaniu nie zamierzałem tylko „wykazywać” czegoś, o czym już byłem przekonany. Z równą determinacją szukałem w żywej pamięci chłopów i w archiwalnych wspomnieniach Żydów informacji o ludziach, którzy Żydów ratowali, i wiadomości o ludziach, którzy Żydów Niemcom wydawali, a nawet sami ich mordowali. Zaskoczył mnie zarówno rozmiar pomocy Żydom, jak i skala prześladowań. I jedno, i drugie jest niedoszacowane, okazało się, jak mało wiemy o tym, co się w czasie wojny działo między wsią a Żydami. Wiemy mało, bo nie chcieliśmy wiedzieć. Ci, którzy Żydów ratowali, po wojnie nie stali się lokalnymi bohaterami, szeptano o nich, że „wzbogacili się na Żydach”, a zresztą ukrywali „tylko Żydów”, niektórym nadano ironiczne przydomki jak Altman czy Jerozolima. O tych zaś, którzy Żydom „dokuczali” (czytaj: rabowali ich i zabijali), wygodniej było zapomnieć, a przynajmniej nie mówić, co z czasem na jedno wychodzi.

**W wyniku moich poszukiwań na murze pamięci w Yad Vashem pojawiły się nazwiska siedmiu rodzin Sprawiedliwych wśród Narodów Świata**, których bohaterstwo ujawniłem. Jedni z ratujących, tak jak Ulmowie, ryzykowali życiem siedmiorga swoich dzieci, troje najmłodszych dożyło Medalu Sprawiedliwych dla ich rodziców. Czynów kilku rodzin nie dało się już solidnie udokumentować, więc ich nazwiska znalazły się tylko na pomniku postawionym na kurowskim kirkucie, jest tam już 18 rodzin. Są to tylko rodziny, dzięki którym Żydzi zdołali przetrwać do wyzwolenia i zostawili, choćby w pamięci, jakiś ślad, o niektórych został w niej tylko odbłask.

Siedmiu nowych Sprawiedliwych to niemało, to jeden promil wszystkich 7 tys. Polaków uhonorowanych tym tytułem. Ten promil został ujawniony w jednej gminie, w 70 lat po wojnie, w całkowicie prywatnych i bezkosztowych poszukiwaniach jednego socjologa. Liczba ta mówi nam o skali ukrywania Żydów w tej konkretnej gminie. Czy to wszystko nie mówi nam czegoś także o stosunku powojennej Polski i Polaków do ratowania Żydów? Mur upamiętniający Zagładę i przy okazji ratowanie Żydów stanął w Kurowie dopiero w 2017 r., i to nie z inicjatywy samego miasteczka.

Zbrodnie popełnione przez niemieckich najeźdźców w Kurowie i okolicy: zbombardowanie miasteczka we wrześniu 1939 r., deportacja Żydów do Sobiboru, zbiorowa egzekucja na kirkucie i „polowania na Żydów”, pacyfikacje wsi, powieszenie i rozstrzelanie w Kurowie 50 patriotów i zakładników są pamiętane i opisane. Znalazłem jednak także nigdzie nieopisane, ale nie

całkiem wyparte z lokalnej pamięci zbrodnie na Żydach, popełnione przez miejscowych, czasem bandytów, czasem zwykłych mieszkańców wsi – nawet bez fizycznej obecności Niemców. Ponad wszelką wątpliwość co najmniej 20 Żydów, w tym 13 znanych z imienia, zginęło z ich rąk w swoich leśnych, polnych i wiejskich kryjówkach, większość w mordach grupowych. Oprócz tego ośmiu gospodarzy z jednej z wiosek zostało po wojnie skazanych na więzienie za zbyt gorliwy udział w nakazanej przez Niemców obławie: nie znaleźli Żydów na swoich polach, więc szukali i znaleźli ich dalej, zawiadomieni żandarmi zastrzelili 14 osaczonych. Nie wiem, kto zabił paru innych Żydów – Niemcy czy „nasi”.

**Większość mieszkańców okolicznych wsi – niezgodnie z generalizacjami o Polakach – ani jednak Żydów nie ratowała, ani nie prześladowała.** Unikając łatwych, ale ryzykownych etykiet ich postaw, powiem tylko, że w tej dziedzinie



„Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem”, obraz Rembrandta, 1638 r.

większość była nieaktywna. Ci, którzy nie byli w partyzantce, nade wszystko sami starali się przeżyć wojnę i okupację, siali, żęli i... odstawali kontyngent. Żydom pomagano, ale do momentu, w którym pojawiło się pytanie: Żyda uratujesz, a sam zginiesz?

Być może ważniejsze od szczegółowej wiedzy o połowie jednej wiejskiej gminy są lekcje ogólne z tego badania. Oczywiście, że są to wnioski i prowizoryczne, i hipotetyczne.

Badanie w terenie, na miejscu, ma charakter całościowy. Dzięki temu w jednej okolicy obserwujemy wielopostaciową zagładę Żydów przez Niemców, a także różne postawy i zachowania miejscowych Polaków wobec Żydów. Ich skala rozciąga się od bezinteresownego ratowania Żydów z zagrożeniem dla życia własnego i pomocy incydentalnej, przez różne postaci współczucia, poczucie bezsilności i obojętności, aż do maskowanego zadowolenia i wydawania, grabieży mienia, udziału w obławach i zabijania.

W wypowiedziach historyków publicznych, zarówno „krytycznych”, jak i „afirmatywnych”, na temat stosunku Polaków do ginących Żydów widać skupianie się na ekstremach tej skali – albo na ratowaniu Żydów, albo na ich prześladowaniu. Widać też skłonność do uznawania aspektu przez nich badanego za charakteryzujący społeczeństwo i do marginalizowania aspektu przeciwnego, niebadanego. W ich zaangażowanych opisach relacji Polaków do Żydów dominuje albo czerń, albo biel. Tymczasem w opisach zebranych w terenie występują, i owszem, smugi czarne i smugi białe, ale dominują różne odcienie szarości – czerń w tej szarości pochodzi od zła, a biel – od dobra. ►

►Większość ówczesnych Polaków – inaczej niż Samarytanin z ewangelicznej przypowieści Jezusa (i „Krajobrazu z miłosierdnym Samarytaninem” Rembrandta) – nie „wzruszyła się głęboko” losem Żydów, sprawiło to głównie poczucie obcości względem nich i cierpienie własne. Dominanta ta była podobna kapłanowi i lewicie, którzy na drodze do Jerycha w ciężko pobitym przez rozbójników człowieku nie zobaczyli bliźniego. Także statystycznie nieduża część brała – dobrowolny lub przymuszony – udział w prześladowaniu Żydów. Te trzy części składają się na tryptyk. Boczne części, skrzydła tego tryptyku, nie są równej szerokości, a o ich rozmiar toczy się spór, ale równie ważna jest mało zbadana fizjonomia większości.

**Obok zróżnicowania zachowań między ludźmi uwagę współczesnych zwracała zmienność zachowań poszczególnych jednostek.** Stanisław Ossowski nazwał to „polimorfizmem osoby ludzkiej”, „występowaniem dobra i zła w reakcjach tych samych osób”. Wojna, sytuacja ekstremalna sprawia, że nasilają się ekstremalne zachowania. „W czasie wojny jedni ludzie szlachetnieją i stają się lepsi, a inni stają się okrutni i podli” – zaobserwował autor notatki z archiwum Ringelbluma. Ossowski



Pomnik postawiony w 2017 r. w miejscu, gdzie był cmentarz żydowski w Kurówie.

poszedł dalej – zauważył, że ci sami ludzie mogą być raz szlachetni, a raz nikczemni.

W zbadanej okolicy także znalazłem przypadki polimorfizmu. Młodzi mężczyźni należeli do partyzantki i do różnych grup zbrojnych, samoobronnych i rabunkowych, a niektórzy byli czynni w obu tych strukturach. Wśród nich byli i tacy, którzy jako partyzanci Żydom pomagali, a jako członkowie band przepędzali ich ze swoich wsi, rabowali, a nawet mordowali. „Odważny jak cholera i bandzior”, „i łajdak, i dobry” – tak mówili o jednym z nich ci, którzy go pamiętali.

Trzecią nauką z lokalnego badania nad zagładą Żydów jest lekcja psychologii pomocy i prześladowania, bohaterstwa i zbrodni. Ludzie rzadko robią coś ważnego z tylko jednego powodu, działanie jest niesione wieloma intencjami i zarówno prześladowanie Żydów, jak i ich ratowanie miały motywacje wielorakie i splątane. Prześladowanie Żydów to nie tylko sprawa antysemityzmu. Niechęć antysemitcka i myślenie o Żydach jako obcych, a nie jako bliźnich, uznawanie ich życia za mniej warte niż nasze, przekonanie, że wobec Żydów „więcej wolno”, poczucie bezkarności – to tylko warunki wstępne, które zachęcały do ich prześladowania. Jedne z tych – mówiąc językiem klasycznych socjologów – „kolektywnych przedstawień” i „zbiorowych obrazów myślowych” trwały w Polsce

od dawna. Inne stworzyła lub wzmocniła wojna. Wszystkie występowały w społeczeństwie, ale konkretnych Żydów w konkretnych sytuacjach prześladowali konkretni ludzie, kierujący się własnymi motywami i kalkulacjami.

Żydów zabijano dla spodziewanych korzyści materialnych, a usłyszana dziś opinia, że „każdy Żyd, nawet taki, który chałupę miał krzywą, żeby nogą przewrócić, miał złoto”, występowała, w różnych postaciach, nagminnie. Strach chłopów przed zemstą Niemców, spaleniem domu lub zastrzeleniem „za Żydów” powstrzymywał wieś przed ich ukrywaniem, ale także mógł popychać do zabijania ich w kryjówkach, gdy gospodarze poczuli groźbę wykrycia ukrywanych i ujawnienia ich samych. W takich okolicznościach zginęli także niektórzy Żydzi w zbadanej okolicy.

Wszystko to działo się w czasie wojny i okupacji. Nie było polskiej władzy, obok solidarności społecznej panowało moralne rozprężenie. Ogrom cierpienia i masowość terroru powodowały stopieńem wrażliwości i „gospodarowanie współczuciem”. Życie społeczne przenikał przymus, tak jak grawitacja, niewidzialny, ale uświadamiany i doświadczany jako strach. Dopiero połączony wpływ momentu historycznego, wyobrażeń panujących w społeczeństwie i osobistych motywacji sprawców może wyjaśnić wojenne prześladowanie Żydów. Cechy narodowe Polaków, prawdziwe czy rzekome, niewiele w wyjaśnianiu pomagają.

Paradoksalnie trudniej wyjaśnić, dlaczego niektórzy ludzie mimo panującego nastawienia i strachu Żydów jednak ratowali. Swoją rolę odgrywały tu gratyfikacje materialne, ale – w rzeczowej opinii historyka Christophera Browninga – „Polacy udzielający Żydom wsparcia zwykle nie dostawali wynagrodzenia współmiernego do podejmowanego ryzyka”, więc „złoto” nie jest wystarczającym wyjaśnieniem.

Wśród ludzi, którzy w przebadanej okolicy ratowali Żydów, były osoby o różnych parametrach społecznych: biedni i zamożniejsi, pobożni i bezbożni, światli i ledwie czytający, wielodzietni i małodzietni. Żaden z tych pojedynczych atrybutów nie był więc konieczny do ratowania Żydów. Wspólna była wyjątkowość ratujących – byli nieliczni i wyrastali ponad otoczenie: byli bardziej wrażliwi i/lub przodowali społecznie; rzadko udało się stwierdzić, skąd im się to brało. Taki typ ludzi Florian Znaniecki w 1934 r. nazwał intrygująco „zboceńcami nadnormalnymi”, gdyż odchylają się od przeciętności „wzwyż”.

Do tego typu należeli też Józef i Wiktoria Ulmowie prawi chrześcijanie i społecznicy, działający w organizacji wiejskiej „Wici”. Tak jak wielu ratujących Żydów mieszkali na uboczu wsi, z dala od ludzkich oczu, a ukrywanych znali sprzed wojny. Gdy pod wpływem kontaktów bielmo stereotypu opada, w „obcych” widzi się osoby i ludzi jak my.

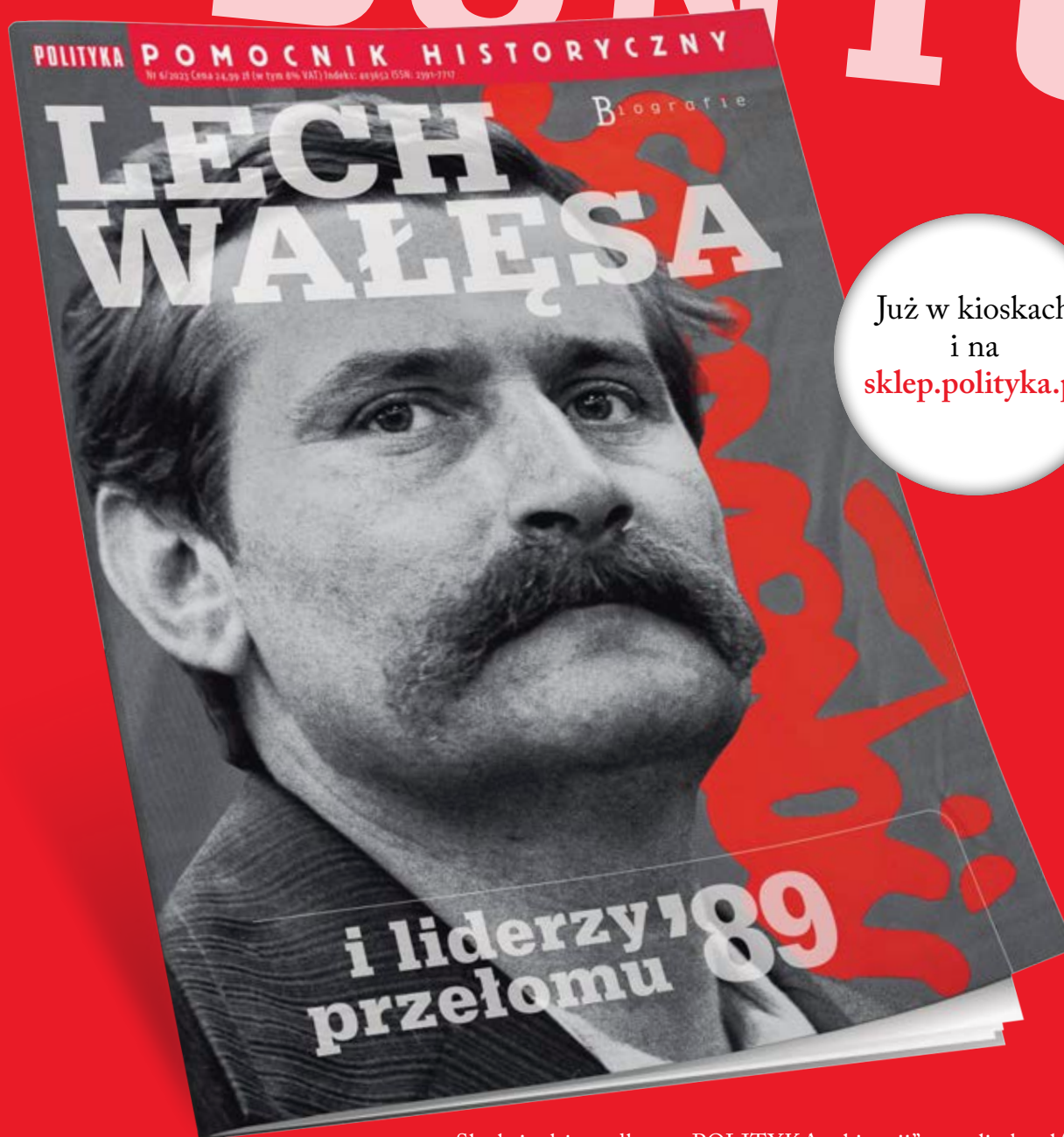
**Ulmowie byli ludźmi, którzy poszli drogą Samarytanina, i to dalej niż on, bo jemu za okazaną pomoc śmierć nie groziła.** Dlatego to, co stało się we wsi Markowa, jest nie mniej ważne jak to, co zdarzyło się 2 tys. lat wcześniej na drodze do Jerycha.

Beatyfikacja rodziny Ulmów nie tylko wzmocni przynajmniej uznanie dla wartości, za które zginęli. Zapewne będzie też wykorzystana do idealizacji narodu polskiego oraz obrony jego dobrego imienia przed tymi, którzy mieliby je „szkalować”. Nie musi tak być. Bohaterstwo i męczeństwo Ulmów nie muszą zaślaniać innych postaw i zachowań ówczesnych Polaków. Przeciwnie, prądem kontrastu mogą je uwyraźnić i dodać odwagi do poznania całego tryptyku – pomagania Żydom, „nieaktywności” i, niestety, udziału w ich prześladowaniach.

ANTONI SUŁEK

Autor, ur. we wsi Barłogi, jest emerytowanym profesorem Wydziału Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, członkiem Polskiej Akademii Nauk.

# IKONY BUNTU



Już w kioskach  
i na  
[sklep.polityka.pl](https://sklep.polityka.pl)

Słuchaj także podcastu „POLITYKA o historii” na [polityka.pl/podkasty](https://polityka.pl/podkasty)  
Zapraszamy na profil pełen historii: <https://www.facebook.com/projektimpulsar>

Partner główny wydania



Partner wydania





Rudolf Diesel z rodziną w Monachium. Po prawej goście, Edouard Sauvage i Frederic-Charles Dyckhoff, 1897 r.

# Inżynier wysokoprężny

Rudolf Diesel, konstruktor słynnego silnika, przeszedł do historii jako genialny inżynier mechanik. Sam jednak uważał się za inżyniera społecznego, który wie, jak skonstruować sprawiedliwy świat.

W tym roku mija 110. rocznica jego tajemniczej śmierci.

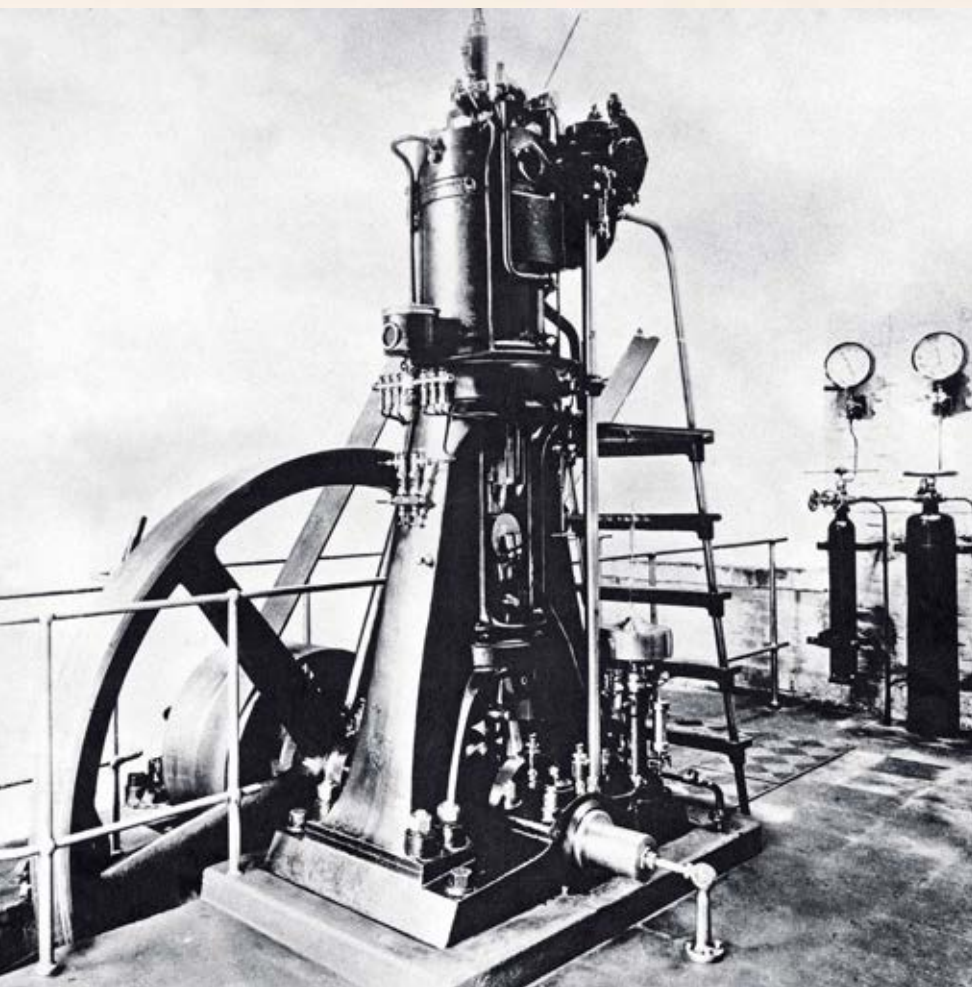
ADAM GRZESZAK

**T**o dobrze, że wynalazłem silnik wysokoprężny. Ale moim głównym osiągnięciem jest rozwiązanie problemu społecznego” – deklarował Rudolf Diesel. Swoją koncepcję rewolucji społecznej wyłożył w wydanej w 1903 r. książce „Solidaryzm – naturalne ekonomiczne zbawienie człowieka”, w której przedstawił wizję nowego porządku społecznego

i gospodarczego świata. Wierzył, że jego realizacja stanie się możliwa właśnie dzięki równie rewolucyjnemu silnikowi jego pomysłu.

**Był pod wpływem myśli socjalistycznej, zwłaszcza ojca anarchizmu Pierre’a-Josepha Proudhona.** Koncepcja zdecentralizowanej gospodarki opartej na spółdzielniach robotniczych bardzo przypadła mu do serca. Był przekonany, że spółdzielnie plus silnik wysokoprężny to recepta na szczęście ludzkości.

„Solidaryzm jest jak słońce, które świecąc wszystkim równomiernie, swoim łagodnym ciepłem i jaskrawym światłem obudzi ludzkość z hibernacji do ekonomicznego zbawienia” – przekonywał. Chodziło mu o to, by masy pracujące wyrwać z wielkich fabryk, uzależnionych od energii potężnych maszyn parowych, by uwolnić je od smrodu dymiących kominów i węglowego pyłu. „Bez wątpienia lepiej zdecentralizować drobny przemysł i osiedlić go na wsi, zamiast koncentrować go w wielkich, przeludnionych miastach,



Pierwszy silnik wysokoprężny zbudowany w fabryce Kruppa w 1897 r.

bez powietrza, bez światła i przestrzeni. Ten cel można osiągnąć tylko dzięki niezależnej maszynie, łatwej w obsłudze i konserwacji”.

Mało kto pamięta jego społeczne idee, choć proponował rozwiązania nawet dziś nowatorskie, takie jak dochód podstawowy czy finansowanie społecznościowe. Jako inżynier społeczny poniósł klęskę, ale jako inżynier mechanik odmienił nasz świat. Dziś silnik Diesela napędza kapitalistyczną, zglobalizowaną gospodarkę. Cały światowy transport drogowy opiera się na jego wynalazku, ponad 98 proc. ciężarówek jest napędzanych dieslowskimi silnikami. Korzystają z nich lokomotywy spalinowe, sprzęt budowlany, generatory produkujące prąd. Także sprzęt wojskowy jest nim napędzany. Podobnie jest z transportem morskim, poczynając od wielkich kontenerowców okrążających świat, kończąc na małych kutrach.

Dieslowskie silniki trują spalinami powietrze w miastach i przyspieszają globalne ocieplenie. Następcy Rudolfa

Diesla nie myślą już, jak udoskonalić dzieło swego prekursora, ale jak uwolnić od niego świat.

**Podobnie było pod koniec XIX w., kiedy młody inżynier myślał, jak uwolnić świat od węgla** i napędu parowego. Tak jak dziś wiele się mówi o *peak oil*, czyli o kończących się zasobach ropy, tak wówczas zaczęto mówić o wyczerpywaniu się złóż węgla. Pragnienie odejścia od węgla na rzecz wygodniejszych paliw płynnych zajmowało wówczas wielu konstruktorów. A kiedy za sprawą naszego rodaka Ignacego Łukasiewicza zaczęto destylować ropę naftową, inżynierowie zaczęli myśleć o wykorzystaniu nafty jako paliwa silnikowego.

Jednym z nich był Nicolaus Otto, który w 1863 r. skonstruował silnik wewnętrznego spalania, wykorzystujący destylat naftowy, czyli benzynę. Był to pierwszy silnik czterosuwowy. Kilkanaście lat później Carl Benz zaprezentował mały i lekki silnik dwusuwowy oraz napędzany nim

pojazd, co zapoczątkowało erę masowej motoryzacji.

Sprawność tych silników była jednak niska, a paliwo drogie, bo z ropy nie dało się wydestylować wiele benzyny. Pozostawały cięższe frakcje. I właśnie te dwa czynniki postanowił wykorzystać Diesel. Skonstruował silnik, w którym paliwo w komorze spalania ulegało samoczynnemu zapłonowi pod wpływem temperatury, jaką powodowało wysokie ciśnienie. Maszyna odznaczała się dużo wyższą sprawnością, zamieniając w pracę aż 75 proc. energii zawartej w paliwie, a nie 10 proc. jak w innych silnikach. Wykorzystywała ciężki destylat naftowy, wówczas rodzaj odpadu, z którego dziś produkowany jest olej napędowy zwany też paliwem dieslowskim. Swym wynalazkiem Rudolf Diesel zadziwił świat. Konstruktor stał się sławny, wrócono mu Nagrodę Nobla.

**Urodził się w 1858 r. w Paryżu w rodzinie niemieckich imigrantów**, zajmujących się produkcją i handlem galanterią skórzaną. Kiedy miał 12 lat, wybuchła wojna francusko-pruska i Dieselowie jako Niemcy zostali z Paryża wysiedleni. Wyjechali do Londynu, ale warunki ekonomiczne znacznie się pogorszyły, dlatego Rudolf został wysłany do Augsburga pod opiekę wuja. Miał tam zdobyć wykształcenie handlowe, by szybko wesprzeć rodzinny biznes.

Jednak w szkole kupieckiej odkrył w sobie inżynierskie powołanie. Kontynuował więc naukę na politechnice w Monachium, utrzymując się z własnej pracy. Był wyróżniającym się studentem, co dostrzegł profesor Carl von Linde, pionier mechaniki i chłodnictwa, twórca m.in. chłodziarki sprężarkowej. Profesor postanowił zatrudnić absolwenta, który osiągnął najlepszy wynik w historii uczelni, w swojej firmie (do dziś zresztą istniejącej). A ponieważ Diesel biegle mówił po francusku, wysłał go do zakładów Linde w Paryżu.

Tu młody inżynier pod wrażeniem osiągnięć swego promotora zaczął myśleć o własnych chłodniczych wynalazkach. Niektóre nawet opatentował, jak np. maszynę do robienia „czystego lodu”. To wówczas zafascynowało go zjawisko nagłego wzrostu temperatury jako skutku sprężania gazu. Zastanawiał się nad jego wykorzystaniem w silniku, tak by paliwo ulegało zapłonowi wyłącznie pod wpływem sprężania. Początkowo myślał nie o paliwie płynnym, ale o pyłe węglowym. Eksperymentował też z olejami roślinnymi – rzepakowym, ►

► konopnym, arachidowym i palmowym. Dzielił swój czas między chłodnictwem i kierowaniem fabryką Linde a pracą nad silnikami, w czym pomagał mu Heinrich Buz, dyrektor zakładów Maschinenfabrik Augsburg AG, które przekształciły się w firmę MAN.

W 1892 r. Diesel opatentował silnik swego pomysłu, choć dopiero rok później zdołał go zbudować. Potem doszło do eksplozji, która omal go nie zabiła i na kilka miesięcy uwięziła w szpitalu. Dopiero po czterech latach silnik Diesla był gotowy do komercjalizacji. Powstał w zakładach Buza przy finansowym wsparciu Fryderyka Kruppa.

Był duży i ciężki, więc nadawał się do zastosowań stacjonarnych (jeden z pierwszych silników trafił do warszawskiego hotelu Bristol, gdzie napędzał generator prądu). Szybko jednak odkryły go firmy żeglugowe i od 1903 r. wykorzystywały w jednostkach pływających. W 1911 r. zwodowano pierwszy pełnomorski statek MS „Selandia” napędzany silnikami wysokoprężnymi. Wywołało to dość zabawne konsekwencje, bo statek zdumiewał brakiem tradycyjnych, dymiących kominów. Mało widoczne rury wydechowe ukryte w maszcie rufowym nie pozwalały zorientować się, kiedy statek płynie, a kiedy stoi. „Selandia” nazwano więc statkiem widmo. Mając napęd dieslowski, okazała się o 40 proc. tańsza w eksploatacji, więc nowy silnik zaczął morską karierę. Szybko dostrzegło go też wojsko, dla którego zaopatrywanie okrętów w węgiel było poważnym wyzwaniem.

### Rudolf Diesel stał się światową gwiazdą, bohaterem pierwszych stron gazet.

I człowiekiem bardzo bogatym. Porównywano go do Edisona, z którym zresztą spotkał się podczas podróży do USA. Dlatego Diesel zaczął myśleć o stworzeniu kolejnych przełomowych wynalazków, w tym maszyny latającej. W 1898 r. założył fabrykę silników w Augsburgu, a dwa lata później Diesel Engine Company w Anglii. Nie zmonopolizował jednak swego wynalazku. Sprzedawał licencję na produkcję także innym firmom z kraju i zagranicy (m.in. z USA i Rosji). Chciał – w myśl swoich społecznych koncepcji – by z dobrodziejstwa nowego napędu korzystało jak największe grono ludzi na świecie.

Szybko okazało się, że jest wielkim wynalazcą, ale jako utopijny socjalista słabo sprawdzał się w roli kapitalisty. Wspólnicy (m.in. Immanuel Nobel, Fryderyk Krupp, Marcus Wallenberg) stracili do niego cierpliwość i w 1911 r. silnikowa spółka została rozwiązana.

Diesel zarobione pieniądze lokował w spekulacyjnych interesach, na których tracił, więc jego sytuacja ekonomiczna nie była różowa. Zaczął wyprzedawać swoje patenty, co ograniczało mu możliwość pracy nad rozwojem silnika. Mimo to zdołał zmniejszyć jego konstrukcję na tyle, że można go było zamontować w samochodzie ciężarowym. Jednak producenci pierwszych ciężarówek nie docenili tego osiągnięcia i dopiero w latach 30. rozpoczęła się dieslowska era w transporcie samochodowym.

Latem 1913 r. Diesel w towarzystwie dwóch zaprzyjaźnionych przedsiębiorców wybrał się do Anglii na otwarcie fabryki silników, na pokładzie statku pasażerskiego SS „Dresden” (wbrew nazwie brytyjskiego). Wsiedli w Antwerpii, miło spędzili dzień, wieczorem zjedli kolację i rozeszli się do kabin. Diesel poprosił, by go obudzić przed szóstą rano, kiedy statek miał przybić do portu w Harwich. Następnego dnia towarzysze podróży nie zastali go w kabinie. Znaleźli starannie ułożone rzeczy osobiste i dokumenty, bieliznę przygotowaną do snu, nietknięte łóżko. Po pasażerze nie było ani śladu. Zniknął.

Informacja o zaginięciu słynnego wynalazcy rozeszła się po świecie lotem błyskawicy. W prasie mnożono spekulacje. Rzucił się do morza? Wpadł przypadkiem? Został porwany? Zamordowany? A może sfingował ucieczkę w obawie przed bankructwem? Sprawa nieco się wyjaśniła, gdy kilkanaście dni później belgijscy marynarze dostrzegli pływające w kanale La Manche zwłoki. Przeszukali kieszenie topielca, ale nic poza kilkoma drobiazgami nie znaleźli – szczyrcy, etui na okulary, pudełko na leki. Ówczesnym zwyczajem oddali ciało morzu, zwłaszcza, że zaczynał się już proces rozkładu.

Szybko jednak skojarzono, że tym topielcem mógł być Diesel. Rodzina rozpoznała znalezione przedmioty. Uznano, że popełnił samobójstwo, rzucając się w nocy do morza. Wykluczono wypadek. Morze było spokojne, a relingi wysokie, brak ciała uniemożliwił jednak szczegółowe dochodzenie. Teorię o samobójstwie zaakceptowała rodzina – żona i dorosłe już dzieci, dwóch synów i córka. Nie miał co do tego wątpliwości zwłaszcza młodszy syn Eugen, pisarz i biograf ojca.

Prawnuczka wynalazcy Susanne M. Kropf w wywiadzie prasowym udzielonym w stulecie dramatu powiedziała: „Pradziadek przygotowywał swoją śmierć: podarował swojemu wówczas 24-letniemu synowi walizkę z dużą sumą pieniędzy »na wypadek śmierci«”. Odwiedził wszystkich przyjaciół i dalekich krewnych,

ofiarowując im prezenty. Są to typowe znaki, których oczywiście nikt wówczas nie rozumiał”. Zresztą samobójstwa zdarzały się w tej rodzinie. Dość powiedzieć, że tak skończył życie najstarszy syn Rudolf Diesel junior, a także i jego syn.

### Tajemnicza śmierć wynalazcy stała się pożywką dla licznych teorii spiskowych,

wedle których na statku doszło do morderstwa. Choć rodzina odkrywała kolejne dowody świadczące o planowaniu samobójstwa, inni zwracali uwagę, że 55-letni wynalazca był w dobrej kondycji psychicznej, pełen nowych planów, bez szczególnych problemów finansowych, a tacy nie targają się na własne życie. Przymierzając się z rodziną do USA, zapragnął popłynąć „Titanikiem”. Zabrakło jednak biletów, więc musiał wybrać inny transatlantyk. Był szczęśliwy, że ocalał życie.

Autorzy licznych artykułów prasowych i biografii analizowali, komu mogło zależeć na pozbyciu się wynalazcy. Te spekulacje trwają do dziś, o czym świadczy wydana niedawno powieść Marca Zoellnera „Der Mann, der Rudolf Diesel erschlug” (Człowiek, który zabił Rudolfa Diesla).

Lista podejrzanych jest długa. Są na niej konkurenci, którzy twierdzili, że budowali wcześniej podobne silniki albo że wynalazca naruszył ich prawa patentowe. Następni na liście są niemieccy baronowie węglowi, którzy nie znosili Diesla za to, że jego silnik zabijał napęd parowy z węglem jako paliwem. Kolejny podejrzany to amerykański magnat naftowy John D. Rockefeller, który nie ukrywał, jak bardzo nienawidził Diesla, bo jego silnik ograniczał popyt na benzynę, której był największym producentem.

Jednak na pierwszym miejscu listy znalazł się... cesarz Wilhelm II. Popularna teoria głosi, że to za jego zgodą cesarska armia pozbyła się Diesla z obawy, by w zbliżającej się wojnie, która przecież wybuchła kilka miesięcy później, nie wsparł swoimi wynalazkami Francuzów albo Brytyjczyków. Uznawano go za kosmopolitę, znano jego lewicowe i antywojenne poglądy, a przecież silnik Diesla miał stać się niebawem groźną niemiecką bronią. Świadczą o tym losy statku, na którym śmierć znalazł wynalazca. SS „Dresden”, wcielony w czasie wojny do Royal Navy i zamieniony na parowiec aboróżowy HMS „Louvain”, w 1915 r. podzielił los swego najslawniejszego pasażera. Spoczął na dnie storpedowany przez niemiecką łódź podwodną U-22. Zbudowaną w Gdańsku i napędzaną dwoma silnikami Diesla.

ADAM GRZESZAK

## Rabunek nie ratunek

**Łowcy skarbów. Jak ojcowie archeologii rozkradli bogactwa Orientu**, Jürgen Gottschlich, Dilek Zaptcioglu-Gottschlich, przekład Emilia Skowrońska, Znak 2023, s. 384



**Z**yjemy w przekonaniu, że w XIX w. oświeceni odkrywcy z Zachodu badali starożytne cywilizacje z czystej ciekawości naukowej. Autorzy tej publikacji pokazują, że dla wielu tużów archeologii celem było pozyskanie zabytków do muzeów. Patriotyczno-merkantylne pobudki tłumaczyli chęcią ratowania cennych obiektów przed nieokrzesanymi mieszkańcami Bałkanów, Bliskiego Wschodu czy Egiptu. Wywożenie arcydzieł uwikłane było w politykę – gdyby Imperium Osmańskiemu nie zależało na dobrych układach z Cesarstwem Niemieckim, nie przymykałoby oka na utratę skarbów. Dzięki machlojkom i układowi Heinrich Schliemann wywiózł skarb Priama ze wzgórza Hisarlik, Carl Humann – ołtarz z Pergamonu, Theodor Wiegand – bramę targową z Miletu. Autorzy apelują, by je zwrócić. Ich książka wpisuje się w międzynarodową debatę na temat restytucji zabytków (patrz art. s. 64). Istambuł wystąpił o zwrot skarbu Priama w 1874 r., Egipt o popiersie Nefertiti w 1924 r. Dotąd nie zostały oddane.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

## Jądro ciemności

**W cieniu Treblinki. Zagłada Sokołowa Podlaskiego. Dzień w Treblince. Kronika żydowskiego życia**, Simche Polakiewicz, przekład Agata Reibach, Wydawnictwo Austeria, Kraków, Budapeszt, Syrakuzy 2023, s. 329



**N**agi mężczyzna idzie wzdłuż torów gdzieś w środkowo-wschodniej Polsce. Pragnienie zaspokaja, pijąc rosę. To fragment podwójnych wspomnień Simche Polakiewicza, zebranych w jednym tomie. „Dzień w Treblince” opublikowany został jeszcze w 1948 r. w Buenos Aires, „W cieniu Treblinki” dziewięć lat później w Tel Awiwie. Obie książki do dziś nie były znane polskiemu czytelnikowi. Stanowią kwintesencję losu Żydów w czasie Zagłady, prezentują też wachlarz polskich postaw wobec żydowskich sąsiadów. Jedni krzykali: „Uciekajcie stąd, Żydy!”, inni pozostawali

obojętni, część się bała, byli tacy, którzy pomagali. Polakiewiczowi dwukrotnie udało się uciec obławie, błąkał się wówczas po okolicznych lasach. Trafił na jeden dzień do Treblinki, i to jest opowieść z jądra ciemności. Stamtąd także udało mu się uciec. Noc spędził nagi na drzewie. Świętym Marcinem okazała się dla niego stara kobieta, która dała mu swój fartuch. Wrócił do rodzinnego Sokołowa Podlaskiego, gdzie pomocy udzieliła mu rodzina Rogozińskich. Przez ścianę słyszał opowieści gości gospodarzy o tym, jak mieszkańcy miasteczka dzielą między sobą żydowskie mienie. Rogozińska mówiła mu jednak: „Nie martw się. Dziś modlimy się za ciebie”. Wspomnienia Polakiewicza są jak lustro, w którym Polacy mogą się przejrzeć.

MARCIN ZAREMBA

## Rodzinna archeologia

**Młodzi bohaterowie Związku Radzieckiego. Obrachunek z przeszłością**, Alex Halberstadt, przekład Ewa Horodyska, Ośrodek KARTA, Warszawa 2023, s. 331

**P**róba pogodzenia idyllicznych wspomnień ze świadectwami historycznymi bywa bolesnym doświadczeniem. Alex Halberstadt, amerykański dziennikarz, podejmuje podróż w głąb rodzinnej



historii, starając się dociec prawdy o życiu swego dziadka. Na pozor bohaterem książki jest Wasilij Czernopiski, dziadek autora i były funkcjonariusz KGB, którego przeszłość położyła się długim cieniem na całą rodzinie. W rzeczywistości na główny plan wysuwa się historia Związku Radzieckiego, wraz ze wszystkimi niejednoznaczными wyborami, jakich dokonują ludzie wkręceni w tryby dziejowych wydarzeń. Autor odnajduje Wasilija. Przyjeżdża do niego do ukraińskiej Winnicy, licząc na to, że odnajdzie odpowiedź na pytania, dlaczego życie jego dziadka, a później ojca potoczyło się tak, a nie inaczej. Ostatecznie czeka go rozczarowanie. Chęć odnalezienia w życiu minionych pokoleń jakiegoś sensu, uporządkowania ich tak, aby tworzyły logiczną opowieść, z której na końcu wynika jakiś morał, wydaje się skazana na niepowodzenie. Książka łączy elementy biografii, pamiętników i historii XX w. Nie daje łatwych recept ani nadziei na poznanie „całej prawdy” o przeszłości. Niemniej jest to lektura fascynująca. Przykład, że archeologia rodzinna może mieć wymiar uniwersalny.

TOMASZ TARGAŃSKI

PROMOCJA

## Z A P O W I E D Z I Z W Y D A W N I C T W

Iwona Kienzler  
**ŻONY I KOCHANKI  
KOMUNISTÓW**

Wydawnictwo LIRA,  
Warszawa 2023, s. 352



Co wiemy o kobietach Lenina, Stalina, Mao, Ceaușescu, Che Guevary i Castro? Komunistyczni przywódcy byli postaciami co najmniej kontrowersyjnymi, ale nie brakowało im charyzmy, która przyciągała do nich tłumy kobiet. Czy decydowała o tym miłość, naiwna wiara w komunizm, wspólnota poglądów i ideałów? A może cyniczna kalkulacja? Iwona Kienzler, autorka bestsellerowych biografii historycznych, ujawnia, dlaczego wiele kobiet decydowało się dzielić swe życie z krwawymi dyktatorami i despotami.

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

Jan Lucassen  
**HISTORIA PRACY.  
NOWE DZIEJE  
LUDZKOŚCI**

Znak Horyzont,  
Kraków 2023, s. 832



Na świecie pracują miliardy ludzi. Fizycznie, umysłowo, po pięć, osiem, czasem nawet kilkanaście godzin na dobę. Ale jak to się stało, że z łowców-zbieraczy przekwalifikowaliśmy się na project managerów? Jan Lucassen, holenderski historyk, postanowił przeszedł ten proces. Efekt? Monumentalna, wielowarstwowa, przełomowa historia nie tylko pracy, lecz także człowieka jako istoty pracującej. „Błyskotliwy i wytrawny tour de force przez tysiąclecia światowej historii. [...] To obowiązkowa lektura na nasze dziwne czasy, wypełniona fascynującymi faktami i konceptami”.

Simon Sebag Montefiore

[www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

na ekranie

## Ukradziona tożsamość 5/6

**Doppelgänger. Sobowtór**, reż. Jan Holoubek, prod. Polska, 119 min

Posługiwanie się imieniem, nazwiskiem oraz częścią życiorysu realnie istniejącej osoby to jeden z bardziej ryzykownych, ale i oczywistych elementów gry wywiadowczej. Oparta na takiej operacji, osadzona w czasach głębokiego PRL historia sfilmowana przez Jana Holoubka w sensacyjnym dramacie „Doppelgänger. Sobowtór” wpisuje się w ciąg antyheroicznych opowieści o zbrodniach systemu. I sprawdza się jako trzymający w napięciu, gatunkowy dramat ukazujący złożone konsekwencje udawania i odnajdywania prawdziwej tożsamości. **Jakub Gierszał** w roli przystojnego Bonda zza żelaznej kurtyny, czyli „kreta” podszywanego się pod pracownika uniwersytetu, wyjeżdżającego w połowie lat 70. do Strasburga, by poznać swoją biologiczną rodzinę, zgrabnie oddaje znużenie niepasującą do jego wyobrażeń biurową pracę agenta. Jego czujność wystawia na próbę niespodziewany romans z przyszywaną kuzynką (Emily Kusche). Aktor obsadzany najczęściej „po warunkach” nie miał zbyt wielu okazji, by prezentować makiaweliczne umiejętności. Tu fantastycznie niuansuje buzującą w jego postaci, tłumioną przez opresyjną

wychowanie witalność – powolne pęknięcie skorupy kłamstw i narodziny sumienia. Pozostający w cieniu Gierszała Tomasz Schuchardt, filmowy inżynier ze Stoczni Gdańskiej, który odkrywa, że został jako dziecko adoptowany, i musi na nowo określić swoje relacje ze światem, sugestywnie eksponuje udręczenie, utrzymując zainteresowanie widza do samego końca. Film akcji zainspirowany m.in. biografią Jerzego Kaczmarka – jednego z najśłynniejszych szpiegów dawnego bloku wschodniego, który ukradł tożsamość mieszkającego w Trójmieście Polaka niemieckiego pochodzenia – w oczywisty sposób obnaża destrukcyjną moc ideologii, lecz wartości reżyserskiego dokonania nie wyczerpują ani wyraziste kreacje aktorskie, ani niezwykła fabuła. Poza sprawnością narracyjną Holoubek najbardziej interesują uwarunkowania ludzkiej psychy. Jak wielka historia wpływa na wybory i dylematy moralne oraz co się dzieje, gdy uwikłana w sieć pozorów jednostka odkrywa, że rzeczywistość – o niejasnych konturach, zamazana na wielu poziomach – staje się pułapką bez wyjścia.

JANUSZ WRÓBLEWSKI



Małgorzata Mirga-Tas, „Jangare”

w galerii

## Rekordowa trzynastka

**Warsaw Gallery Weekend**,  
kilkadziesiąt różnych lokalizacji,  
29 września – 1 października

To nie tylko najważniejsza, ale wręcz jedyna tego typu impreza w Polsce (a podobno w całej Europie Środkowo-Wschodniej). Na kilka jesiennych dni najlepsze prywatne stołeczne galerie, ze wsparciem kilku wyróżniających się placówek spoza Warszawy, starają się zaprezentować to, co mają najlepszego (choć wiele z otwartych teraz wystaw będzie można oglądać do końca października). A to rzadka okazja, by w ich progi zajrzeli także ci, którzy na co dzień nie śledzą tego, co się dzieje we współczesnej sztuce. W tym roku warto zwrócić uwagę na dwa fakty. Po pierwsze, na niespotykany wcześniej rozmach. W ramach programu oficjalnego 37 galerii przygotowało aż 44 wystawy indywidualne i zbiorowe. A do tego dochodzi – i to jest druga godna zapamiętania okoliczność – wyjątkowo bogaty w tym roku program imprez dodatkowych: spotkań, oprowadzań, performansów, koncertów. Dla zainteresowanych i ambitnych nie lada zadaniem będzie więc przestudiowanie mapy wydarzeń i obmyślenie optymalnej trasy spaceru od atrakcji do atrakcji. Każda pliszka swój ogonek chwali, więc i ja zwrócę tylko uwagę, że wśród wielu doskonałych ekspozycji w tym roku można znaleźć także indywidualne prezentacje laureatów Paszportów POLITYKI: Małgorzaty Mirga-Tas, Mikołaja Sobczaka, Nicolasa Grosppierre'a, Wojciecha Bąkowskiego. To 13. edycja WGWi, ale nic nie wskazuje, by okazała się pechowa. Wręcz przeciwnie.

PIOTR SARZYŃSKI



## Teatr obsesji 3/6

William Szekspir, **Sen nocy letniej**, reż. Jan Klata,  
Teatr Nowy w Poznaniu

**J**an Klata kontynuuje swój autorski cykl spektakli krytykujących polski, głównie progresywny, teatr. Za nami już wystawione w poznańskim Nowym pandemiczne „Czerwone nosy” i „Czego nie widać”, farsa o skłóconym, zbiedniałym środowisku, z gdańskiego Wybrzeża, a teraz, znów w Poznaniu, doszedł „Sen nocy letniej”. Zaczyna się od sceny teatru w teatrze, w której ubrani w infantylizujące piżamki-zwierzątka aktorzy, przedstawiający się swoimi prawdziwymi nazwiskami, odgrywają satyrę na progresywny teatr, z doprowadzonymi do absurdu kwestiami tożsamości i bezprzemocowości. W kontraście do „oderwanego”, hiperpoprawnego, ale podszytego agresją teatru mamy „prawdziwy”, autorytarny świat, czyli rządy uzbrojonych po zęby tetryków, ogarniętych obsesją przemocy, kontroli i seksu spod znaku sado-maso. Metafory są dla mięczaków, Klata się w nie nie bawi. Książę Tezeusz i jego kompan, ojciec Hermii, przypominają więc mafiozów, do garniturów noszą karabiny, a młodych poddanych trzymają klęczących, z odsłoniętymi tyłkami, na smyczkach. Młodzi, potulni wobec starszych i silniejszych, odreagowują, stosując przemoc wobec słabszych: Lizander zgwałcił Hermię i na nią nasika, Hermia rzuci się z pięściami na Helenę. Elfi dwór Tytanii przypomina klub BDSM, a miejscem akcji jest wycięty las, szyderczo otoczony ekranami z hasłami ruchu #MeToo. I, co nie będzie dużym zaskoczeniem, nie ma co liczyć na szczęśliwy finał.



ANETA KYZIOŁ

## 50 lat minęło 3/6

**40-latek. Warszawski musical**, scen. i reż. Joanna Drozda,  
Teatr Rampa w Warszawie

**R**emont warszawskiej Trasy Łazienkowskiej wchodzi w kolejną fazę, a Teatr Rampa na Targówku w musicalu inspirowanym serialowym „Czterdziestolatkiem” cofa się do czasów, gdy jej budowę w latach 70. przemierzali inżynierowie w towarzystwie partyjnych oficjeli. Nie jest to jednak komentarz polityczny, np. do mocno osadzonych w klimacie epoki Gierka działań obecnej władzy (poza stylizowanym na balladę Grzesiułka songiem „Maliniaka nadszedł czas” z wplecionymi aluzjami do prezydenta Dudy). Joanna Drozda, która napisała i wyreżyserowała całość, a przy tym gra też rolę Kobiety Pracującej, z serialu Toeplitza i Gruzy wzięła główny temat męskiego kryzysu wieku średniego. Osadzona w peerelowskim entourage’u, między wersalką, trzepakiem i psującym się maluchem, akcja kręci się wokół absurdalnego nieporozumienia. Jego efektem jest występ Stefana Karwowskiego na festiwalu w Opolu i poprzedzający go przegląd atutów i wad starzejącego się, marudzącego i sztywnego inżyniera, męża i ojca, a w dalszej kolejności – rewizja patriarchalnych wzorców. Wszystko to jednak w sosie nostalgii i z bohaterami o mentalności sprzed półwiecza. Efekt obcości wzmacniają kreacje aktorskie – na granicy parodii serialowych pierwowzorów, zwłaszcza w głównych rolach Karwowskich (**Modest Ruciński i Anna Mierzwa**). Ciekawiej jest w drugim planie, gdzie błyszczą Arkadiusz Brykalski jako lekarz Karol (piosenka „Filozofia singla”) i Piotr Furman w epizodzie docenta Gajnego (z kwestią: „Prawdziwy mężczyzna jest hydrologiem”).



AK

## komiksy miesiąca

Nadchodzi  
czas dyktatury

**E**rsin Karabulut należy do najbardziej uznanych twórców tureckiego komiksu, a jego „Kroniki ze Stambułu” (przeł. **Ada Wapniarska, Timof Comics, 5/6**) – właśnie ukazał się pierwszy z planowanych trzech tomów – wpisując się w popularny ostatnio nurt opowieści autobiograficznych. Można je śmiało postawić na półce obok „Araba przyszłości” Riada Sattoufa. Nawet jeśli to dzieło mniej przenikliwe niż cykl syryjskiego artysty, to w podobny sposób łączy autoironię oraz karykaturalną kreskę z pełnym gorzki obrazem świata zdominowanego przez autorytarną władzę i coraz bardziej kontrolującego życie mieszkańców. Karabulut sam podpadł



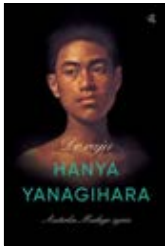
Erdoğanowi za karykatury umieszczane w prasie, więc traktuje swoją opowieść jako formę ostrzeżenia przed dyktaturą. Lektura na czasie przed nadchodzącymi wyborami. Inspiracją dla stworzenia „Contrition” (scenariusz: **Carlos Portela, rysunki: Keko, przeł. Marta Turnau, Nagle Comics, 4/6**) była prawdziwa historia miasteczka Miracle Village – amerykańskiej osady, w której – po odbyciu wyroku – mogli zamieszkać przestępcy seksualni. W komiksie nazwa miejscowości została zmieniona na tytułową „skruczę”, a osi fabuły są poszukiwania pedofila, który uciekł, pozorując własną śmierć. Bardzo sprawnie poprowadzona sensoryjna intryga jest jedynie pretekstem do często niewygodnych pytań. Gdzie są granice osobistej wolności? Jak społeczeństwo powinno traktować ludzi skazywanych za molestowanie dzieci? Czy osobista zemsta jest moralnie akceptowalna? Komiks hiszpańskiego duetu jest



ciężki i mroczny, bywa populistyczny, lecz jednocześnie to ciekawy przykład graficznej próby zmierzenia się z bardzo trudnym tematem. Wzburzone emocje pomoże ostudzić „Shamisen” (scenariusz: **Guilherme Petreca, Tiago Minamisawa, rysunki: Guilherme Petreca, przeł. Jakub Jankowski, Mandioca, 5/6**): hołd złożony japońskiej kulturze, mitologii, poezji, a przede wszystkim muzyce. Impulsem do jego powstania była biografia Haru Kobayashi, najślynniejszej wirtuozki shamisenu, lecz sama opowieść – historia niewidomej artystki przemierzającej świat bóstw, demonów i dziwacznych stworzeń – jest oczywiście w pełni fikcyjna. Poetycki, refleksyjny, pełen niedopowiedzeń album, który chwilami balansuje na krawędzi kiczu, lecz bez wątplenia ma wdzięk i ulotną lekkość. Raczej dla koneserów sztuki komiksowej niż poszukiwaczy mocnych wrażeń.



JAKUB DEMIAŃCZUK

książki Fragmenty książek na stronie: [www.polityka.pl/czytelnia](http://www.polityka.pl/czytelnia)

## Raj utracony 5/6

Hanya Yanagihara, **Do raju**, przeł. Jolanta Kozak, W.A.B., Warszawa 2023, s. 752

**T**a powieść jest skazana na sukces, bo głośne „Małe życie” (2016 r.) przyśporzyło amerykańskiej autorce wielu niecierpliwych fanów. Pytanie, czy ten gigantyczny rozgłos sprzed lat jej samej nie przytłoczył. Chyba nie. Nowa książka też jest pewnego rodzaju eksperymentem-konceptem, ale staranniej dopracowanym i eksplodującym wątkami. Yanagihara dzieli tę opowieść na trzy części, a każda opowiada o wymyślonych Stanach Zjednoczonych, począwszy od końca XIX w. aż po kres wieku XXI. Bohaterowie kolejnych części noszą te same imiona, ale to zupełnie różne postaci. Wspólne jest to, że małżeństwa jednej płci są dopuszczalne, a światem wstrząsają rozmaite kryzysy i wyzwania (kolonializm, kapitalizm, choroby). Ciekawe, że gdy znika istotne tabu seksualności, związki jednej płci powszechnieją. Głównym zmartwieniem zblazowanego



David Binghama z części pierwszej, dziedzica bankowej fortuny, jest właśnie wybór partnera: albo się uwikła w małżeństwo aranżowane (z mężczyzną, rzecz jasna), albo w romans, który wywróci do góry nogami jego spokojne, lecz niemrawe życie. David Bingham z części drugiej byłby może spadkobiercą tronu, gdyby USA nie wchłonęły Hawajów (autorka stąd pochodzi i jest to zawsze istotny temat jej książek). Trzecia część, poświęcona przyszłości, to już dystopijna wizja świata targanego kolejnymi pandemiemi. Szalona, ale w kontekście niedawnej pandemii koronawirusa – niepokojąco realistyczna. Jest w tej przepastnej powieści nerw naszych czasów, choć tytułowy raj nie nadchodzi. Zresztą w świecie odwróconych znaczeń raj równie dobrze może być piekłem. Yanagihara umie sprawić, że wyobraźnia pracuje.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



## Zbrodnia w Sokołowsku 4/6

Agnieszka Jeż, **Pomroka**, Wydawnictwo Luna, Warszawa 2023, s. 336

**A**utorka licznych romansów obyczajowych stworzyła już także trzyczęściową serię kryminałów z policjantką Wierą Jezierską w roli głównej. „Pomroka” jest otwarciem kolejnego cyklu, „Sprawy Soni Kranz”, której bohaterką jest również policjantka. Z Mazur, gdzie

rozgrywała się poprzednia seria, przenosimy się na Dolny Śląsk, i to w okolice mniej turystyczne. Sonia Kranz przybywa tu z dorastającą córką z Wrocławia, po rozstaniu z mężem, który opuścił ją dla innej kobiety, i obejmuje – jako komisarz – posterunek policji w Mieroszowie, co jest dla niej awansem, ale też może być odczuwane jako rodzaj degradacji. Poza bardziej znanym w okolicy Sokołowskiem, gdzie zostaje zamordowana i zgwałcona młoda dziewczyna, pojawiają się mniej odwiedzane przez turystów miasteczka z okolic Wałbrzycha: ów Mieroszków właśnie czy Chelmsko Śląskie. W tej ostatniej miejscowości na cmentarzu niespodziewanie bohaterka mija świeży grób z niemieckim nazwiskiem, który okaże się bardzo istotny w całej intrydze. Włączenie historii owych miejsc, które zostały opuszczone przez dawnych mieszkańców, a przez obecnych wciąż są traktowane jak nie swoje, jest plusem tej książki. To owa „pomroka dziejów” sprawiła, że ta opowieść zwodzi zarówno czytelnika, jak i samych bohaterów, z mordercą włącznie.

DOROTA SZWARCMAN



## Tożsamość zmieszana 4/6

Ishbel Szatrawska, **Toń**, Wydawnictwo Cyranka, Warszawa 2023, s. 406

**A**utorka powstałego w 2021 r. dramatu „Żywoć i śmierć pana Hersha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia”, nominowanego później do Paszportów POLITYKI, teraz napisała pełnowymiarową powieść „Toń” o Prusach Wschodnich i rodzinie, w której mieszkają się tożsamości: niemiecka, polska i litewska. Główną postacią jest Janka Lakis, krawcowa, która w czasie wojny trafiła na mazurską wieś, a potem samotnie (przy niewielkiej pomocy sąsiada) wychowywała syna Wolfa. Powieść toczy się na kilku planach czasowych: wojennym i powojennym oraz współczesnym, gdzie bohaterką jest Alicja, wnuczka Janki, córka Wolfa. Szatrawska opisuje czasy wojenne, tygiel przesiedleńców i uchodźców, który przelewał się przez te tereny. Nie było wiadomo, jaki kształt z tego wyniknie, kto jest obcy, a kto jest u siebie. Zmieszana tożsamość jest tutaj kluczem do zrozumienia tych terenów. Część historii toczy się w bombardowanym Königsbergu, w którym niemiecki lekarz operuje najpierw Niemców, a potem radzieckich żołnierzy. Szatrawska potrafi opowiadać i budować napięcie, tak, żeby powoli odsłaniać zagadki z przeszłości. Kim był ojciec Wolfa? Jaka była historia domu? Najmocniej zostaje w pamięci postać Janki, która musiała znaleźć siłę, żeby sprostać rzeczywistości. Temat uchodźczy łączy wszystkie wątki, bo chłopak Alicji jeździ na granicę polsko-białoruską. Ale ta część współczesna wydaje się przyszyta zbyt grubymi nićmi. Motywem powtarzającym się są też gwałty – wojenny ślad, który odciska się na życiu kobiet. I z kolei ten temat zasługiwałby na więcej uwagi. Ta powieść, przy całej sprawności narracji, nie daje możliwości wejścia w głąb, tylko pozostawia czytelnika za szybą.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

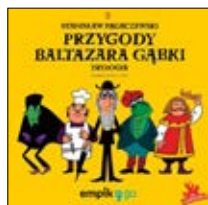
## do słuchania

### Wyprawy w czasie

Z jednej strony autorytarne i dzięki rozwojowi technologii mające nieograniczone możliwości kontroli i subordynowania obywateli państwo, z drugiej – równie potężna, prywatna korporacja, robiąca to samo bardziej subtelnymi metodami. A pomiędzy nimi para młodych ludzi. Autorzy nagradzanych dzieł z gatunku fantastyki naukowej Michał Protasiuk i Michał Cetnarowski w „**Roku 2084**” (Storytel) oddają hołd klasykowi George’a Orwella, szkicując obraz przyszłości, której załóżki już widzimy, z kluczową rolą Sztucznej Inteligencji, przenikającej każdy aspekt rzeczywistości. W role Romea i Julii z Londynu 2084 r. wcielają się Jakub Sasaki i Vanessa Aleksander, narratorem jest Grzegorz Damiński. AK



Mamma mia! Czy obsadzenie Roberta Makłowicza w roli Bartłomieja Bartoliniego, nadwornego kucharza księcia Kraka, to najlepszy casting w historii polskich produkcji audio? Niewykluczone. Lecz trzeba przyznać, że błyszczy cała obsada „**Przygód Baltazara Gąbki**” Stanisława Pagaczewskiego (Empik). Wiktor Zborowski jest przecież wymarzoną Smokiem Wawelskim, a Artur Barciś – profesorem Gąbką. Show kradnie zaś Sandra Drzymalska jako



Don Pedro, śpiew z Krainy Deszczowców. Dla wielu słuchaczy będzie to wyprawa w czasy dzieciństwa, gdy książki o Smoku i Gąbce czytało się z wypiekami na twarzy. JD

Sandrę Drzymalską można też usłyszeć w superprodukcji Wojciecha i Jerzego Oleksiaków „**Spalona ziemia**” (Audioteka), łączącej sensacyjną fabułę z bardzo ponurą wizją niedalekiej przyszłości, gdy państwa środkowej Europy stworzyły Republikę Arny. Polityczna utopia okazała się koszmarem. Kraj jest niszczonej przez przestępczość i korupcję, ludzie codziennie giną w zamachach, a przeciągająca się susza powoduje coraz większe napięcia w społeczeństwie. Na dodatek zbliżające się wybory stają się okazją do politycznych rozrachunków. Brzmi nieprzyjemnie znajomo? JD



Autorka podcastu „**Jak naprawić przyszłość?**” („Pismo. Magazyn Opinii”, Spotify, Apple, Google itp.) Barbara Sowa właśnie udało się na urlop macierzyński i chyba trudno o większy dowód wiary w wyrażoną w tytule podcastu możliwość naprawienia świata niż sprowadzenie tutaj nowego życia. Do dyspozycji słuchaczy pozostawiła 34 odcinki, w których rozmawia z ekspert(k)ami z rozmaitych dziedzin o przyszłości, która zaczyna się dziś, i o tym, jak możemy pozytywnie wpływać na jej kształt. Perspektywą jest rok 2050. AK

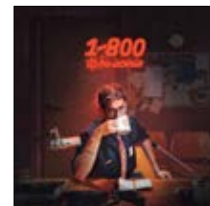


## na płycie

### Taco tęsknota 4/6

Taco Hemingway, **1-800-OŚWIECENIE**, 2020 Records

Na niedawnym stadionowym koncercie Dawida Podsiadły duet z Taco Hemingwayem okazał się ważnym punktem. Dwóch artystów z wczesnych roczników 90. wykonało duetowe „Całe lata” z tekstem, który okazał się ekspresją tęsknoty za utraconą młodością: „Lato trwało całe lata, teraz koło trzech tygodni/Lato dotyka inflacja, podatek od dorosłości”. Utwór trafił na nowy album Taco, „**1-800-OŚWIECENIE**”, który z pozoru jest uniwersalną opowieścią o przemijaniu snutą w formie (co niebyle oryginalne) nocnej audycji radiowej, ale szybko się okazuje, że psychoanalizie 33-letni autor poddaje tu sam siebie. W beatach – bardzo spójnych i w kontrście do tematu dość lekkich – wracają opary dzieciństwa: Edyta Bartosiewicz ze swoją „Jenny”, Grzegorz Turnau z „Cichosza” czy „Macarena” (sygnalizowana już w singlowym „Makarena Freestyle”), jeszcze jeden muzyczny hit lat 90. Radiowe dialogi i dialogowe dowcipy są słabsze niż same utwory, których układ – z wracającymi motywami – daje wystarczająco czytelny obraz konceptu. Goście (choćby Daria Zawiałow w świetnym wejściu w „Miksie sałat”) pomagają to wyostrzyć, a refleksyjny Taco przemawia na tyle szczerze, że warto posłuchać. BARTEK CHACIŃSKI



## festiwale

### Marka eksportowa

Unsound Festival, 1 – 8 października, Kraków

To już 21. edycja festiwalu nowej muzyki, który jesienią wypełnia sale koncertowe i kluby Krakowa. Kolejny cykl koncertów odbywa się pod czytaniem na dwa sposoby hasłem: Dada albo Data. To sugeruje zarazem pewien element chaosu, jak i zainteresowanie najnowszymi procesami związanymi z obróbką danych. W tę drugą definicję wpisze się występ Dadabots, prekursorów



muzyki wykorzystującej algorytmy sztucznej inteligencji. W tę pierwszą – koncert Lonniego Holleya, pierwszy w Polsce koncert 73-latką, który karierę muzyczną zrobił późno, wcześniej pozostając umiarkowanie znaną artystą wizualnym. Całemu programowi nie sposób odmówić różnorodności stylistycznej: z jednej

strony elektroniczny duet Autechre, z drugiej – czołowy gitarowy improwizator Bill Orcutt. Ważnym nurtem będą jak zwykle koncerty łączące krajowych i zagranicznych wykonawców – duet teksaskiej kompozytorki Claire Rousay z opisywaną w podkaście POLITYKI Martyną Bastą, albo gwatemalska wiolonczelistka Mabe Fratti z polskim perkusistą Hubertem Zemlerem i działającą w Krakowie Spółdzielnią Muzyczną. W grudniu Unsound jedzie po raz kolejny do Nowego Jorku, a do prestiżowego Lincoln Center zabierze m.in. polskich artystów: Martynę Bastę i Raphaela Rogińskiego. Na polu współpracy międzynarodowej ta marka to już instytucja.

BCH  
Szczegóły: [unsound.pl](https://unsound.pl)



Znachor 3.0, czyli Leszek Lichota w najnowszej ekranizacji. Po prawej: dotychczasowy klasyk z 1982 r. z Jerzym Bińczykim.

# Znachor na chore dusze

W ponurych czasach potrzebujemy pozytywnych opowieści, tłumaczą twórcy nowej ekranizacji „Znachora”, polskiego melodramatu wszech czasów, przywołując dwie poprzednie, z 1937 i 1982 r. Efekt jest bezpretensjonalny i wzrusza.

ANETA KYZIOŁ

# E

kranizacje Michała Waszyńskiego i Jerzego Hoffmana nie bały się obecnego w książce patosu. Wyreżyserowana przez Michała Gazdę i pokazywana przez Netflix wersja przenosi tę historię bliżej ziemi i bliżej współczesnej wrażliwości.

Dobrze tę różnicę oddaje już pierwsza scena operacji. Profesor Rafał Wilczur niczym demiurg przywraca gasnące życie. Tadeusz Dołęga-Mostowicz tak to opisał w powieści z 1936 r.: „Sinaworóżowawa poduszka płuca wzdęła się spazmatycznym oddechem i skurczyła się nagle. Raz, drugi, trzeci. Kawałek żywego mięsa w lewej dłoni profesora zadygotał. Z małej ranki na fioletową błonę spłynęło kilka kropli krwi. W oczach wszystkich obecnych

zamigotało przerażenie. Rozległ się cichy syk tlenu, a igła rekordu wniknęła znowu pod skórę chorego. Grube palce profesora ścisnęły się i otwierały rytmicznie. Jeszcze kilka sekund i ranka była oczyszczona. Cieniutka nić chirurgiczna miała teraz dokonać dzieła. Jeden, drugi, trzeci szew. To było wprost nie do uwierzenia, że te ogromne ręce zdolne są do takiej precyzji. Ostrożnie złożył serce i przez chwilę wpatrywał się w nie uważnie. Pęczniało i wiotczało nierównym tempem, ale niebezpieczeństwo już minęło. Wyprostował się i dał znak”.

W nowym filmie kamera pokazuje na zbliżeniu zamaskowaną twarz chirurga, widać narzędzia i słychać komendy, które wydaje instrumentariusze. Ale kiedy zobaczymy szeroki plan, ta ostatnia okaże się małą dziewczynką, sala operacyjna – mieszczańskim salonem, a zabieg to przyszywanie filcowego serca szmacianej



lalce. Jednak lekarz, choć sprawa dotyczy tylko zabawki ukochanej córki, jest w pełni profesjonalny i zaangażowany. Podobnie jak ekipa, która go powołała do nowego, ekranowego życia.

### Talent i serce

– Akcja toczy się w latach 20. i 30. XX w., mieliśmy więc konsultantów od różnych aspektów epoki, od wyglądu samochodów po operacje. Grający Wilczura Leszek Lichota uczył się ścięgu chirurgicznego, więc gdy przyszywa serce lalce, robi to w sposób, w jaki chirurdzy w tamtych czasach zszywali pacjentów – tłumaczy Magdalena Szwedkowicz, pomysłodawczyni i producentka nowej ekranizacji. I wylicza: do powstania filmu przyczyniło się ponad 2300 osób, samych statystów było 1700. Kostiumy sprowadzali z różnych części świata, bo w Polsce magazyny są likwidowane. Wjazd do filmowych Radoliszek kręcili w Muzeum Wsi Lubelskiej, przedwojenne Powiśle zagrał Zgierz, znaleźli młyn, ale koło musieli sami dobudować. W trwającej prawie rok postprodukcji głównie czyścili kadry z elementów współczesności, ale też odtworzyli wielką cerkiew, która stała na obecnym pl. Piłsudskiego w Warszawie.

Szwedkowicz dużą część zawodowego życia spędziła za granicą. Ostatnią dekadę jako wiceprezeska w Fox Networks Group. Restrukturyzacja wypchnęła ją na swoje i już jako niezależna producentka szukała nowego projektu. Na książkę Dołęgi-Mostowicza natknęła się w pandemicznym lockdownie i wsiądkła w opowieść o wybitnym lekarzu, który stracił rodzinę i pamięć, by po latach tułaczki i bezinteresownej pomocy ludziom otrzymać od losu szansę na szczęśliwe zakończenie. Chciała opowiedzieć tę historię ponownie, dla współczesnego widza. Dodatkową motywacją był jej ojciec, wybitny kardiolog z Kołobrzegu, który pomagał ludziom, a sam zmarł na zawał w Wigilię kilka lat temu.

– Ta historia zachwyca także dlatego, że jest uniwersalna. Dla mnie jest o miłości ojca i córki, ale to też opowieść o lekarzu z powołania i o ludzkiej bezinteresowności, serdeczności, i o poświęceniu. Każdego może tu wzruszyć coś innego – tłumaczy producentka. – „Znachor” to jest piękna historia, a ten mój personalny kontekst tylko dodatkowo mnie motywował, by ją jak najlepiej opowiedzieć na ekranie ze wspaniałymi ludźmi, którzy wierzyli w ten film tak samo jak ja.

### Podejście jazzowe

Reżyser Michał Gazda ma na koncie głównie seriale kryminalne i sensacyjne („Wataha”, „Odwrócenie”, „Belle Epoque” czy niedawny „Zachowaj spokój” według Harlana Cobena). Propozycja wyreżyserowania melodramatu go zachwycała. – *To trochę sytuacja jak z „Jurassic Park”: odtwarzamy z jakiegoś DNA wymarły gatunek* – tłumaczy obrazowo, odnosząc się do braku tego typu propozycji na rodzimym rynku filmowym. – *Jechałem na spotkanie z Magdą z jednym warunkiem: wchodzi w to, jeśli to nie będzie elevated genre, zabawa gatunkiem, tylko kryształowo czysty w intencjach, bezpretensjonalny melodramat.*

Wiadomość, że chodzi o „Znachora”, trochę go usztywniła, bo w przeciwieństwie do producentki zdawał sobie sprawę, jak ta historia jest wdrukowana w świadomość przynajmniej części widzów. – *Miałem obawy, ale osobista historia Magdy spowodowała, że poczułem, że to nie jest merkantylny projekt, skok na kasę.*

Podejście do książkowego oryginału scenarzystów nowego „Znachora”, Marcina Baczyńskiego i Mariusza Kuczewskiego, kojarzonych dotychczas m.in. z popularną filmową serią „Listy do M.”, można nazwać jazzowym. Tematy są te same, ale tony i barwy, z jakimi są odgrywane, są już autorskie, oddające ►

► współczesną wrażliwość. Od znaczących drobiazgów – jak to, że Beata Wilczurowa opuszcza męża nie w rocznicę ich ślubu, tylko w dzień urodzin ich córki – po dopisanie sprawczości kobiecym bohaterkom.

Napięcia między wsią i pałacem są zaznaczone, twórcy są świadomi ówczesnego antysemityzmu i istnienia obecnej fali literatury o wsi, dyskusji tożsamościowych, sugestywnie pokazana jest nędza robotniczych dzielnic Warszawy, a służba zdrowia, dostępna dla najbogatszych i z koneksjami, boleśnie odsyła do naszej rzeczywistości (w nieco satyrycznym ujęciu pojawia się nawet minister zdrowia na konferencji prasowej, a w szpitalu, w którym pracuje Wilczur, rządzi księgowość i PR). Wszystko to jednak nie przesłania lekko baśniowego klimatu. – *Oczywiście każdy twórca ma ambicję powiedzenia czegoś ważnego o rzeczywistości, ale przy tym filmie dość szybko o nich zapomniałem, pilnując się, żeby to, co robimy, było bezpretensjonalne i żeby trzymało się gatunku, który wybraliśmy* – zarzeka się Gazda.

Leszek Lichota, przygotowując się do roli Znachora, musiał dać dojść do głosu swoim najlepszym cechom, wydobyć najjaśniejsze barwy i emocje. – *To było wspaniałe uczucie być nim przez chwilę. Na dłuższą metę to pewnie nie do udźwignięcia dzisiaj, ale przecież każdy chciałby być dobry* – mówi. Przed zdjęciami przypomniał sobie poprzednie ekranizacje, chciał, by jego Znachor był współczesną kontynuacją kreacji Kazimierza Junoszy-Stępowskiego i Jerzego Bińczyckiego. – *Trochę sprowadziliśmy tego Znachora z obłoków na ziemię, odarliśmy go nieco ze świętości, dodając mu ludzki i męski rys* – tłumaczy aktor. I precyzuje: – *Dziś np. bardziej niż kiedyś jesteś skłonni uważać, że człowiek po przejściach ma prawo do kolejnej szansy na znalezienie spokoju i szczęścia, na ułożenie sobie życia*.

Z tym ostatnim wiąże się największa zmiana wobec książkowego oryginału – dopisana przez scenarzystów postać rzutkiej młynarki Zośki, w miejsce właściciela młyna Prokopa Mielnika. – *Dedykuję tę rolę swoim dziadkom, którzy mieli duże gospodarstwo na wsi i nauczyli mnie życia w rytmie natury, w bliskości z przyrodą. Dzięki Zośce mogłam do tego wrócić* – opowiada Anna Szymańczyk. Swojej bohaterce dała siłę – w rękach i w głębie, szczerą i prawdę. – *Wprowadzenie tej postaci powoduje też, że ludowizna, bohaterowie ludowi nie są masą, są zindywidualizowani, mają osobowości, charaktery, temperamenty* – zauważa Szymańczyk, aktorka warszawskiego Teatru Dramatycznego, która na swoim koncie ma także role Panny Młodej i Gospodyni w „Weselu” Wyspiańskiego w krakowskim Teatrze STU.

Dojrzała relacja Znachora i Zośki jest kontrpunktem dla naiwnej, narwanej i pierwszej miłości Marysi i hrabiego Leszka Czyńskiego, w tej wersji młodszych niż w poprzednich, co uwiarygodnia wysoką temperaturę tego zauroczenia. Maria Kowalska i Ignacy Liss z dużym wdziękiem grają niemal współczesnych młodych ludzi. – *Moją rolę z jednej strony budował kontekst i otoczenie, czyli kostium, pałac, służba, a z drugiej, poprzez styl bycia i zachowanie Czyńskiego chcieliśmy się skontaktować z młodszą widownią* – tłumaczy Liss. Nowa Marysia z kolei, nie tracąc szlachetności, zyskuje zdecydowanie i temperament. – *Mam ogromny szacunek do pani Anny Dymnej. Pochodzę z okolic Krakowa i podziwiałam panią Annę często na deskach teatru* – tłumaczy Maria Kowalska, odnosząc się do swojej słynnej poprzedniczki w roli Marysi w filmie Hoffmana. – *Jednak gdy przeczytałam scenariusz, poczułam, że mam szansę stworzyć Marysię, która będzie moja. Bo tutaj to jest*

*postać, która jest sprawcza, odważna, podchodzi do życia w bezkompromisowy sposób, choć bywa też delikatna. Moi dziadkowie uwielbiają tę historię i jest w tym coś magicznego, że ja teraz mogę w tym świecie zaistnieć na własnych prawach, i oni będą mogli zobaczyć i odkryć „Znachora” ze mną na nowo.*

## Głód pozytywów

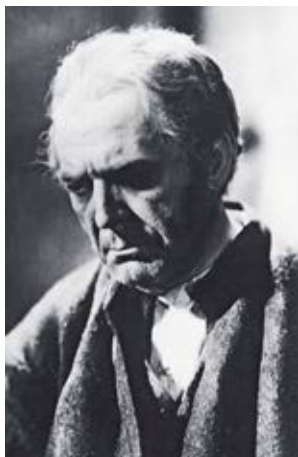
Tadeusz Dołęga-Mostowicz napisał „Znachora” w 1936 r. jako scenariusz filmowy. Autor „Kariery Nikodema Dyzmy” był już wtedy „najpopularniejszym, najmodniejszym i najlepiej sprzedającym się autorem II Rzeczypospolitej, a także dziennikarzem, scenarzystą, wizjonerem, bon vivantem, królem życia oraz twórcą szmiry i tandety (ale tak nazywali go tylko zawistni koledzy po piórze i przemądrzały krytycy literaccy)” – jak z okazji wydania biografii pisarza „Parweniusz z rodowodem” Jarosława Górskiego pisał w „Książkach. Magazynie do Czytania” Cezary Łazarewicz. „Zarzucono mi, że tworzę same czarne charaktery w moich powieściach. Uznałem słuszność tych zarzutów i w »Znachorze« dałem same dodatnie, dobre charaktery” – tłumaczył się z wysokiego stężenia dobra w nowej książce autor. Filmowców to jednak nie przekonało. „Nie ma w nim dramatu” – orzekli, co pewnie było komentarzem do faktu, że choć fabuła w dramacie obfituje, to główny bohater nie przechodzi przemiany, od początku do końca pozostając dobrym, poczciwym i prawnym. Nie tak się pisze scenariusze.

Widownia miała jednak własne zdanie. Gdy pisarz przerobił scenariusz na powieść i drukował ją w odcinkach w gazetach, nakłady sięgały astronomicznych wysokości. Hitem był także zrealizowany w końcu na tej fali popularności film Michała Waszyńskiego z Kazimierzem Junoszą-Stępowskim i Elżbietą Barszczewską w rolach głównych. Do wybuchu wojny obejrzało go kilkanaście milionów widzów. Powstał sequel, „Profesor Wilczur”, a jesienią 1939 r. premierę miał mieć trzeci z serii, „Testament profesora Wilczura”, powstający już pod nadzorem pisarza. Zdjęcia skończono w sierpniu. Wybuch wojny zmiotł plany, film zaginął, a Dołęga-Mostowicz 20 września 1939 r. zginął od kuli czerwonoarmistów, gdy śladem polskiego rządu ewakuował się

do Rumunii, ale po drodze zatrzymał się w ukraińskich dziś Kutchach, w obwodzie iwanofrankińskim, by z wojskowej ciężarówki rozdawać mieszkańcom chleb. Mająca premierę w ponurym 1982 r. druga ekranizacja „Znachora”, z Jerzym Bińczykiem, Anną Dymną i Tomaszem Stockingerem w obsadzie, była równie wielkim sukcesem co pierwsza i wrzusa do dziś. – *W tamtych czasach, epoce „Kobiety samotnej”, „Przypadku” – kina moralnego niepokoju, robienie ostentacyjnego, bezpretensjonalnego melodramatu było wręcz filmową prowokacją. Ludzie to docenili i kupili, bo na te dwie godziny mogli zapomnieć o tym, co jest wokół* – analizuje Michał Gazda. I zauważa: – *Kontekst naszego filmu jest inny, ale wokół też jest dość ponuro, czasy znowu są trudne. Nie pamiętam, żeby nasze społeczeństwo było tak podzielone, jak teraz, jest niemiło. Gdy Magda przszła do mnie z propozycją reżyserii „Znachora”, to ledwie zdjęliśmy maseczki, dzieci lądowały u psychologów, a jak zaczęliśmy kręcić, to wybuchła wojna – w takim anturazhu powstawał ten film.*

Nowy „Znachor” z powodzeniem odpowiada na dzisiejszą potrzebę pozytywnego bohatera i wruszającej historii z happy endem. Oraz zaangażowanego lekarza z powołaniem.

ANETA KYZIOŁ © NAC



Kazimierz Junosza-Stępowski jako Znachor w filmie z 1937 r.

# Panuję nad głosem

W pracy solowej wchodzę do pustej przestrzeni i rozglądam się jak John Travolta w memach, potem sama muszę ją zapełnić – mówi Hania Rani, podziwiana na świecie polska pianistka i kompozytorka, w przededniu wydania płyty „Ghosts”.



**Hania Rani** (Hanna Raniszewska, ur. 1990 r.) – klasycznie wykształcona pianistka, absolwentka warszawskiego Uniwersytetu Muzycznego, kontynuowała studia w Berlinie, dzieli swój czas między te dwa miasta. Wielokrotna zdobywczyni Fryderyka, nominowana do Paszportu POLITYKI za rok 2019. Autorka trzech solowych albumów, licznych soundtracków filmowych i teatralnych, niedługo półówka duetu Tęskno. Jej nowy album „Ghosts” ukaze się 6 października.

MICHAŁ WIECZOREK: – **Masz pracowity rok – dwa nowe albumy, pierwsze koncerty w Australii, trasy po Europie, Kanadzie i Stanach, tylko kilka występów w Polsce. Gdzie można cię teraz spotkać najczęściej?**

HANIA RANI: – Jakiś czas temu wróciłam do Berlina. Znów krążę wokół tego miasta. W Warszawie bywam przede wszystkim zawodowo, bo kocham nagrywać w studiach Polskiego Radia. Najczęściej jednak można mnie spotkać w tym roku na scenie, gdzieś w świecie. Gram dużo koncertów związanych z premierą „Ghosts”, mojej trzeciej solowej płyty. To na scenie czuję się ostatnio najbardziej w domu. Lubię być w ruchu, lubię pracować. To mi daje spełnienie – w wielu miejscach czuję się dobrze.

**Co w tym ruchu jest najcenniejsze?**

Podróż wiąże się z refleksją – świat jest bardzo różny, różne zasady rządzą

kulturami, człowiek zaczyna się zastanawiać nad sobą. Występowanie w nowych miejscach uczy pokory – muszę zaczynać od początku, od małych sal, nie zawsze jest komfortowo pod względem technicznym – i przywraca kontakt z rzeczywistością. Łątwo jest zagrać kolejny raz w mieście, które uwielbia moją muzykę. Jak Paryż, gdzie za każdym razem gram w większej sali. Ale ważne jest, by pojechać gdzieś pierwszy raz. Muszę się wtedy bardziej postarać, zaprosić nową publiczność. Cały czas każe mi to walczyć z moim ego.

**Wszystkie twoje płyty są pełne refleksji i autorefleksji. „Ghosts” jest jednak pod tym względem wyjątkowa, bo poświęciłaś ją odchodzeniu, umieraniu, duchom, granicy między życiem a śmiercią.**

W pewnym momencie, po kilku latach tworzenia własnej muzyki – a zajmuję się

muzyką w zasadzie od siódmego roku życia – i opowiedzeniu pierwszych historii, chciałam zabrać się za tematy, które są dla mnie ważne. Dotykam na „Ghosts” tematów ostatecznych również dlatego, że są ryzykowne. Poprzednie płyty, „Esję” i „Home” wydałam rok po roku, a potem rzuciłam się w wir pracy – pisałam muzykę do filmów, współpracowałam z innymi artystami. „Ghosts” nie są kontynuacją, ale nie są też zerwaniem. Gdy postanowiłam, że będą nowym otwarciem, zaczęłam się przyglądać sobie, kim jestem dzisiaj, co mnie interesuje, co jest dla mnie ważne, ale też szukałam czegoś, co pozwoli mi wyjść poza utarte ścieżki, poza schematy, z którymi jestem kojarzona. Jednym z tych elementów było przyglądanie się tematom, które są przerażające, trudne albo po prostu trzeba się do nich ustosunkować, nie zostawiają nikogo obojętnym. ►

## ► **Temat pogranicza życia i śmierci interesował cię od dawna?**

Tak, pamiętam fascynację „Dziadami” Mickiewicza jeszcze z czasów licealnych. Później przyszedł Murakami i literatura japońska. W jego opowieściach hiperrealistyczny, współczesny świat miesza się z duchami. Zresztą, tak samo jest w filmach studia Ghibli, jak w „Spirited Away”. Te duchy są oderwane zarówno od aspektu religijnego, jak i makabrycznego, rodem z Halloween. Mają wymiar pamięci, wspomnień i spotkania ze śmiercią, bo przecież duch to osoba, która już nie żyje. Do tego moja mama jest lekarką, więc temat życia i śmierci przewijał się bardzo mocno przez moje życie. Również w dosłowny sposób – sama doświadczyłam straty. Pomyślałam, że to jest właściwy moment na przyjrzenie się temu doświadczeniu. Sztuka – muzyka szczególnie – potrafi te tematy opakować w bardzo abstrakcyjny sposób. Ktoś, kto będzie chciał mocno wejść w tę płytę, dowiedzieć się, o czym myślałam, tworząc ją, może zastanowić się nad śmiercią. Dla kogoś innego to będzie po prostu muzyka zawieszona na granicy rzeczywistości i nierealności.

### **„Ghosts” w większości powstało w Szwajcarii, tak jak skomponowana przez ciebie ścieżka dźwiękowa do filmu o Alberto Giacomettim.**

Spędziłam ten czas w starym domu, w którym kiedyś mieściło się sanatorium. To był przypadek – po prostu zdecydowałam się wynająć studio w tym budynku, który wyglądał niczym żywcem wyjęty z książek Olgi Tokarczuk. Dlatego to jej tekst otworzył płytę, za co jestem jej bardzo wdzięczna.

### **Co to będzie za tekst?**

Początek „Biegunów”, który uważam za bardzo klarowne podsumowanie tego, o czym opowiadam na płycie.

### **Dlaczego akurat to miejsce skłoniło cię do zajęcia się sprawami ostatecznymi?**

To sanatorium przypomina też oczywiście „Czarodziejską górę” Tomasza Manna. Przywodzi na myśl legendy wokół szwajcarskich gór i artystów, którzy przyjeżdżali w Alpy podleczyć zdrowie, ale też zwykłych ludzi, którzy chcieli coś przeżyć. To jedno z takich miejsc naznaczonych historią, wobec których trudno pozostać obiektywnym. Wpływ na płytę miały też otoczenie i pora roku – byłam tam zimą. Sanatorium znajduje się w górskiej dolinie, słońce zachodziło bardzo szybko za szczyty, dzień trwał kilka krótkich godzin. Obecność artefaktów i wystroju sprzed 100 lat napędzała wyobraźnię i potęgowała wrażenie odebrania od rzeczywistości. Oczywiście

można sprawdzić wiadomości w internecie, ale czas biegnie tam zupełnie inaczej. Po zmroku mogłam w zasadzie tylko komponować.

### **Próbowałaś się dowiedzieć, kto w tym sanatorium spędzał czas?**

Nie, poznałam tylko ogólną sytuację tego miejsca. Wiele jest takich opustoszałych, wielkich hoteli, w których podobno mieszkają duchy dawnych mieszkańców.

### **Jaki jest stosunek dzisiejszych Szwajców do tych opowieści?**

W Szwajcarii, w tym konkretnym miejscu, duchy są częścią życia codziennego. Moja przyjaciółka Susanna Fanzun, reżyserka filmu o Giacomettim, powiedziała mi, że te duchy mają tam nawet swoje imiona. W tym hiperrealistycznym XXI w. ludzie wierzą w duchy. To mi się bardzo spodobało i dlatego na przykład okładka jest utrzymana w hiperrealistycznej estetyce. Sama muzyka i sposób opowiadania na albumie są bardzo współczesne.

### **Czym jest dla ciebie duchowość?**

W mojej interpretacji to wiara w coś, czego nie widać, co musimy sobie wyobrazić. Historie są oparte na wierze, dlatego też są częścią sfery duchowej. Tak samo przekazywanie ich. Duchowość poszerza optykę o rzeczy, które nie są z racjonalnego punktu widzenia możliwe.

### **Wspomniałaś, że w „Ghosts” pojawi się fragment „Biegunów”, wcześniej wykorzystano fragmenty zaczerpnięte od Schulza i Lutosławskiego. Czujesz się ambasadorką polskiej kultury?**

Mam nadzieję, że nasiąkam całym Brunonem Schulzem i całą Olgą Tokarczuk, całym Lutosławskim, że mam tę cząstkę, która jest w nich, bo są częścią mojej kultury. Te teksty pozwalają mi przemycić moją własną, polską historię i pochodzenie, których nie mam okazji, ale i potrzeby, podkreślać. Bardzo się cieszę, że przy trzeciej płycie odnoszę się do twórczości kobiety, i to od razu noblistki, której nie trzeba przedstawiać w świecie. Może jednak dla kogoś będzie odkryciem, może ktoś w Australii albo Japonii dowie się czegoś o moim kraju.

### **Takie było zamierzenie od początku?**

Wybór tylko polskich tekstów na początku nie był bardzo świadomy. Stał się taki z czasem, „Ghosts” to już trzeci album, w którym wykorzystuję polski tekst kultury. Zaczęło się od tego, że po prostu uwielbiam ten tekst Lutosławskiego o ciszy i mam ogromną potrzebę dzielenia się ciekawymi zjawiskami. Lutosławski jest wielką, znaczącą postacią w świecie muzyki i chyba trochę niezbyt poznaną na naszym lokalnym, polskim podwórku, poza środowiskiem muzyków klasycznych.

Tekst Lutosławskiego jest bardzo przeurotny, bo opowiada o takiej muzyce, którą robię ja – lecącej w tle, minimal music. Potem pojawiło się „Home” i tekst Schulza, który jest dla mnie manifestem od lat. Bruno Schulz jest moim ukochanym polskim pisarzem i to opowiadanie [„Samotność” ze zbioru „Sanatorium pod Klepsydrą” – red.] traktuję jako apoteozę wyobraźni, możliwości ludzkiego umysłu.

### **Skąd w tobie ta odwaga, żeby tak zmieniać swoją muzykę?**

To banał, wiem, ale zmiana jest jedyną stałą w życiu. (*śmiech*) Artyści, których uwielbiam, ciągle się zmieniają, eksperymentują. Ja też więcej śpiewam, są nowe instrumenty, ale wszystko jest ciągle przefiltrowane przez moją wrażliwość. Trochę przygotowywałam publiczność na koncertach – dodawałam do kompozycji nowe elementy, aranżowałam stare. Pokazywałam, że moja muzyka nie jest wykuta w kamieniu, że może się zmieniać. Słuchacze zaczęli się do tego przyzwyczajać. Na pewno znajdują się ludzie, którzy najbardziej lubią mnie za pianinem i dla nich jest soundtrack do „On Giacometti”, bardzo klasyczna Hania Rani. Mam też słuchaczy, którzy idą ze mną. Przy zleceniu na ścieżkę dźwiękową często dostaję od reżysera referencje typu: „chcemy, żeby brzmiało to jak Hania Rani z »Esjic«”. Tylko mnie taki powrót nie bardzo interesuje. Jedyne, co mogę zrobić, to zabawić się instrumentacją i aranżacją. Od razu zmienia się charakter. Pisząc „Ghosts”, świadomie wybierałam instrumenty, którymi opakowuję swoją historię. Są współczesne i retro jednocześnie, korzystam z vintage’owych syntezatorów. Śmieję się, że przyciągnę teraz fanów Jeana-Michela Jarre’a.

### **„Ghosts” wyróżnia się też tym, że pojawiają się tu też twoje najprawdziwsze, pierwsze piosenki. Ty sama dużo śpiewasz.**

Przez to, że gram całe życie, muzyka jest dla mnie bardzo fizyczną aktywnością, związaną z moim ciałem. Na nagraniach słyszę, kiedy byłam w najlepszej formie, jestem świadoma swojego ciała. Pisząc i nagrywając „Ghosts”, poczułam, że mój głos jest gotowy do tego, żeby wyrazić się w nowy sposób. Korzystam z niego często i traktuję po prostu jako kolejny instrument. Często tekst stanowi pretekst albo w ogóle go nie ma, bo śpiewam w niby-języku. Teraz dobrze się czuję ze swoim głosem, chyba zaczęłam nad nim panować. Może za dwa lata będzie on jeszcze inaczej brzmiał.

**Kilkukrotnie podkreśliłaś, że „Ghosts” to twoja trzecia płyta, ale tak naprawdę nagrałaś ich trochę więcej.**

Po pierwsze, praca nad ścieżką dźwiękową zawsze jest pracą z kimś i dla kogoś. To przecież typowa praca na zamówienie. Zlecającym i podejmującym główne decyzje jest reżyser, który daje mi świat do eksplorowania. Nawet jeśli muzyka jest bardzo autorska, czasem zdarza się, że reżyser jest bardzo otwarty, zapewnia mi dużo wolności, ale to on pokazuje mi świat. Dlatego „Ghosts” to moja trzecia solowa płyta – bo sama buduję na niej świat od zera. Również nagrane z Dobrąwą Czocher „Inner Symphonies” to świat bardzo skrupulatnie skonstruowany, tyle że przez dwie osoby, z których każda daje dużo od siebie. W pracy solowej wchodzę do pustej przestrzeni i na początku rozglądam się jak John Travolta w memach, potem sama muszę ją zapełnić.

**Zagrałaś w paryskich Les Invalides, w Polsce też wyprzedajesz coraz większe kluby. Nie tak dawno Dawid Podsiadło i Sanah zagrali na Stadionie Narodowym wyprzedane koncerty, chcesz iść w ich ślady?**

Nie wiem, czy marzy mi się akurat Narodowy, ale lubię grać dla dużej publiczności. Zdarzyło mi się w tym roku zagrać na dużych popowo-alternatywnych festiwalach na otwartej przestrzeni. Zdawałoby się, że wielka scena – jak na stadionie – wymaga innej muzyki albo innego podejścia. Chociaż Ed Sheeran czy José González – artyści bardzo dalecy ode mnie – grają sami od lat i też wyprzedają stadiony. Mają na tyle silną osobowość i charyzmę, że wypełniają całą tę wielką

przestrzeń i utrzymują uwagę ludzi. Czy ja również to mam? Nie wiem, ale nie bałabym się tego sprawdzić. Mam nadzieję, że moja muzyka mogłaby wypełnić tak dużą, otwartą przestrzeń. Dużo bardziej stresują mnie intymne sytuacje, kiedy wszyscy patrzą mi na ręce.

**Unikasz teraz tych mniejszych występów?**

Zdarza mi się zagrać w małej sali – jak w lutym na koncercie benefitowym Okna dla Ukrainy w warszawskim Spatifie. To sprawa bardzo mi bliska, wydarzenie zorganizowali znajomi, nigdy nie grałam w tym miejscu – to wszystko sprawiło, że pokonałam ten stres.

**Nie tylko tak zaangażowałaś się w pomoc Ukrainie. Wydałaś specjalny singiel, z którego cały dochód przeznaczaś na pomoc ofiarom wojny.**

Trudno angażować się we wszystko, choć są ludzie, którzy starają się to robić i niezwykle ich podziwiam. Mnie jest trudno zaangażować się we wszystkie problemy, o których czytam. Wstrząsnęła mną ta wojna, nie dość, że dzieje się zaraz obok, to można jeszcze ją oglądać prawie na żywo. „Kyiv” to utwór bez słów, nieprzerysowany, jest subtelnym znakiem zaangażowania, a jednocześnie bardzo jasnym. Niewiele mnie to kosztowało, a zebrała się poważna suma. Głupio by było tego nie zrobić, skoro mogłam. Dystrybutorzy i wydawca zrezygnowali ze swoich prowizji, to miły gest.

Wojna pojawia się też na „Ghosts” w postaci utworu „Moans”, który jest tak naprawdę tekstem o wojnie – to moje wyobrażenie tego, co może myśleć człowiek, który może za chwilę umrzeć, za chwilę może wszystko stracić.

**Spodziewałaś się, że wydana cztery lata temu płyta „Esja”, nagrana na pianinie, zabierze cię w taką podróż?**

Absolutnie nie. Nie spodziewałam się, że ta skromna płyta, zagrana tylko przy pianinie – tam nie ma żadnego innego instrumentu – stanie się tak ważna dla wielu ludzi. A miała być tylko wprawką przed „prawdziwym” debiutem. Do tej pory ludzie poznają moją muzykę poprzez „Esję” i cały czas mnie to zaskakuje.

**A nie żałujesz mimo wszystko, że nigdy nie zagrasz na konkursie chopinowskim? Ukończyłaś dwie akademie muzyczne, zapowiadałaś się na świetną klasyczną pianistkę, ale wybrałaś inną drogę.**

Przez lata było to moim największym marzeniem, do dzisiaj śledzę Konkurs z wypiekami na twarzy, jeśli tylko mam na to chwilę. To są wspaniałe wykonania, bardzo inspirujące, ale nie żałuję, że mnie to omija.

**Czyli wybór, by zająć się własną muzyką, a nie klasyką, był trafny?**

Jak najbardziej, chociaż przeżywam wielki powrót do słuchania muzyki klasycznej. Teraz, po latach grania swojej muzyki, zupełnie inaczej na nią patrzę. Inaczej też patrzę na swoją edukację muzyczną. Wiem, że wielu muzyków nie znosi polskiego systemu edukacji muzycznej, ale ja mam dobre wspomnienia z tego czasu. Jestem wdzięczna pedagogom, którzy zaszczepili mi wrażliwość nie tylko na muzykę, ale po prostu na sztukę. Wspierają mnie do dziś – choć jestem w zupełnie innym miejscu, bardzo odległym od świata muzyki klasycznej.

ROZMAWIAŁ MICHAŁ WIECZOREK

REKLAMA



## POWIEŚĆ LAUREATKI PULITZERA I PODWÓJNEJ ZDOBYWCZYNI NAGRODY WOMEN'S PRIZE FOR FICTION!

Poruszająca historia o tożsamości, w której zawarta jest cała głębia i bogactwo kultur Nowego Świata.

Książka porównywana przez krytyków do kultowych  
**STU LAT SAMOTNOŚCI** Gabriela Garcíi Márqueza.



WYDAWNICTWO ALBATROS

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

# Naloty na noty

Nadal zdarza nam się oceniać książki po okładkach, a filmy po zwiastunach. Przypadek ostatniego filmu Agnieszki Holland przypomina, że gwiazdki przyznawane w sieci często więcej mówią o odbiorcach niż o samych dziełach.

**P**rzyjęcie „Zielonej granicy” Agnieszki Holland w internecie to barometr nastrojów społecznych w przededniu wyborów.

A przy okazji być może zbiorowy mechanizm obronny – tragiczny los uchodźców na wschodniej granicy, zdanych wyłącznie na wolontariuszy i łaskę okolicznych mieszkańców, nie wystawia ludzkości najlepszego świadectwa. Temat jest niewygodny, a film został zawczasu zbojkotowany. Nie tylko przez prawicowe władze i wtórujące im media, ale i przez reszcie widzów. Kilkanaście dni przed premierą w polskich kinach „Zielona granica” miała na Filmwebie skromną notę 2,5/10. To średnia z ok. 6 tys. ocen – wystawionych w ciemno, a w najlepszym razie na podstawie zwiastuna.

– W historii Filmwebu zdarzały się już filmy i seriale, które polaryzowały widzów i budziły skrajne emocje, jednak skala i intensywność reakcji wokół „Zielonej granicy” są bezprecedensowe – przyznaje Krzysztof Michałowski z redakcji Filmwebu. Dlatego portal zdecydował się pokazywać średnią ocen przyznawanych przez społeczność (bo osobno punktują filmy krytycy, którzy film widzieli na zamkniętych pokazach) rodzimym produkcjom dopiero w dniu ich polskiej premiery. W przyszłości może też wykluczyć głosowanie na filmy, które nie miały w kraju pokazów dla publiczności.

## Dzieła do anulowania

Ze zjawiskiem zмага się nie tylko Polska. Na Zachodzie ma ono już nawet swoją nazwę: *review-bombing*. Dosłownie: bombardowanie recenzjami dzieł kultury (książek, filmów, gier wideo), zanim jeszcze będą powszechnie dostępne, żeby przedpremierowo je wesprzeć albo im z góry zaszkodzić. A czasem i popremierowo. Chodzi zwykle o skoordynowane, zmasowane akcje, dlatego średnia ocen spada radykalnie i szybko. Czasem to robota botów, często skrzykujących się widzów, zawsze dowód na to, że konkretny tytuł jest w centrum zainteresowania albo jest przedmiotem głębszej kontrowersji. Dlatego szum medialny,

zwykle pożądaný, w tym przypadku obraca się przeciwko twórcom.

„New York Times” opisywał niedawno sprawę powieści Cecili Rabess, którą jeden z pierwszych czytelników streścił na portalu Goodreads (amerykański odpowiednik Lubimyczytac.pl). Zarys historii czarnoskórej kobiety zakochującej się w białym bigocie nie przypadł publiczności do gustu. I choć książka – debiutancka! – miała się ukazać za pół roku, zdążyła już zebrać wórné jednogwiazdkowych recenzji. Część internetu uznała ją z góry za rasistowską i niewartą zachodu. Sama Rabess, notabene czarna Amerykanka, komentowała, że to „szeroko zakrojona kampania nękania”, wymierzona i w powieść, i w nią osobiście.

Popularna także w Polsce pisarka i publicystka feministyczna Roxane

Gay zdziwiła się z kolei jakiś czas temu, że w sieci są recenzowane nawet te książki, których jeszcze nie skończyła pisać (a pojawiły się w zapowiedziach). „The Winds of Winter” George’a R.R. Martina zebrała na Goodreads ponad 11 tys. ocen (średnia 4,4), a nie ma nawet daty premiery. Książka krąży na razie jako legenda. Autor, przygnieciony sukcesem serialowej „Gry o tron”, zupełnie się nie spieszy. Elizabeth Gilbert, o czym wspominaliśmy na łamach (POLITYKA 33), odsądzano z kolei od czci i wiary za umieszczenie akcji nowej powieści na Syberii, choć Rosja toczy właśnie wojnę z Ukrainą. Autorka odłożyła premierę na nieokreślone „kiedy indziej”. Jak zauważyła „New York Times”, tsunami oczekiwań, presji i pretensji wyrażanych w social mediach i na portalach podmyło



ILUSTRACJA SYLWIA MARKIETA

pewność siebie niejednego autora. Niektórzy, zwłaszcza debiutanci, „anulowali” z tego powodu już zaplanowane premiery. Inni nie wychylają się z poglądami i nie wdają w dyskusje na Facebooku czy Twitterze (dziś X), by w odwecie nie zalała ich fala negatywnych ocen.

## Trolle atakują

Portale, które jednocześnie tworzą bazy danych i zbierają oceny, są na takie bombardowania narażone. Wydawcy, producenci i twórcy na trudnym i wysyconym rynku zwykle działają z wyprzedzeniem, konkurują o uwagę, pompują oczekiwania. A odbiorcy nie wstrzymują się z werdyktem do premiery. Jeśli Holland kręci film o uchodźcach, to nikt się chyba nie spodziewa, znając pobieżnie jej poglądy i dorobek, że składa hołd służbom granicznym i rządowi PiS. Tak jak nikłe były szanse na to, że „Kler” Wojciecha Smarzowskiego będzie się starał przypochlebić Kościołowi. Romansów z „Auschwitz” w tytule na ogół nie traktuje się jak opartych na faktach powieści historycznych. To jeszcze nie uprawnia do ocen, ale wszystkie te przedpremierowe opinie więcej mówią o oczekiwaniach i emocjach niż o jakości, a nawet treści samych dzieł. Przekonał się o tym także krytyk Tomasz Raczek. „Trolle zaatakowały moją recenzję filmu »Zielona granica« na YouTube! Stopień bezrozumnego hejtu i ordynarności sięgnął zenitu” – relacjonował na FB. Film zebrał prawie 3 tys. komentarzy. „Ależ nam wzrosła liczba kinomanów w ciągu niecałego tygodnia!” – puentuje nie bez racji jedna z widzerek.

Pytanie, czy awantury w sieci, zaniżane albo zawyżane noty przekładają się na rozgłos, odbiór dzieła i sprzedaż. Magazyn „Forbes” podaje przykłady zarówno potwierdzające istnienie takiego mechanizmu, jak i takie, które mu przeczą – dochodzi do wniosku, że noty nie odbijają się wprost na wynikach konkretnych dzieł, ale oddają klimat, jaki im towarzyszy. „Top Gun: Maverick” zebrał entuzjastyczne recenzje i od fanów kina w Ameryce (99 proc. w serwisie Rotten Tomatoes), i od krytyków (96 proc.), i rzeczywiście wdarł się na ekrany przebojem, ratując honor Hollywood po latach pandemijnej posuchy. Ale już superbohaterki „Shazam! Gniew bogów” (2019 r.) podobał się bardziej odbiorcom (86 proc.) niż krytykom (47 proc.), a mimo to szoruje po kasowym dnie. Komedie romantyczne i romanse – zarówno filmy, jak i książki – odwrotnie. Sprzedają się mimo niskich not. „Kapitan Marvel” (2019 r.) ze stajni MCU oberwała w sieci

rykoszetem za wypowiedź odtwórczyni głównej roli Brie Larson, która stwierdziła, że mężczyźni nadal rządzą prasą filmową. Produkcja przetrwała ten „nalot bombowy” i zarobiła 1,1 mld dol. A portal Rotten Tomatoes uprawnia do głosowania już tylko tych, którzy dowiodą, że kupili bilet do kina.

Duże znaczenie ma sam efekt skali – im więcej ocen, tym relatywnie mniejsze ryzyko przekłamań. Jak wyjaśnia POLITYCE prezeska Lubimyczytac.pl Izabela Sadowska, portal zebrał już w sumie 31 mln ocen od 3 mln osób. – *Gwiazdki są ważne dla naszych użytkowników, ale równie ważna jest liczba ocen i opinii, którą wszędzie podkreślamy, bo to ona gwarantuje rzetelność. Czytelnicy potrafią wzajemnie doskonale weryfikować swoje czytelnicze zachowania, typy oraz opinie. To bardzo duża i świadoma społeczność* – zapewnia Sadowska. Portal pracuje nad dodatkowym systemem weryfikacji ocen, ale nie wyłączy głosowania na książki, które polską premierę mają jeszcze przed sobą. Bo ktoś się jednak przed premierą czyta, w tym influencerzy, recenzenci i osoby sięgające po tytuły w oryginale. Filmweb z kolei zapewnia POLITYKĘ, że nie ingeruje w oceny, nie zeruje nawet lekko zafałszowanych liczników i nie planuje w przyszłości tego robić. Ufa swojej społeczności.

## Nie obniżaj lotów

Zdaniem „Forbesa” najbardziej opinio-twórcze, a najmniej doceniane są przy tym recenzje gier wideo. W branży wojują czasem ze sobą entuzjaści poszczególnych konsol i jeśli gra ukazuje się na PlayStation, a na Xboxie już nie (lub na odwrót), to któreś z plemion zawsze się o to upomni albo „za karę nie zagra” – i jeszcze przyzna złą ocenę. Długo wyczekiwany grom nie wybacza się też niedoróbek. To przypadek m.in. „Cyberpunka 2077”, który z biegiem czasu i w miarę usuwania usterek zdobywa na Steamie, jednej z największych platform gamingowych, coraz lepsze noty. Podobną drogę przeszli twórcy gry „Assassin’s Creed: Unity”, którzy błędy w pierwotnej wersji i braki graficzne wynagrodzili swoim klientom darmowymi dodatkami. Gra sprzedała się w ok. 10 mln egzemplarzy.

„Co sprawia, że ludzie publikują w sieci pełne złośliwości recenzje, skoro być może nikt ich nawet nie przeczyta? Dlaczego są tak wściekli z powodu czegoś, co jest z założenia tylko rozrywką?” – zastanawiał się brytyjski „Guardian” właśnie w kontekście gier wideo. I z pomocą jednego z takich krytycznych fanów doszedł do wniosku,

że to jasny komunikat dla korporacji i studiów: nie obniżajcie lotów i nie wciskajcie nam gniotów.

Platformy gamingowe dają wgląd w to, jak oceny ewoluują wraz z upływem czasu od bardzo złych do nawet bardzo dobrych (rzadziej odwrotnie), ale branża ma nad innymi tę przewagę, że może na bieżąco kasować usterki i stale ulepszać swoje produkty. Nowi gracze często nie będą mieć świadomości, że coś kiedyś poszło nie tak. Twórcy filmowych remake’ów i kolejnych sezonów seriali też mają szansę dokonać korekt, ale mogą się narazić odbiorcom przywiązanim do oryginałów. Gdy społeczność LGBT i przedstawiciele innych mniejszości poczują się wreszcie doreprezentowani, inni będą krzywić o szarganiu świętości. Netflix zastanawia się, czy ciągnąć dalej superbohaterki serial Marvela „Mecenas She-Hulk”, skoro widzom nie podoba się, że tak piętnuje mizoginię. Bombardowanie złymi recenzjami czarnoskórej „Małej Syrenki” sprawiło z kolei, że portal IMDb – kolejna wielka baza tytułów na świecie – baczniej wyłapuje wzmożony ruch. A po sieci tak czy owak rozhułał się hasztag #notmyAriel („nie moja Ariel” – od imienia bohaterki). Na Filmwebie film ma średnią 5/10.

Podobna dyskusja w świecie literackim dotyczy „przepisywania” dzieł, które we fragmentach, „złe się zestarzały” (Sienkiewicz, Musierowicz). I w tym sensie najtrudniej jest być może właśnie twórcom książek. Tu żaden błąd, choćby i rażący, nie wyparuje z dnia na dzień. To może lepiej wcale nie ryzykować? Sprawę „anulowanej” premiery Elizabeth Gilbert ciekawie skomentował magazyn „Slate”, pytając retorycznie, czy gdyby autorka mogła się cofnąć w czasie, to jej bestsellerowa powieść „Jedź, módl się i kochaj” (2006 r.) wyglądałaby tak samo. To przecież historia o białej, uprzywilejowanej kobiecie, szukającej równowagi i prawdy o sobie w biednych rejonach świata. „W kulturze literackiej zaszła jakaś bardzo niewygodna zmiana – pisze „Slate” piórem felietonistki Imogen West-Knights. – Nianczymy czytelników, którzy tę kulturę chcą aktywnie współtworzyć”.

Fan zawsze był współtwórcą kultury, ale jego głos waży coraz więcej i jest lepiej słyszalny: dzieli się wrażeniami, bezinteresownie podłożył swinię, podetnie skrzydła albo skutecznie zdopinguje. Raz mu wadzi rasizm, a za chwilę feminizm. Wszystkich się nie uszczęśliwi. Nieco obśmiewana żelazna zasada sieci (czy tylko sieci?) brzmi: „nie wiem, ale się wypowiem”. I nie da się jej, ot tak, anulować – jak premiery książki czy kolejnego sezonu serialu. ■



Nagrodzony Złotymi Lwami „Kos” Pawła Maślony.

Pod nieobecność Agnieszki Holland, z którą gdyński festiwal się solidaryzował, nagrodzono autorskie filmy w różnych kostiumach mówiące o współczesności. W Gdyni widać było, że nie da się już widzom wciskać propagandowego kiczu.

## Kraj, który płonie

JANUSZ WRÓBLEWSKI

**Z**dobycyca Złotych Lwów „Kos” Pawła Maślony to wprowadzie kino historyczne pełną gębą, mocno osadzone w XVIII-wiecznych realiach, ale od patriotyczno-narodowych czytańek dzieli je przepaść. Film o insurekcji kościuszkowskiej – jak podkreślał Filip Bajon, przewodniczący jury – jest dziełem kompletnym, w zasadzie tylko inspirowanym dawnymi dziejami. Wydaje się też, m.in. dzięki gatunkowej zabawie zaproponowanej przez twórców, szczególnie atrakcyjnym tytułem dla młodzieży. Dużo jest tu zapożyczeń z krwawego kina zemsty Tarantino, sporo makabrycznej atmosfery „Domu złego”. Całości

patronuje ironiczne spojrzenie Andrzeja Wajdy – bo „Wesele” czy „Pan Tadeusz” również, tylko znacznie delikatniej, przestrzegają przed krajem, który płonie, i bezhołowiem.

Maślona, autor olśniewającego debiutu „Atak paniki”, pokazuje ojczyznę właściwie nieznaną z podręczników historii, za to świetnie rozpoznaną w rewolucyjnej książce Adama Leszczyńskiego „Ludowa historia Polski”. Bohaterem jest przybywający z zagranicy Tadeusz Kościuszko, którego celem jest wzniecenie powstania przeciwko Rosji, lecz otoczenie, w jakim przyszło mu działać, to gnębiona przez zdeprawowane elity pańszczyźniana wieś. Chłopi, parobkowie, kijem i batem upokarzani przez panów, marzą o odwecie. Bieda, nędza, głód, przemoc, z drugiej strony szlacheckie samodzięrzawie.

Polska podzielona, nienawistna, nasyciona strachem i pychą, której z cynizmem i wyższością przygląda się napawający się swoją bezkarnością rosyjski oficer, drwiący z głupich „poliaczków”, że nigdy nie wygrali jeszcze żadnego powstania.

### Narodowa niemoc

W „Kosie” nie ma miłych scen ani spektakularnej batalistyki, są za to długie, groteskowe rozmowy przy stole zawalonym bronią, prowadzone przy partyjce pokera. Biorą w niej udział ludzie tak głęboko gardzący sobą, że w każdej chwili gotowi siebie nawzajem pozabijać. To raczej paszkwil na narodową niemoc, nieudane zrywy oraz głęboko zakorzenioną nienawiść klasową. Rzecz niesłychanie aktualna, bo odbijająca się czkawką w postaci wojny polsko-polskiej i krwawego

konfliktu w Ukrainie, oby nie eskalującego w coś znacznie gorszego.

Westernową przewrotność „Kosa” wzmacnia przyjęta w filmie perspektywa człowieka z zewnątrz, obcokrajowca, wyzwolonego czarnoskórego niewolnika, patrzącego na polską tromtadrację jak na surrealistyczny cyrk. Jego zdziwienie, dlaczego werbowani do walki powstańcy wyżej od ojczyzny cenią honor i Boga (w końcu wymienia się ją dopiero na trzecim miejscu), trafnie określa nasza niezdolność do podejmowania racjonalnych decyzji.

Obejrzawszy obrazoburczą fantazję Maślony, część krytyków ogłosiła przełom. Nie da się już dłużej wciskać młodym widzom masowo produkowanego propagandowego kiczu. W porównaniu z gorzką lekcją „Kosa” długo wyczekiwanego, zrealizowanego za 38 mln zł, koronne dzieło prawicy „Raport Pileckiego” wygląda jak schematyczna ilustracja żywotu świętego. Wykrzyczane sceny, wyreżyserowane przez Krzysztofa Łukaszewicza, mają wbijać do głowy, na czym polegał prawdziwy heroizm, cierpienie i osławiona, cytowana dewiza: Bóg, Honor, Ojczyzna. Pytania o głębszą motywację psychologiczną, które udało się zawrzeć

I – jak oczekują tego urzędnicy Ministerstwa Kultury – najlepiej w hollywoodzko-hagiograficznym stylu. Artystyczne porażki „Świętego” Sebastiana Buttneho, „Proroka” Michała Kondrata, „Historii Roja” Jerzego Zalewskiego, „Ziei” Roberta Glińskiego, „Smoleńska” Antoniego Krauzego, „Legionów” Dariusza Gajewskiego, „Orła. Ostatniego patrolu” Jacka Bławuta, „Dywizjonu 303. Historii prawdziwej” Denisa Delicia i wielu innych, wpisujących się w model skrajnie uproszczonego kina bogoojczyźnianego, służącego budowaniu prawicowej mitologii, biorą się właśnie z traktowania taśmy filmowej jak materiału szkoleniowego.

### Agnieszka Polland

Władza oczekuje, że filmy historyczne będą wyrażać hołd oraz stanowić prostą wykładnię tezy, że stać nas było na każde bohaterstwo, a ofiary poniesione przez dowódców, podległe im jednostki i cywili nie poszły na marne. Jeśli wielcy patrioci giną, to najlepiej tak jak w „Raporcie Pileckiego” właśnie. Kino patriotyczno-narodowe ma być oderwaną od potrzeb współczesnego widza odtrutką na zniechęconą pedagogikę wstydu, rzekomo uprawianą przez Pawła Pawlikowskiego, Wojciecha

Sellin, nie tłumacząc, czy nie martwi go niska frekwencja. Po trzech tygodniach „Raport Pileckiego” obejrzało niecałe 100 tys.

Odład władzę sprawuje prawica, liczba realizowanych w ciągu roku filmów historycznych gwałtownie rośnie. Niedawno stanowiły jedną trzecią wszystkich tytułów. Teraz to prawie połowa. W przygotowaniu są m.in. pełnometrażowe fabuły o Paderewskim, młodym Mickiewiczu, bitwie o Monte Cassino, zbrodni katyńskiej, rzezi Woli. Zwiększa się dotacje, lecz mądrych, wytrącających ze strefy komfortu, pobudzających do refleksji widowisk wciąż powstaje jak na lekarstwo. Czy „Kos” to zmieni? Jak może wyglądać poważne kino problemowo-przygodowe, opisujące różne odcienie życia w mrocznych czasach, bez indoktrynowania, szantażu emocjonalnego, pokazał też Jan Holoubek w szpiegowskim dramacie „Doppelgänger. Sobowtór” (pięć nagród, w tym za najlepszą reżyserię i zdjęcia). Więc może jest nadzieja.

W kuluarach najczęściej zadawano pytanie, dlaczego w konkursie głównym 48. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych nie ma „Zielonej granicy”, najważniejszego – przy całym szacunku dla „Kosa” i „Doppelgängera” – filmu roku. Jego krajowa premiera, poprzedzona wielotygodniową, haniebną kampanią nienawiści rozpętaną przez PiS, miała miejsce w trakcie gdyńskiej imprezy. W kinach „Zielona granica” pojawiła się w przeddzień ogłoszenia laureatów, zdobywając wcześniej Nagrodę Specjalną Jury w Wenecji. Wsparcia Agnieszce Holland spontanicznie udzielali obecni na festiwalu artyści i dziennikarze. Na uroczystej premierze „Kosa” Andrzej Seweryn dumnie paradował w białej koszulce z napisem „Agnieszka Polland”, co podchwyciło wielu jego kolegów, którzy w reakcji na obraźliwą krytykę ze strony władz chętnie fotografowali się w zaprojektowanym przez Matyldę Damięcką wzorze. Na gali zamknięcia głosów popierających Holland, apelujących o zaniechanie kampanii nienawiści, nawołujących do pójścia na wybory było tak wiele, że zamieniły się w chór. Ceremonię transmitowała na żywo TVP Kultura, więc zobaczyła i usłyszała to cała Polska.

### Oscary: bezpieczny wybór

Wątpliwość, czy nieobecność „Zielonej granicy” nie została wymuszona odgórną decyzją polityczną, rozwiali sami zainteresowani. Żadnego spisku czy drugiego dna nie ma co się doszukiwać. Holland ukończyła film dwa tygodnie po terminie, w którym zgodnie z regulaminem należało go zgłosić do gdyńskiego konkursu. ►



Koronne dzieło prawicy – „Raport Pileckiego” Krzysztofa Łukaszewicza.

Ryszardowi Bugajskiemu w niesłusznie zapomnianym spektaklu telewizyjnym „Śmierć rotmistrza Pileckiego” z 2006 r., tu zostają spłaszczony, unieważnione kosztem niekończących się ujęć znęcania się i bicia bohatera bez skazy.

Aż chciałoby się przypomnieć, że sztuka nie polega na kalkowaniu historii według partyjnego wzoru. Jednowymiarowo, pochwalnie, bez etycznych wątpliwości, w klimacie męczeństwa albo triumfu.

Smarzowskiego, Małgorzatę Szumowską, Agnieszkę Holland, a teraz Pawła Maślony.

PiS deklaruje, że ma to sens, gdyż chce walczyć o dobre imię Polski na arenie międzynarodowej. Oraz zaszcześcić młodzieży właściwe, czyli narodowo-konserwatywne, wzorce. „Kino to dla nas element polityki historycznej, polityki pamięci, wyobraźni zbiorowej, mitów, które buduje kultura masowa” – powtarza przy różnych okazjach wiceminister kultury Jarosław



© ANNA BOBROWSKA/KFP

Ekipa filmu „Imago” Olgi Chajdas, uhonorowanego Srebrnymi Lwami.

► Organizatorzy uspokajali, że – podobnie jak „Wesele 2” – znajdzie on swoje miejsce w programie za rok, jeśli tylko producenci zechcą dopełnić formalności. Wprawdzie temperatura sporów będzie wtedy inna, lecz problem nielegalnej imigracji w Europie przecież nie zniknie.

Znamienne, że nikt nie wpadł na pomysł, by zaprezentować „Zieloną granicę” na pokazie specjalnym, skoro dodatkowo – takie krążyły wieści – film prawdopodobnie był brany pod uwagę jako polski kandydat do Oscara. Okazało się bowiem, że w przeciwieństwie do lat ubiegłych zatajono listę tytułów, spośród których wybierano pretendenta. Co wzmogło obawy o (nie)przejrzystość procedury. Oświadczenie w tej sprawie złożył na konferencji prasowej szef PISF, zarazem członek kapituły, Radosław Śmigulski. Stwierdził, że filmowcy wykorzystywali sam fakt umieszczenia na liście, by wątpliwej niekiedy jakości dzieła reklamować jako „kandydatów na kandydata do Oscara”, więc publikacji tym razem zaniechano.

W poniedziałek decyzją sześcioposobowej komisji, pod przewodnictwem producentki m.in. „Zimnej wojny” i „Strefy interesów” Ewy Puszczynskiej, polskim kandydatem do Oscara zostali „Chłopi”, ciepło przyjęta w Gdyni i Toronto, znakomita, imponująca wizualnie, zainspirowana m.in. obrazami Józefa Chełmońskiego, Ferdynanda Ruszczyca, Jeana-François’a Milleta ekranizacja nagrodzonej Noblem powieści Reymonta.

Pozbawiona politycznych kontrowersji malarska animacja Doroty Kobieli (podpisującej się obecnie DK Welchman) oraz jej męża Hugh Welchmana robi kolosalne wrażenie i ma szansę podbić serca milionów. Druga po pamiętnym serialu Jana Rybkowskiego wersja „Chłopów”

(Nagroda Specjalna Jury i Nagroda Publiczności), przy której pracowało ponad stu malarzy w Polsce, Serbii, Ukrainie oraz Litwie, skupia się na Jagnie, niepokornej, atrakcyjnej dziewczynie o duszy artystki, niczym przedmiot wędrującej z rąk do rąk pożądających ją mężczyzn. Prefeminizm może nie brzmi w tym przypadku odkrywco, na pewno jednak jest to opowieść o odrzuceniu, krzywdzie wyrządzonej w imię paternalistycznych interesów, którą wznosi do góry fenomenalna ścieżka dźwiękowa Łukasza L.U.C. Rostowskiego (laureata Paszportu POLITYKI).

### Chłopi inaczej

„Kos” i „Chłopi” nie były jedynymi filmami dotyczącymi tematu polskiej wsi, dotychczas prawie nieobecnego w polskiej kinematografii. Trzecim odkryciem, odkrytym prawdziwą sensacją, okazał się skromny debiut Grzegorza Dębowskiego „Tyle co nic”, z udziałem prawie nieznanymi wykonawców Artura Paczesnego i Agnieszki Kwietniewskiej. Osadzona tu i teraz historia o chłopskiej traumie, ginącym etosie, gniewie, frustracji, zniechęceniu, walce z systemem i zagubieniu we wrogim świecie, uhonorowana aż sześcioma nagrodami, w tym za kreacje aktorskie, oraz Złotym Pazurem za „odwagę formy i treści”. Wiarygodność, z jaką urodzony w mieście reżyser opisuje antagonizmy współczesnej wsi, zdumiewa, a zręczność, z jaką łączy gatunki – kina zaangażowanego społecznie, kryminału, dramatu społeczno-obyczajowego – budzi uznanie. „Nie czułem potrzeby, żeby komentować napiętą rzeczywistość, w której co chwila wybuchają strajki” – wyjaśniał Dębowski. „Každy z moich bohaterów ma rację. Poruszam temat bliski wszystkim, uniwersalny. Świat wsi to szkło powiększające,

by opowiedzieć o samotności i naszych strachach”.

Jeszcze większą niespodziankę sprawiło „Imago” Olgi Chajdas (Srebrne Lwy), oparte na biografii Eli „Malwiny” Góry, artystki z kręgów gdańskiego alternatywnego rocka lat 80., film dedykowany „matkom przełomu”. To ekstremalna podróż w głąb psychiki zbuntowanej dziewczyny, uznawanej przez rodzinę za szaloną, zamykaną w psychiatrykach, eksperymentującą na wielu poziomach. Film postpunkowy – jak zapowiadali go na scenie producenci – co i tak nie oddaje jego rebeliancko-transgresyjnego ducha. W główną postać wciela się Lena Góra, córka bohaterki, która na ekranie dokonuje bolesnego obnażenia. Jej improwizowana, lecz w pełni samoświadoma rola, słusznie wyróżniona przez jury, to swoista psychodrama, zapewne również autoterapia, pozwalająca zrozumieć, czym właściwie jest sztuka, której tworzywem może być praktycznie wszystko, także własne ciało, pragnienia, nałogi, tożsamość.

„Imago” upomina się o swobodę wyboru i wolność artystycznej ekspresji w czasach, gdy te są krępowane i blokowane. Tak było pod koniec komuny i zdarza się, niestety, pod rządami PiS. Dlatego przesłanie bohaterki, że samorozwój, który dla jednych wygląda jak czyste zło czy anarchia, zaś dla drugich jak rozbrajanie tabu i pokonywanie barier, jest wartością samą w sobie, brzmi intrygująco autentycznie. Ważne – przekonują twórcy – by wyrażać siebie. Wyrzucając się naiwności, Chajdas pokazuje też cenę, jaką za taką postawę się płaci. I to chyba w jej psychodelicznym filmie najbardziej porusza, bo kobiety za taką kaskaderkę płacą, oczywiście, więcej.

JANUSZ WRÓBLEWSKI



Vanessa Aleksander    Jakub Sasak

# ROK 2084



# Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna  
Kuby Wojewódzkiego

Sędzia piłkarski Szymon Marciniak został ambasadorem Mennicy Skarbowej. Kampania ma podkreślać bezpieczeństwo inwestycji w złoto. To teraz już wiem, dlaczego nie zatrudnili nikogo z reprezentacji.

Firma Wojciecha Cejrowskiego, podróżnika wędrującego boso przez świat wyłącznie w prawą stronę, zanotowała spadek przychodów o 42 proc. To swoisty fenomen. Wielu homofobia pograżyła, i tylko jego nie jest w stanie puścić w skarpetkach.

Halina Frąckowiak została odznaczona medalem Gloria Artis z okazji 60-lecia pracy artystycznej. Niestety przez ministra Glińskiego i na gali Telewizji Republika. Trudno się dziwić, że PiS nagradza artystkę, która ma w repertuarze utwór „Mały elf”.

Z okazji 78. urodzin Jerzy Zelnik wyznał, że jest otwarty na piękno życia i chętnie się zakocha. Wcześniej ujawnił, że trafiały mu się momenty pozamałżeńskiego zauroczenia i kilkakrotnie złamał przysięgę wierności. Mam koleżankę, której wierność podziwiam od lat. Ma już trzeciego męża, a kochanek wciąż ten sam.

Robert Lewandowski został globalnym ambasadorem internetowej platformy inwestycyjnej OANDA. Dobry wybór. Między dobrą a złą inwestycją jest przepaść jak pomiędzy słowami „premie” i „Premier League”.

Marcin Wójcik, lider Kabaretu Ani Mru-Mru, ujawnił, na czym polega fenomen ich 25-letniej kariery. „Po prostu poza trasami bardzo rzadko utrzymujemy ze sobą kontakt”. To zupełnie inaczej niż prezes. On nawet w trasie ma kłopoty z utrzymaniem kontaktu.

Kompozytor Radzimir Dębski został ambasadorem odzieży Bytom i na potrzeby komunikacji marketingowej skomponował specjalny utwór. Kariera Radzimira przypomina trochę męski garnitur. Niby dobrze skrojona, ale jakoś dziwnie leży.

Szymon Hołownia i Trzecia Droga ogłosili, że nie wezmą udziału w „marszu miliona serc” 1 października. Szymonowi przypominam, że w programie „Mam talent!” było mnóstwo akrobatów, którzy robili efektowane salta, ale i tak nie weszli do finału.

MEiN wraz ministrem Czarnkiem planują stworzyć Netflixa dla nastolatków, czyli platformę, na którą mają trafić materiały wspierające proces kształcenia. Budżet 29 mln zł. Słuchając wypowiedzi Czarnka,



każdy nastolatek dojdzie do wniosku, że wykształcenie to fikcja.

Edyta Górniak wyznała, że nie bardzo rozumie politykę oraz nie uważa swojej współpracy z TVP za jakąkolwiek deklarację polityczną. „Nie postrzegam różnic, które dostrzegają inni”. Podoba mi się takie myślenie. A nie, sorry. Podoba mi się taka postawa.

Weronika Rosati publicznie upomniała Piotra Adamczyka, że do końca nie załatwił sprawy ich wspólnego wypadku samochodowego z 2013 r. Twierdzi, że incydent pokrzyżował jej karierę w Hollywood. Bywają role, które są głośnymi wypadkami, i wypadki, które są najgłośniejszymi rolami.

Maciej Maleńczuk obejrzał program Dody w Polsce i stwierdził: „Ona pcha swój kamień w sposób, który mi przypomina Syzyfa. Wyższa huśtawka, wyższa scena, bardziej spektakularna scenografia. I wciąż się nie udaje”. Jest jedna różnica. Syzyf był już prawie na szczycie.

Szok i niedowierzanie. Zdemaskowano Szarika z „Czterech pancernych”. Okazuje się, że pies o imieniu Trymer należał do komendy milicji na Żoliborzu i w 1966 r. trafił do serialu, gdyż został odsunięty od służby z powodu niezdanego egzaminu. Dziś występowałby w „M jak miłość”.

Elżbieta Zapendowska wspomina początki programu „Idol” w 2002 r. „Miałam wątpliwości, czy się zgodzić. Polsat nie miał u mnie najlepszej reputacji, ale aspekt finansowy przeważał”. Byłem tam i się zgadzam. Następnie reputację stracił aspekt finansowy.

„Kiedy czytam badania dotyczące stanu polskiej młodzieży, która czuje bezsens, brak celu, brak sprawczości, to wołę być dziadersem, który ma cel w życiu, który ma poczucie sprawczości”. To Mata senior, czyli profesor Marcin Matczak. Jak widać, dobry hip-hop można robić i bez muzyki.

**Filip Chajzer** ujawnił nowy pomysł na biznes. Dziennikarz zamierza odczarować kebab i nadać mu nowe życie. „Kebab źle się kojarzy. Kojarzy się poimpresowo, a ja chcę zrobić z tego sztukę”. Filip znowu zaskakuje. Jest jak kebab. Do końca nie wiesz, co tkwi w środku.

## BRZYTWA PILCHA



KONKURS NA NAJLEPSZY FELIETON

W drugiej edycji konkursu na najlepszy felieton „Brzytwa Pilcha” organizowanego przez Prezydenta Miasta Kielce, Miejską Bibliotekę Publiczną w Kielcach im. Jerzego Pilcha i tygodnik POLITYKA wzięło udział niemal 300 autorów. Nasz redakcyjny kolega Jurek Pilch był nie tylko pisarzem i felietonistą, ale także wymagającym czytelnikiem. W 2003 r. we wstępie do pokonkursowego tomu najlepszych opowiadań „Pisz do Pilcha” napisał: „sztuka opowiadania historii jest w zaniku. Tyczy się to nie tylko literatury. Opowiedzieć historię tak, by miała ona początek, środek i zakończenie, zdaje się obecnie niemożliwością”.

Po 20 latach to nadal jest prawdą; coraz mniej rozpoznajemy felietonową formę, która przestaje odnosić się do aktualności i całkowicie pomija kulturę, a staje się podobna do rozszerzonych form internetowych, pełnych żalu i negatywnych emocji. Uczestnicy konkursu pisali głównie o sobie i swoich emocjach (matki o dzieciach, dojrzały o chorobach, młodzi o frustracji związanej z brakiem perspektywy), przechylając się w stronę opowiadań i odchodząc od prasowości. W tym roku kapituła postanowiła wyróżnić dwie prace: Doroty Maliny i Andrzeja Zawadzkiego, którego tekst drukujemy poniżej.

## Na wnuczka ANDRZEJ ZAWADZKI

Jestem stary. Może nie aż tak, jak John Wagner, bohater opowiadania Marka Twaina, który dopiero mając ponad setkę, dostał od swoich rodziców zgodę na poślubienie panny, z którą od 80 lat był zaręczony, ale jednak stary. Zresztą, kiedy miałem 20, 30 lat, starzy byli dla mnie nawet pięćdziesięciolatkiem, czyli ludzie w obecnym wieku moich dzieci. Więc teraz – kiedy jestem przez wszystkich zachęcany do tego, by czuć się młodym – przyzwoitość mi nakazuje uważać się za starego. Na szczęście nie ma u nas sytuacji, że człowiek po osiągnięciu jakiegoś wieku jest strącany ze skał, albo ma wyjść za granicę miasta i czekać na śmierć z głodu. Teraz ma oczekiwać na swój koniec na oczach plemienia. Więc oczekuję, wystrzegając się zachowań, które kiedyś uważałem za paskudne oznaki starości. Na przykład kiedy byłem młodym człowiekiem, mój wstręt budziły wystające z nosa włosy, a już zwłaszcza językowe zabawy sztuczna szczęką.

Pojęcie „starość” nie jest lubiane przez starych, dlatego wolą mówić o wieku dojrzałym, a przede wszystkim o *seniorach*. Niektórzy idą dalej i – zgodnie z modą – nazywają siebie i sobie podobnych *silversami*. Że to niby od koloru włosów, które jednak sami często malują w barwy ochronne. Zmienił się język. Kiedyś na osobników poruszających się bez odrywania stóp od podłoża mówiło się „suwaki”, we współczesnej wersji taki sposób chodzenia to „ciche wrotki”. Obyczajowość też idzie do przodu. Spotykam starsze panie z „chłopakami”. Kiedyś nie do pomyslenia było życie na kocią łapie, dziś, gdy ta łapa się zestarzała, jakoś to nie przeszkadza, a chłopaki – jak w kupiecie Michnikowskiego – słabnącym wzrokiem wypatrują obcych biuścików czy nówek. Taki Kabaret Starszych Państwa.

W długim życiu miałem różne doświadczenia, uprawiałem i rzucałem różne zawody, także miłosne. Teraz wszyscy chcą mnie hołubić i dopieszczać. „Nasi kochani seniorzy”, to określenie, które z pewnością będzie mogło ubiegać się o zwycięstwo w plebiscycie na najgłupszy zwrot ostatnich ośmiu lat. A dlaczego tak jest? Ano dlatego, że jest takich jak ja, czyli starych, dużo. Tak się jakoś zrobiło, na przekór przeciwnościom losu, zarazem, pandemiom i „białym śmierciom” (cukrowi, soli i służbie zdrowia), że wyż powojenny teraz zgarbioną górką się objawia. Niestety, brak zdolności reprodukcyjnych górkę powoduje, że demograficzna sinusoida z tego nijak nie wyjdzie.



Portret autora narysowany przez jego wnuczkę Marysię Zawadzką.

Więc seniorów się obłaskawia, robiąc z nich idiotów i mówiąc im, że dostają trzynastą, czternastą emeryturę, a jak będzie potrzeba, to dostaną następną. Ta oślepiająca propaganda święci triumfy do tego stopnia, że nikt, nawet opozycja, nie określa tych wypłat inaczej. Tymczasem to jest zasiłek na dożycie. Do wyborów, ma się rozumieć. Żeby seniorzy nie oszaleli ze szczęścia od nadmiaru pieniędzy, politycy im sugerują, co mają zrobić z taką kupą kasy. Pierwszy na przykład radzi, by pojechać do Medjugorje. Jak dać radę wrócić, nie mówił.

Nie tylko rząd, ale niemal wszyscy rzucili się, by pomagać seniorom. Jednak nie chodzi – jak kiedyś – o przeprowadzanie staruszek przez ulice, a o działania dające spokojne sumienie i profity wspierającym. W mojej gminie postanowiono nawet stworzyć strategię senioralną. Wynajęto firmę, bo jakżeby inaczej, i radzono nad tą strategią na 1. piętrze bez windy. To dla ułatwienia, bo budynek ma trzy piętra i mogli na trzecim. W tej strategii proponują mi na przykład pójście do teatru, albo do muzeum – jako zwiedzający, nie eksponat na razie – w mało uczęszczanych porach. Są dni rabatów dla seniorów, polegające na tym, że towary niesprzedane w weekend zostawia się, by je babcie i dziadkowie wykupili, po czym dopiero przystępuje się do wykładania świeżego. Wiadomo, że emeryci, których kręci to, że mogą mieć kilka złotych na kartę lojalnościową, przyjdą rano. Bo co innego mają zresztą do roboty.

Bardzo modne są też wszelkiego rodzaju aktywności międzypokoleniowe, czyli łączenie na siłę starych z obcymi młodymi. Najczęściej dzieci pokazują więc seniorom, jak włączyć komputer i coś, poza zieloną słuchawką, wycisnąć z telefonu. Zanim dojdą do domu, zapominają, czego się dowiedzieli, więc za kilka dni znów mogą pójść na ciekawe zajęcia. Są dla nas siłownie plenerowe, a nawet siłownie pamięci, gdzie mamy rozwiązywać zadania logiczne, krzyżówki i inne takie o charakterze umysłowym. O takich aktywnościach jak gimnastyki, nordic walking czy potańcówki słychać zewsząd.

Nawet przestępcy upodobali sobie seniorów jako target. Stąd popularność metody „na wnuczka”. Pomyślałem sobie, że tak naprawdę to władza okrada naród tą metodą od dawna, więc może to tylko inna kategoria złodziei? Bo to przecież nasze wnuki spłacać będą zadłużenie, które po tych rządzących – będą myśleli, i słusznie, że po mnie – zostanie. Wielkość poety, w tym przypadku poetki, polega na trafnym przepowiedaniu przyszłości. W końcu stąd wziął się *wieszcz*. Nasza noblistka przepowiedziała mi (nam) wszystko: „Więc chociaż czasem w krzyżu cię łupie, ciesz się dniem każdym, na tej rządowej chudziutkiej zupie”.

# Łatwo lubić wrony



**W**idzi pan tę z psieckiem? – zwróciła mi uwagę sąsiadka na panią z psem.

– Jakim psieckiem, przecież to jest york – odparłem, nie rozumiejąc.

– Wiem, że to pies, ale ona traktuje go jak dziecko. Ubiera, zawiązuje wstążki, tuli. No i mówi do niego przez cały czas, zdrabniając tak, że aż mnie mdli – wyjaśniła zdegustowana.

– A może po prostu pani nie lubi albo boi się psów? – dociekałem źródeł tej niechęci.

– Fakt, wolę koty – odparła pojednawczo. – A boję się tylko ludzi i pan też powinien. Również takich, co uważają, że wszyscy jesteśmy równi, ale niektóre zwierzęta są równiejsze – dodała z dziwną powagą.

W nieoczekiwanie ciepły wrześnieowy wieczór znalazłem się na plaży. Było jeszcze jasno. Usiadłem na plastikowym leżaku. Umysł ogarnął spokój, jakiego nie pamiętałem. Nic mnie nie obchodziło. Z bezmyślną przyjemnością błądziłem wzrokiem między piaskiem, wodą i niebem. Zanim szczelina błogiej bez troski w konferencyjnym dniu rozszerzyła się w rzadki luksus nudy, pojawiły się wrony.

Ładowały tuż przy wodzie, a potem kroczyły poważnie tam i z powrotem lub śmiesznie podskakiwały, unikając fali. Dołączały kolejne, aż w końcu kilkanaście spacerowało po mokrym pasie piasku. Szukały małży. A raczej ściagały się ze sobą, która pierwsza złapie w dziób wyrzuconego świeżo przez falę. Szczęściara uciekała nieco w głąb plaży, i przytrzymując muszlę nogą, dziobem wyciągała małża. Zjadała i wracała z powrotem na przybój.

Nie mogłem oderwać od nich wzroku. Były takie... indywidualne... i po ludzku zabawne. W swoich pozach, podskokach, próbach wykradzenia sobie zdobyczy. Ale przede wszystkim miały dającą się zauważyć przyjemność z jedzenia. Zdałem sobie sprawę, że obserwuję smakoszki. Nie przyleciały tu wygłodniałe z rżyska, gdzie „mimo wszelkie przemiany nie wyrosną banany i nie zamienią się w kawior pędraki, bo układ taki” (W. Młynarski, „Wrony”). Kosze i śmietniki nadmorskiego miasta oferowały im resztki przebogatej gastronomii. Ale one nie chciały resztek. Miały ochotę zjeść świeże małże, o zachodzie słońca, prosto z morza.

Pewnie, że uczłowiczam te wrony. Mój umysł bez mojej woli wybiera je spośród miliardów nieznanych lub obojętnych mi żywych istot i przeciąga na stronę człowieka – jak zawsze – dla korzyści lub przyjemności; kapryśnie i egoistycznie, bo przecież do głowy mi nie przyszło uczłowiczyć małże, które zostały zjedzone, albo rybę, która „leży niezdatna do zmartwychwstania/na czystym piasku strzeżonej plaży” (Elżbieta Zechenter-Splawińska, „Plaża”). Nie ma wyjścia z tej sprzeczności; z etycznej niekonsekwencji odmiennego wartościowania życia psa i pstrąga; kota i karpia. Wyrzuty moralne człowieka odpowiedzialnego za los zwierząt rosną na szczęście wraz

z wiedzą o życiu żywych istot, które okazuje się niepokojąco podobne do naszego. Wiedza rodzi często zachwyty i współczucie – wcale nieobce rolnikom, pasterzom

i myśliwym, wśród których pojawili się pierwsi przyrodoznawcy i ekolodzy z wyrachowania.

Kiedy biorę do ręki wydaną w 1653 r. „biblię” wędkarzy muchowych, czyli Isaaca Waltona „The Compleat Angler” (Wędkarz doskonały), widzę w niej nie tylko poradnik, jak i gdzie złowić rybę, ale swoistą encyklopedię zachwyty nad środowiskiem naturalnym angielskich rzek. Pisana prozą i wierszem, ilustrowana wspaniałymi rycinami niepostrzeżenie przekształca myśliciela i konsumenta w miłośnika przyrody. Tak jak rolnik czy wędkarz nie są przepędzeni wyłącznie obsesją eksploatacji natury, tak fikcją jest rzekomo chłodny umysł naukowca. Darwin, choć przerażony amoralnością procesów selekcji i dominacji zachodzących w przyrodzie, nie przestawał opisywać zwierząt, roślin, a nawet skał w taki sposób, jakby miały ludzkie pragnienia i cele. Wzruszał się czułkami roślin, rośliczką czy dżdżownicami. Pół wieku później wielki francuski entomolog Jean Henri Fabre w zapamiętaniu będzie śledził na kolanach żuka gnojaka, widząc w nim zadowolonego mieszczanina, który z kulką nawozu w swojej norcie oddaje się uczcie, nucąc Offenbacha.

**P**oznanie rodzi współczucie. Ale zanim w uniesieniu przytulimy wszystko, co żyje, nie zapominajmy o fundamentalnej obcości człowieka wobec natury, jaką powoduje ludzka świadomość. Ta dziwna dyspozycja naszego mózgu czyni z nas istoty odpowiedzialne za los innych istot. Etyki wypływającej ze świadomości i wiedzy nie mamy powodów oczekiwać od wrony lub wilka. Ilustruje to dobitnie wymiana zdań między panami Muszalskim i Zagłobą:

„– Często króć lepiej by dla człowieka było, żeby pamięćci nie posiadał – zauważył pan Muszalski – ale *animalia* nawet od tego nie są wolne.

Lecz starszek zgromił za tę uwagę sławnego łucznika. – Gdybyś waćpan pamięci nie posiadał, tedybyś do spowiedzi chodzić nie mógł – rzekł – a wówczas byłbyś lutrom równy i godzien ognia piekielnego” („Pan Wołodyjowski”).

Zanim nauka rozstrzygnie, czy inteligencja wron zbliża je do lutrów czy już do katolików, będę trzymał się poglądu, że jedni i drudzy znacząco różnią się od tych myślnych ptaków. A to dlatego, że tylko nas ludzi można skłonić do przyjęcia kłopotliwych konsekwencji moralnej wyższości człowieka nad naturą. Obyśmy tylko w żarliwym zapamiętaniu lub z etycznej wygody nie porzucili troski o ludzkiego bliźniego, przenosząc moralną uwagę i sympatię na wrony, o kotach nie wspominając. Dawno temu, kiedy posthumanizm i ekokrytyka nie śniły się jeszcze nikomu na polskich uniwersytetach, profesor Krzysztof Kłosiński dziwił się, że człowiek, który nie lubi ludzi, to mizantrop, ale człowiek, który nie lubi zwierząt, to zły człowiek.

RYSZARD KOZIOŁEK

# Świat all inclusive



**G**dzie te czasy, gdy trzeba było, gdy warto było myśleć! Bo dziś można sobie co najwyżej

niezobowiązująco ponarzekać. Światem nie rządzą już idee, lecz wielkie struktury, kontrolujące potężne technologie i zbiory danych. Wszystko, co silne i sprawcze, jednocześnie jest profesjonalne i zaawansowane. Mamy dyskutować z nauką i technologią? W czasach, gdy brałeś furmankę, by przenieść się na letnisko ze śródmieścia Warszawy do Otwocka, było wiadomo, co tam w Petersburgu, a co we Wiedniu, zaś sam tajny radca dworu nie miał wiedzy i kompetencji niedostępnych dziennikarzowi „Kuriera” oraz jego czytelnikom. A dziś zamiast radcy jest firma badawcza, produkująca ekspertyzy albo „spin” dla polityków, natomiast niezliczone „polityki” w różnych sektorach opierają się na wiedzy fachowej, nie na głowę urzędnika, dziennikarza, a tym bardziej naszą.

Świat zrobił się tak fachowy i skomplikowany, że dosłownie szkoda gadać. To i się nie gada. Na basenach i plażach czasowisk koncentracyjnych, na taśmociągach skumulowanych i uśrednionych przyjemności, naznaczeni plastikowymi opaskami czasowicze nie prowadzą żadnych dyskusji. Snują się od restauracji do basenu, od basenu do plaży i z powrotem do baru, nic nie robiąc, prawie nic nie mówiąc, a za to patrząc bezradnie, jak w monotonii tej letniej rozkoszy nieubłagane ucieka czas i okrutnie nie dzieje się nic. Jałowy, odgradzony murami od rzeczywistości świat *all inclusive*, w którym wyzuty z podmiotowości klient biura podróży dobrowolnie poddaje się obróbce przez maszynę-hotel, jest żywą i dojmującą metaforą naszej sytuacji cywilizacyjnej.

W każdej sferze życia poddani jesteśmy jakimś niezrozumiałym dla nas w szczegółach procedurom i manipulacjom, dzięki którym nasze pieniądze znajdują nowych właścicieli, a my sami czujemy się w miarę dobrze. Gdzie spojrzeć, tam sami fachowcy, umiejętnie sprzedający nam spokój, komfort, prestiż i przyjemności. A nam z żadnej kalkulacji nie wynika, że nie powinniśmy się temu poddawać. Bo na co bunt? Komu go pokażemy? Co lepszego zaproponujemy? Agroturystykę w Swornychgaciach zamiast *all inclusive* w Hurghadzie? No, rewolucja godnościowa co się zowie!

Nie wiemy, jak to wszystko działa. Wiemy tylko, że jak wykupimy pakiet, to nie musimy się o nic martwić. Więc konsumujemy i nie zadajemy zbyt dużo pytań. Bo i po co? Masz pytania, to wpisz je do chatbota albo do Google. Daj sobie 40 sekund na przeczytanie odpowiedzi, bohaterze. Ale i tak nie zrozumiesz. A jak zrozumiesz, to nie zapamiętasz. A nawet jak zapamiętasz, to przecież niczego to nie zmieni.

Gdybyż to jeszcze byli gdzieś ci mądrzy, co to wiedzą, jak ten świat się kreci, i ci mocni, co pociągają za jego sznurki! Ale właśnie o to chodzi, że w dobie zaawansowanej technokracji i powszechnego „uusługowienia”

życia nikt nie posiada żadnych nielokalnych kompetencji. Fachowcy z branży hoteli czasowych znają swój hotelarski mikrokosmos. Ale co wiedzą

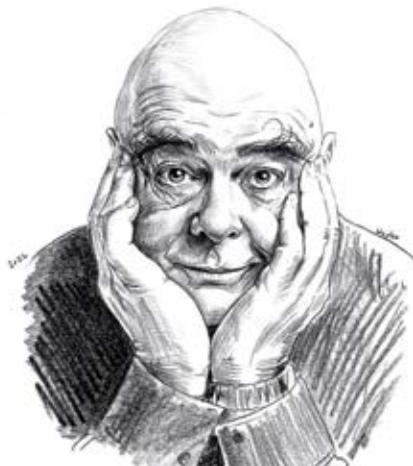
na temat organizacji handlu, którym trudnią się firmy zaopatrujące ich w tony produktów zużywanych i przejadanych przez tysiące skoszarowanych „gości”? Każdy z nas coś tam piąte przez dziesiąte może wie albo się domyśla, lecz co to ma za znaczenie? Kiedyś można było znać się, dajmy na to, na samochodach, bo ta maszyna była „do ogarnięcia”. Dziś, gdy jest o dwa rzędy wielkości bardziej złożona, nawet nie warto próbować. Lekarz od nogi nie zna się na głowie, fizyk od cząstek nie ma pojęcia o kosmologii, a meloman z muzykologiem mogą sobie pogadać o pogodzie.

**M**yslenie z natury rzeczy jest amatorskie. To jest coś, co się robi na własną rękę. Jeszcze pół wieku temu można było własnym sumptem uprawiać niektóre nauki. Dziś wszystko uległo tak daleko idącej profesjonalizacji i merkantylizacji, że prosty rozum i elementarna wiedza w zasadzie nie wchodzi już w żaden kontakt z wiedzą specjalistyczną. Skazani jesteśmy na strukturalną albo systemową ignorancję, robiącą z nas bezwolne, naiwne i pozbawione powagi masy odbiorców różnego rodzaju „sprofilowanych” statystycznie, masowych usług. Zupełnie jak w ośrodku *all inclusive*.

Pozamykani w wygodnych klatkach, powiązani w pakiety i puszczeni taśmą w „ciąg technologiczny”, gdzie wykonuje się na nas serie profesjonalnych, starannie skalkulowanych i „zoptymalizowanych” operacji, podlegamy różnym lokalnym i cząstkowym biopolitykom, czyli manipulacjom sięgającym fizycznej, cielesnej strony naszego życia. Jeszcze w latach 80. Michel Foucault i cała zachodnia lewica widziały w tym zarodki faszyzmu. Oto miłe złego początku: dziś jedziesz na wczasy *all inclusive*, jutro uczestniczysz w masowym wiecu poparcia dla władzy, a pojutrze odprowadzisz syna do pociągu jadącego na front. Tak nas ostrzegano. Mieszkański oportunistom oraz uprzemysłowienie komfortu i przyjemności miało w efekcie wytworzyć nowy totalitaryzm. Pragnący za wszelką cenę utrzymać dostęp do masowych usług hedonistycznych, obywatele biopolitycznych republik mieli się stać naturalnymi wrogami wszystkich, którzy mogliby im przeszkodzić w rozkoszowaniu się tanim życiem na *all inclusive*. Na przykład pracowników z „trzeciego świata”, żądających wyższych wynagrodzeń.

A jednak nie widać, aby świat *all inclusive* sterował w stronę faszyzmu. Owszem, jest nieco bezwolny i bezmyślny. Jest hedonistyczny, oportunistyczny i wyzuty z ambicji. Panuje w nim jednak – może trochę niespodziewanie – nastrój łagodnej życzliwości i zrozumienia. Biedni mówią dziś do bogatych „my friend”, a nie „sir”. I nie brzmi to już jak pogrożka. Bo ostatecznie i oni jadą z nami na taśmie. Taka to nasza równość. Inkluzywna.

JAN HARTMAN



# Trucizna

**D**odałbym do pisowskiego referendum jedno pytanie. Oczywiście tendencyjne. Czy jest w Polsce ktoś, kto może uczciwie powiedzieć, że lubi Jarosława Kaczyńskiego? Ale tak zwyczajnie, po ludzku. Nie za kasę, którą wyjmując z nieswojej kieszeni i rozdaje sobie życzliwym. Czy znajdzie się ktoś, kto powie: Jarek, daj spokój, nie za to cię przecież lubię, że chcesz mi załatwić posadę za ciężkie pieniądze. Ja dla ciebie wszystko za darmo zrobię. Lubię cię, chłopie, za twoją otwartość i uczciwość. Takich ludzi jak ty to bym w jednej taksówce zmieścił. Chodź, pójdziemy na czekoladę do kawiarni i tam sobie zagramy partyjkę warcabów, a przy okazji opowiem ci jeden film, na którym wiem, że nie byłeś.

Kaczyńskiemu oczywiście dynda, czy ktoś go lubi, czy nie. Więcej, mam wrażenie, że ta pierwsza ewentualność zrobiłaby mu wielką przykrość, bo czyżby uczucia czasem krępują adresata – choć tego naszego akurat trudno o to posądzać. Ów patriota i katolik tak kocha naród, że nie może skazać go na demokrację. A jeśli ktoś tego nie rozumie, to mu się wytłumaczy w policyjnym samochodzie. Jak w przypadku posłanki Kingi Gajewskiej. Zaś w swoich politycznych kazaniach kąpie naiwnych w bezbrzeżnym oceanie głupoty. A to, że Donald Tusk doprowadzi do rozbioru ojczyzny, albo że dzieci nie będą się mogły modlić po polsku, bo wszyscy księża okażą się Niemcami, którzy trudniejsze zdania mówią po rosyjsku z białoruskim akcentem.

Sprawę wiz sprzedawanych na straganach w różnych regionach świata PiS najchętniej zamknąłby w szafie panczernej i zgubił do niej klucz. Co prawda UE domaga się konkretnych wyjaśnień od ministra spraw zagranicznych Raua, ale dostaje wykrętną odpowiedź wiceministra. A wizy podobno wciąż płyną i marnie może się to skończyć dla wszystkich – kontrolami na granicach i zawieszeniem strefy Schengen.

Ale nie od tego jest biuro polityczne PiS, by nie znalazło przykrywki dla niewygodnych tematów. Wrogów ci u nas dostatek. Agnieszka Holland i jej „Zielona granica” będą w sam raz. Pamiętacie przecież, co Lenin powiedział 102 lata temu? Film jest najważniejszą ze sztuk. No i już mamy upiorny koklusz Zjednoczonej Prawicy. Prezydent Duda pochwalił się nawet, że nigdy filmu Holland nie obejrzy, bo szkoda mu pieniędzy na bilet. Tak samo jak nie przeczyta Olgi Tokarczuk i nie pójdzie na „Dziady” w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. A może powinien, zamiast prażyć na okrągło pisowską partyjną propagandą i przywoływać hasło z czasów okupacji – kiedy rządził faszystowski terror, a na ulicach rozstrzeliwano ludzi – „Tylko świnie siedzą w kinie”.

1 października  
upomnijmy się  
o tlen. Milionem  
serc i dwoma  
milionami płuc.

**A**le wracajmy do właściciela Polski i jego pięciuset śmietników z chemiczną trucizną. O „Zielonej granicy” mówi tak: „Holland wpisuje się w dzieje swojego środowiska, które wywodzi się z Komunistycznej Partii Polski” i ludobójców takich jak Hitler czy Stalin. Słowem – bezczelnie grzebie w historii przodków reżyserki, bo każda podłość może pisowskim orłem się przydać w podnoszeniu słupków wyborczych.

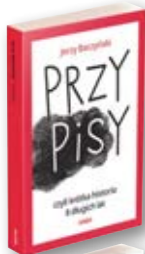
A wszystko to dzieje się w kraju, w którym – podaje Bartosz Arłukowicz – za rządów Mateusza Morawieckiego&Co długi szpitali wzrosły o 8 mld zł, zlikwidowano prawie 20 tys. łóżek szpitalnych i 250 zespołów specjalistycznych karetek oraz zamknięto 900 aptek. W kraju, w którym respiratorowy załatwiacz, teraz minister cyfryzacji, Janusz Cieszyński nie dość, że kandyduje do Sejmu z jedyńki, to jeszcze będzie miał dostęp do nagrań z lokali wyborczych.

1 października upomnijmy się o tlen. Milionem serc i dwoma milionami płuc.

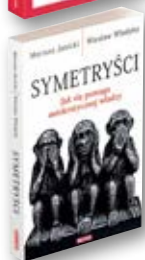
STANISŁAW TYM

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzeżli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

<p><b>POLITYKA</b></p> <p>WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA ADRES ul. Słupecka 6 02-309 Warszawa</p> <p><b>RECEPCJA GŁÓWNA</b> tel. 22 451-61-33, 451-61-34; tel./faks 22 451-61-35</p> <p>ADRES INTERNETOWY <a href="http://www.polityka.pl">www.polityka.pl</a> POCZTA ELEKTRONICZNA <a href="mailto:polityka@polityka.pl">polityka@polityka.pl</a></p> <p><b>PREZES I REDAKTOR NACZELNY</b> Jerzy Baczyński tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10</p>	<p><b>ČZŁONKOWIE ZARZĄDU</b> Joanna Solska, Mariusz Janicki, Wiesław Władysław</p> <p><b>Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO</b> Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca), Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03 Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)</p> <p><b>BIURO REKLAMY</b> tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37 e-mail: reklama@polityka.pl Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.), Julian Sobiech (reklama cyfrowa)</p> <p><b>PROJEKTY SPECJALNE</b> tel. 22 451-61-93 ZA TREŚĆ OGŁOSZENI W GRANICACH WSKAZANYCH ODPOWIEDZIALNOŚĆ W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE</p>	<p><b>PRENUMERATA PAPIEROWA</b> <a href="http://www.sklep.polityka.pl">www.sklep.polityka.pl</a> Infolinia: tel. 67 210 86 30, e-mail: infolinia@polityka.pl Monika Grabowska, tel. 22 451-61-00, 451-61-15 e-mail: prenumerata@polityka.pl</p> <p><b>PRENUMERATA CYFROWA</b> <a href="http://www.polityka.pl/cyfrowa">www.polityka.pl/cyfrowa</a> Infolinia: tel. 22 336-79-16, e-mail: cyfrowa@polityka.pl</p> <p>Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA BGZ BNP Paribas S.A. 18 1750 0009 0000 1004 2763 SWIFT: RCBWPLPW</p>	<p>Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.</p> <p>COPYRIGHT © <b>POLITYKA</b> SPÓŁKA Z O.O. SKA</p> <p>Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.</p>	<p>Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy. Kontakt: Maciej Domagała, tel. 22 451-61-25, e-mail: m.domagala@polityka.pl</p> <p><b>DRUK</b> Quad® <a href="http://www.libapraszy.pl">www.libapraszy.pl</a></p> <p><b>PBC</b> PASJA BROSZURY I KOLEKCYJNYCH <b>lepa</b> passion process technology</p> <p>PRINTED IN POLAND</p>
---	--	---	--	--



## Spotkania z autorami POLITYKI



**W**śród (27 września) zapraszamy do Krakowa na spotkanie z redaktorem naczelnym POLITYKI Jerzym Baczyńskim, autorem książki „PrzyPiSy, czyli krótka historia 8 długich lat”, oraz z Mariuszem Janickim i Wiesławem Władysławem, autorami książki „Symetryści. Jak się pomaga autokratycznej władzy”. Spotkanie poprowadzi prof. Magdalena Mikołajczyk, a wprowadzenie zrobi prof. Stanisław Mazur. Spotkanie odbędzie się o godz. 18.30 w Galaxy Hotel (sala Gemini 2) przy ul. Gęsiej 22a (rejestracja: [biuro@lepszykrakow.pl](mailto:biuro@lepszykrakow.pl)).

Z naszymi autorami będzie też można się spotkać w Poznaniu – w środę 4 października o godz. 18 w siedzibie Fundacji Malta przy ul. Rajtarczaka 44 (spotkanie poprowadzi prof. Krzysztof Podemski z Wydziału Socjologii UAM; prosimy o rejestrację mailową: [naczelny@polityka.pl](mailto:naczelny@polityka.pl)). A także w Lublinie – w środę 11 października o godz. 17 w Instytucie Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach UMCS przy ul. Głębokiej 45 (dyskusję poprowadzi prof. Iwona Hofman, dyrektor INoKSIM UMCS). Wstęp na spotkania jest wolny.

## POLITYKA o historii: Ikony buntu

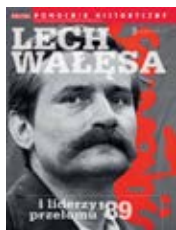


**N**a polityka.pl/podkasty pojawiła się rozmowa prof. Marcina Zaremby z dr Anną Machcewicz o Lechu Wałęsie w latach 70. – jego odwadze, charyzmie, zwolnieniach z pracy i słynnym „skoku przez płot”. Jednocześnie w kioskach dostępne jest już najnowsze wydanie Pomocnika Historycznego POLITYKI z serii „Biografie”: „Lech Wałęsa i liderzy przełomu '89”.

W tych szczególnych czasach przypomina postaci, które dały twarz wiośnie ludów w Europie Środkowo-Wschodniej, ze szczególnym uwzględnieniem Lecha Wałęsy, kończącego w tym roku 80 lat. Jedni byli liderami z powołania, inni z przypadku. Jedni trwali na pierwszej linii latami, inni pojawili się i po odegraniu swojej roli znikli. Po latach przywódcy przełomu są różnie oceniani. O niektórych zapomniano, z innymi – jak z Wałęsą – nie przestają walczyć ich przeciwnicy polityczni. Warto znać te historie.

REDAKCJA

Podkasty POLITYKI dostępne są również na Spotify, Apple Podcasts i Google Podcasts.



## Tadeusz Olszański (1929–2023)



### Najwyższa liga

**W** wieku 94 lat zmarł Tadeusz Olszański, nestor polskiego dziennikarstwa sportowego. Urodzony w Stanisławowie (dzisiejszy Iwano-Frankiwsk w Ukrainie) swoim bogatym życiorysem i niespożytą energią mógłby obdzielić kilka osób. Oprócz tego, że pisał o sporcie, swojej największej pasji, był m.in. tłumaczem literatury węgierskiej (choćby „Chłopców z placu Broni”), dyrektorem Ośrodka Kultury Polskiej w Budapeszcie, korespondentem radiowym i telewizyjnym, a nawet sprawozdawcą z krwawego konfliktu na Bałkanach. Jak relacjonował w wydanych niedawno wspomnieniach: „Było, minęło, zostało w pamięci”, układ zaproponowany mu w 1990 r. przez władze radia i telewizji był następujący: jako znawca Węgier rezyduje w Budapeszcie i zajmuje się tamtejszymi problemami, a do Belgradu wpada z rzadka, starając się wypełnić lukę po zlikwidowanej przez centralę placówce. Kilka miesięcy później wybuchła wojna i Tadeusz stał się potrzebny nie w zacisznym Budapeszcie, ale w oku cyklonu. Przez cztery lata słał korespondencje, pokonując bariery językowe – dzięki talentowi poligloty oraz logistyczne – dzięki darowi zjednywania sobie ludzi.

**O** sporcie pisał m.in. w „Sztandarze Młodych”, „Perspektywach”, „Sportowcu”, ale miarą talentu Tadeusza było to, że świetnie odnalazł się również jako felietonista satyrycznych „Szpilek”, a Węgry postanowił przybliżyć niebanalnie, przez pryzmat tamtejszej kuchni w książce „Nobel dla papryki”. POLITYKA

była jego ostatnim zawodowym przystankiem. Pierwszy tekst, „Ile kosztuje rekord”, poświęcony sensowności nakładów na zawodowy sport, opublikował w tygodniku w 1962 r. Na stałe dołączył do redakcji w drugiej połowie lat 90., w podwójnej roli eksperta od problematyki węgierskiej i autora tekstów sportowych. Rywalizacja o punkty oraz medale była dla niego tylko pretekstem i punktem wyjścia do opowieści o ludziach. Niepogodzony z postępującym makiawelizmem zawodowego sportu, Tadeusz wymyślił nagrodę fair play dla tych, którym obsesja sukcesu nie przysłała idei czystej gry. Sukcesem laureatem – pół wieku temu – został pięściarz Zbigniew Pietrzykowski, który nawet mając w ringu przygniatającą przewagę, nie dążył do nokautu. Idea Tadeusza została podchwycona przez Polski Komitet Olimpijski, a nagroda fair play jest wręczana do dziś.

**T**adeusz był w dobrym stylu staroświecki, w ubiorze – fular, tweedowa marynarka, poszetka, i w manierach – szarmancki, kulturalny, dystyngowany. Nawet o tych, którzy w jakiś sposób mu się narazili, starał się wyrażać dyplomatycznie. Jeszcze do niedawna potrafił ni stąd, ni zowąd zadzwonić do przyjaciół z POLITYKI, by pogratulować tekstu, podzielić się swoimi refleksjami, zainspirować do ciągu dalszego. Tylko czasem – odnosząc się do cyników, karierowiczów, prostaków – zdarzało mu się okazywać zniecierpliwienie.

Gdy potrzebował cieszki od coraz bardziej nieznośnej polskiej rzeczywistości, najchętniej kierował myśl i wspomnienia w stronę Węgier (które po matce miał we krwi) albo rodzinnego Stanisławowa. We wspólnej polsko-ukraińskiej przeszłości starał się akcentować i eksponować to, co łączy. Zarówno udzielając się w stowarzyszeniach Kresowiaków, jak i zachowując pamięć o Stanisławowie w dwóch książkach, gdzie splótł rodzinne losy z dziejami miasta, sypał anegdotami i w niepowtarzalny sposób zakonserwował tamtejszą kosmopolityczną mozaikę. Mówił, że największą nagrodą był duży odzew rozsianej po świecie stanisławowskiej społeczności, a spotkania przebiegały we wzruszającej i serdecznej atmosferze. Nad ogólnym tumultem często wznosił się tubalny głos roześmianego autora. Na korytarzach POLITYKI słychać go do dziś. (MP)



TREND

Tej jesieni stawiamy na spacerzy – nie tylko na te do urn wyborczych. Inspiracją może być *friluftsliv*, kolejny trend importowany ze Skandynawii.

## Friluftsliv jak hygge

**K**opiowane od naszych północnoeuropejskich sąsiadów pomysły na przetrwanie tej bardziej ponurej części roku – kto jak kto, ale Skandynawowie wiedzą, jak przeżyć miesiące w ciemności – mają różne oblicza. Duńskie *hygge*, czyli tworzenie atmosfery przytulności poprzez obstawianie się świecami zapachowymi albo łańcuchami małych lampek, kocami i *pumpkin spice mocca cappuccino*, lub inną równie skomplikowaną pseudokawą z sieciówki, to najbardziej popularna metoda. O jej popularności świadczy choćby to, że w Warszawie czy Gdyni działają kawiarnie ze słowem *hygge* w nazwie. Przez te ostatnie kilka lat wokół poszukiwania utraconej przytulności stworzył się cały marketing, bo jak wiadomo w kapitalizmie nic, co nie jest kupione – a więc świadczy o sile nabywczej



**Ola Salwa** – absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Píše o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

– się nie liczy. Potem pojawiły się inne zjawiska: *lagom* (szwedzki styl lansujący równowagę), *fika* (świętowanie małych przyjemności) czy *koselig* (po prostu norweskie *hygge*) – każdy ma swoją charakterystykę, ale zakłada mniej lub bardziej wprost odcięcie się od ponurej pogody w domowym zaciszu.

Tymczasem są też inne trendy lajfstajlowe, czy może należałoby powiedzieć tradycje, które nie wymagają ani alienacji, ani całego tego zakupowego zamieszania. Wręcz przeciwnie – wcale go nie potrzebują. *Friluftsliv*, bo o tym, niepomierne trudniejszym do wymówienia niż *hygge* zwyczajowi mowa, to po prostu bliskość z naturą. Określenie powstało z połączenia norweskich słów w *fri*, *luft* i *liv*, czyli wolny, powietrze i życie, a wymyślił je dramaturg i poeta Henryk Ibsen. Użył go dosłownie dwukrotnie w swojej twórczości, ale to wystarczyło. Co ciekawe, według literaturoznawcy Daga T. Elvina, który wygłosił na poświęconej Ibsenowi konferencji referat dotyczący zjawiska *friluftsliv* w jego twórczości, autor „Domu lalki” szukał w tamtym czasie sensu i celu egzystencji. Owa bliskość natury ma więc wymiar nie tylko fizyczny. Chodzi tutaj o zrozumienie – pisze Elvin – swojego duchowego i materialnego jestwa poprzez kontakt z przyrodą. Przyznacie chyba państwo, że żadne gapienie się w świecę o zapachu wanilii i ciastek babuni tego nie da...

**Z**ostawiając jednak egzystencjalne wyzwania Ibsenowi, koncepcja, którą nazwał, dobrze łapie skandynawską potrzebę bliskości z naturą. Jeśli wierzyć przewodnikom i periodykom o tematyce turystycznej, *friluftsliv* jest częścią norweskiej codzienności od zawsze. Bez spaceru czy marszu nad fiordem, czy między iglastymi drzewami nie ma dobrego życia. I nie chodzi tu o podszyte ambicją zdobywanie szczytów albo rozbijanie drogich namiotów w efektywnych lokalizacjach, żeby następnie złożyć z tego raport w social mediach. Świeże powietrze, trochę zieleni lub brunatnego blocka jest samo w sobie wystarczająco dobre. Cytowana przez serwis BBC blogerka Angelią Mejstedt tłumaczy, że „*friluftsliv* jest mocno zakorzenione w skandynawskiej tradycji i wytrzymało starcie nawet z urbanizacją”. Działające w tamtych rejonach organizacje turystyczne i harcerze prowadzą akcje edukacyjne dla mieszkańców, aby pamiętali oni o tym, jak ważne jest obcowanie z naturą. Przypominają pewnie o słynnym powiedzeniu, które krąży między fanami aktywności na świeżym powietrzu: „nie ma złej pogody, są tylko źle dobrane ubrania”.

Co więcej, tradycję wspierają niektórzy pracodawcy. „Mamy luźne podejście do godzin pracy, wierzymy, że nasi pracownicy są najbardziej efektywni, gdy sami wybierają sobie godziny pracy. Oznacza to, że w ciągu dnia, gdy świeci słońce mogą się cieszyć pełnią *friluftsliv*, a pracować, gdy zapadnie zmrok” – wyjaśnia w BBC Jakob Palmers, właściciel agencji grafików z siedzibą w Oslo. Pomysł jest rzeczywiście inspirujący i zupełnie inaczej rozkłada równowagę sił w układzie *work-life balance*. A więc można gasić świecę i wychodzić na spacer – najlepiej z kocem, żeby być przygotowanym na zmianę pogody. ■

# Musk ma mózg

TECHNO

Pomysł **wszczepiania chipów do mózgu** u jednych wywołuje dreszcze i dystopijne skojarzenia, u innych – nadzieję na leczenie chorób i techno-telepatię. I do tej drugiej grupy należy Elon Musk, *enfant terrible* światowego biznesu. Dlatego w 2016 r. stworzył firmę neurotechnologiczną Neuralink, która zajmuje się rozwojem takiej oto technologii. Właśnie otrzymała pozwolenie na rozpoczęcie rekrutacji sparaliżowanych pacjentów do badania klinicznego, które pozwoli sprawdzić bezpieczeństwo eksperymentalnych chipów N1 i wszczepiających je robotów.

Chipy mają odbierać sygnały z mózgu pacjentów przy pomocy 1024 elektrod umieszczonych na 64 ultracienkich niciach. Następnie będą przekazywały je do klawiatur i myszek, pozwalając osobom dotkniętym paraliżem na kontrolowanie komputera przy pomocy myśli.

Neuralink to nie jedyna – choć prawdopodobnie najgłośniejsza – firma zajmująca się rozwojem technologii



umożliwiającej komunikację między mózgiem a komputerem. Podstawy tej technologii nie są też wcale nowe. Gdy w 2021 r. firma Muska z dumą prezentowała makaka grającego myślami na komputerze, dziennikarze przypomnieli, że coś takiego miało pierwszy raz miejsce niemal 20 lat wcześniej. Co więcej, już w 1969 r. naukowiec Eberhard Fetz podłączył mózg małpy do wskaźnika, którym zwierzę szybko nauczyło się ruszać. Neuralink poczynił postępy (m.in. uczynił technologię bezprzewodową), ale wciąż żadne chipy domózgowe

nie są dostępne komercyjnie, a do ich realnego wykorzystania droga jest bardzo daleka.

Zbliżające się badanie na ludziach ma potrwać około sześciu lat. Ale nawet jeśli technologię uda się skutecznie i bezpiecznie wykorzystać, to przed jej upowszechnieniem trzeba będzie odpowiedzieć jeszcze na bardzo wiele pytań. Na przykład o to, pod czyją kontrolą znajdują się dane zbierane potencjalnie z najgłębszych zakątków naszego mózgu.

RYSZARD ŁUCZYŃSKI

# Polskie delulu

SŁOWO

Język lubi uproszczenia, więc zamiast powiedzieć o kimś, że cierpi na syndrom de Clérambaulta – żyje w iluzji bycia w romantycznym związku z de facto nieznaną osobą – można uznać, że jest „delulu”. To słowo, pochodzące od angielskiego *delusional* (cierpiący na urojenia), stało się międzynarodowym terminem, który promują ostatnio fanki i fani k-popu. Słownik Miejski.pl odnosi je wprost do tego środowiska: „Być delulu znaczy mieć obsesję na czymś punkcie. To prześmiewcze zjawisko wywodzi się od kpociar, które (...) wierzą w to, że kiedyś wejdą w jakąkolwiek relację z jakimś swoim ulubionym idolem lub idolką”. W samym środowisku wywołuje to czasem irytację: „Wyjdźcie »delulu« piwniczaki z jaskini i ujrzyjcie światło, a nie macie jakieś urojenia, że każdy z nich to wasz bf” (bf to *boyfriend*, czyli chłopak). Słowo to zdaje się łączyć z opisywanym przez psychologów zjawiskiem *delusionships*, czyli związków wyobrażonych, opartych na złudzeniach, ponoć częstych dziś u młodego pokolenia.

Nie da się już jednak „delulu” ograniczyć do sfery erotycznej. Oznacza po prostu osobę żyjącą w swoim świecie. W Polsce „delulu” wydaje się dość powszechnym stanem umysłu. Gdy ktoś podwyższył cenę wynajmu mieszkania, bo mu „wzrosła rata kredytu”, jeden z komentarzy brzmiał:



„Oprócz tego, że »delulu«, to jeszcze jakie to jest po prostu pasożytnicze podejście, że ktoś ma ci kredyt spłacać”. A komentarz przed meczem naszych piłkarzy z Wyspami Owczymi mówił, że „oni to dopiero są »delulu«, jak myślą, że wygrają (czyt. ci w czerwonych gaciach)”. Nie brak też kontekstów politycznych („Ja nie wiem, PiS to naprawdę w jakimś swoim »delulu« świecie żyje”), a kiedy Jacek Saryusz-Wolski, eurodeputowany PiS, zachwalał w sieci swojego prezesa („wejście Jarosława Kaczyńskiego do rządu wyprzedziło pucz w Rosji, tak jak poprzednie wejście do rządu jako wicepremiera ds. bezpieczeństwa wyprzedziło inwazję Rosji na Ukrainę”), młody kandydat Lewicy Stanisław Kostuski komentował: „Następnym razem jak Kaczyński się zdymisjonuje i wejdzie znów do rządu, to chyba będzie musiał carem zostać... #delulu”. Jest w wiernych wyznawcach kultu polityków coś z fanowskiego oddania. Do zakochania jeden krok.

BARTEK CHACIŃSKI

## MÓWIĄ RYMY

Czczą mnie jak kozę lub gorzej,  
Miroslav Kloze czy Mojżesz

**Mata, GOAT, 2023 r.**

koza, ang. goat, czyli greatest of all time = najlepszy w historii, mistrz



RELACJE

## Współczuć, jak to łatwo powiedzieć

Politycy – choć pewnie nie tylko oni – powinni się dziś poddać treningowi współczucia. Szczególnie ci, którzy są mężczyznami.

**P**rzez ostatnie lata wydawało się, że w zachodnich społeczeństwach nakierowanych na rywalizację wystarczy rozwijać indywidualne pokłady empatii jako metody na radzenie sobie z wymagającą rzeczywistością. Problem w tym, że empatyczność przestaje się sprawdzać. Dlaczego? Jeśli bowiem empatyzujemy ze swoją grupą, to czujemy niechęć do grupy obcej, zwłaszcza jeżeli jest ona wrogo nastawiona do mojej grupy. Doskonale jest to widoczne w czasie politycznych kampanii. Tymczasem współczucie zakłada aktywne wspieranie ludzkiej godności na poziomie nie tylko indywidualnym, lecz także wzajemnym. Zwolennicy i propagatorzy współczucia zachęcają, żeby spojrzeć na drugą osobę, szczególnie na taką, której nie lubimy z powodu jej poglądów, zapominając o konflikcie interesów i niechęci.



**Marcin Grudzien**

– psychoterapeuta i trener oraz badacz męskości. Współpracuje z Fundacją Masculinum oraz Pracownią Bliskich Relacji, prowadzi warsztaty i szkolenia dla mężczyzn.

Zobaczyć zależności i uwarunkowania, którym ta osoba podlega, oraz jej cechy, i to nie tylko te nieprzyjemne, ale i te, które są godne podziwu.

Proste? Tak się mówi, ale przecież to – jak się zastanowić – bardzo wbrew mechanizmom, na których oparta jest praca naszego mózgu generującego nieraz szkodliwe uogólnienia czy krytyczne oceny. Łatwo współczuć tym, których kochamy, ważne jednak, byśmy umieli współczuć także tym, którzy są inni od nas. W oparciu o tę, wydawałoby się prostą w teorii, zasadę, rośnie popularność współczucia jako leku bez recepty na często zakorzenione w strachu i poczuciu zagrożenia negatywne zachowania. Wydaje się, że jest on szczególnie potrzebny w spolaryzowanych politycznie społeczeństwach, czy też takich, które mają bardzo podzieloną opinię na jakiś konkretny temat (np. w kwestii obecności uchodźców).

Przy tym ze współczuciem jest tak, że można się go nauczyć i trenować. Coraz śmieiej z zachodniej Europy do Polski trafiają kursy i warsztaty życia i komunikacji opartej na współczuciu i uważności. Realizowane są także coraz liczniej różnego rodzaju badania na temat skuteczności i znaczenia „bycia współczującym”. Takiego patrzenia na świat zaczynają uczyć się w biznesie menedżerowie wielkich korporacji, prezesi oraz zwykli pracownicy. Mogą też uczyć się pary z wieloletnim stażem, którym m.in. frustracja wynikająca z niezrealizowanych potrzeb utrudnia lub uniemożliwia bliskość w związku. Liczne badania pokazują, że praktykowanie współczucia może być też skutecznym lekiem na przepełniony wrogością samokrytycyzm, który może prowadzić do depresji, zaburzeń lękowych czy nawet prób samobójczych.

**W**ydaje się, że praktyki współczucia potrzebuje każdy z nas, ale szczególnie przydałaby się ona w polityce i w debacie publicznej. Być może dla takiego zaistnienia niezbędne są zmiany pokoleniowe w życiu społecznym i politycznym oraz jeszcze większy w nim udział kobiet. Amerykańskie raporty i badania publikowane przez platformę publicystyczno-społeczną The Good Men Project wskazują, że mężczyznom zdecydowanie trudniej być współczującym, a jedną z przyczyn są konsekwencje wychowywania chłopców w duchu toksycznej męskości: „Bądź twardy jak skała”. Terapeuta Terrence Real, autor popularnej książki o męskiej depresji „Nie chcę o tym mówić”, zwraca uwagę na to, że wychowanym surowo, bez zgody na emocjonalność mężczyznom trudno jest zamienić stereotypowe podejście – że trzeba wszystko naprawiać – na mało konkretne „bycie współczującym”. Real twierdzi: „Chcemy opracować plan, jak przetrwać złe rzeczy i sprawić, by wszyscy poczuli się lepiej. Współczucie prosi nas o zrobienie czegoś innego. Mówi: Nie rozwiązuj problemu za kogoś innego, po prostu bądź z nim, gdy cierpi”. Może to oznaczać siedzenie w milczeniu z osobą, która jest naprawdę zła. Może oznaczać bycie blisko kogoś, kto płacze, i niemówienie mu, żeby przestał”.

Na szczęście jedną z najważniejszych zmian w obszarze męskości są rosące szeregi chłopców i mężczyzn z odwagą kierujących się w stronę świata emocji. Czas, aby zaczęli być coraz aktywniej obecni w życiu społecznym. ■



## Saturn z torebką w objęciach pierścieni

Najbogatsze marki rezygnują z tradycyjnej reklamy, w zamian inwestując w filmy, pomysłowe gadżety i najlepszych dizajnerów, którzy tworzą dla nich przykuwające uwagę witryny sklepowe.

**W**wyścigu na oryginalne witryny luksusowe francuskie marki stawiają na artystów wielkiego formatu. Jedną z największych współczesnych artystek, **Yayoi Kusama, swoje kultowe kropki sprzedała torebkom Louis Vuitton.** Zresztą nie tylko kropki, a nawet swój wizerunek: jako gigantyczna lalka zaległa na dachu sklepu w Paryżu, a jako mobilny robot stanęła w witrynie salonu w Nowym Jorku.

Na spektakularną akcję z Kusamą zareagował od razu konkurent Louis Vuittona – Hermès, zatrudniając belgijskiego dizajnera-prowokatora Joba Smeetsa. Latem witryny 80 sklepów marki w całej Francji wypełniały inscenizacje pt. „Życie na Marsie”. Bo, jak beztrudno wyznał projektant, lato z rekordowymi upałami to początek końca świata, więc trzeba się stąd ewakuować.

Jak pokazać życie na Marsie przy pomocy torebek, butów, apaszek i pasków, z których Hermès słynie? Takie zadanie dostał Smeets, który zupełnie się nie kojarzy z francuską elegancją. Słynie raczej z tego, że projektuje meble i poduszki wyglądające jak warzywa oraz wozi się po Mediolanie w Banana-Mobile, aucie z wielkim dmuchanym bananem na dachu. Trudno sobie wyobrazić, co może łączyć luksusowe dodatki Hermès z wariactwami Smeetsa. Ale dziś nie sprzedaje się torebki za kilka tysięcy euro zwykłym zdjęciem w gazecie.

Dizajner przygotowuje więc klientów Hermès do kolonizacji Marsa. Oczywiście na wesoło, ironicznie, inteligentnie. Oto piesek z kosmicznym hełmem na głowie prezentuje smycz (Hermès ma też akcesoria dla psów), unoszący się w oddali Saturn trzyma w objęciach pierścieni torebkę z ostatniej kolekcji, a na marsjańskiej wydmie przycupnęły sneakersy za 4,5 tys. euro. Apokalipsa wygląda nawet przyjemnie: są akcesoria plażowe, kapelusze, perfumy i zegarki, tylko bohaterowie zamiast głów mają końskie łby, a kawałek dalej nogi w czerwonych sandałkach

zgubiły resztę ciała w skłębnym obłoku. Surrealistycznie i niepokojąco, nie wiadomo: śmiać się czy płakać. Dezorientacja zmusza do myślenia. Wystawy Smeetsa wzbudzają dyskusje i oburzenie, a sprzedają rośliny. Chociaż uczciwie trzeba przyznać, że winę za stan klimatu ponoszą m.in. właśnie duże marki, wspierające hodowlę bydła na skóry, używające toksycznych garbników i barwników, importujące skóry egzotyczne bez ujawniania dostawców. Jeśli więc ktoś nas w końcu wyprawi na Marsa, to równie dobrze mogą to być także producenci dóbr luksusowych.

Jeśli jednak chodzi o przewrotność w reklamie, to tu firma Mattel, producent lalki Barbie, nie ma chyba sobie równych. Marka na wizerunku długonogiej piękności z plastiku, ze stopami wyprofilowanymi do noszenia szpilek, zabiła fortunę, choć psychologowie biją na alarm: dziewczynki, które bawiły się Barbie, częściej niż inne mają problemy z akceptacją swojego ciała. Mattel zatrudnia w fabrykach w Chinach i Indonezji głównie kobiety, którym płaci 2–4 dol. dziennie. I to również ta firma kupiła scenariusz pełnometrażowego filmu „Barbie” o swoim flagowym produkcie, i miliony widzów na całym świecie przez 114 min oglądały bez przerwy jej produkty, w dodatku za tę reklamę słono płacąc, i z przekonaniem, że to opowieść feministyczna.

Ale przewrotna potrafi być też Tesla, która reklamuje swój najnowszy, długo zapowiadany samochód elektryczny – Cybertruck... sprzedając pudełka dla kotów, o nazwie i kształcie futurystycznej półcieżarówki. Wymiar? 56×41×25 cm.auta mają trafić do sprzedaży jesienią, a czekając na elektryzującego Cybertrucka, można uszczęśliwić swojego kota za jedyne 89 juańów, czyli ok. 12 dol., bo tyle kosztuje tekturowy prototyp do samodzielnego składania. Kot w Tesli – to mógł wymyślić tylko Elon Musk, który nie kupuje reklamy, tylko sprytnie ją klientom sprzedaje. ■



**Katarzyna Rzehak** – historyczka sztuki, badaczka polskiego dizajnu, dziennikarka, wykładowczyni. Przez 10 lat była dyrektorką w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego. Pracuje w Fundacji Integracja.



## Wyprawy z ogonami

Coraz częściej podróżujemy z psami. Po pierwsze, dlatego że więcej osób traktuje je jako członków rodziny, po drugie, jest to znacznie łatwiejsze niż kiedyś, a po trzecie, może okazać się zaskakująco relaksujące i wzbogacające.

**G**umi to moja trzecia suczka w życiu, ale pierwsza, z którą podróżuję. Kiedyś wakacje z psem wydawały mi się zbyt ograniczające, niewygodne, droższe, ale gdy niespełna dwa lata temu stałam się właścicielką border terrierki, zabranie jej w podróż wydawało się naturalne. Wzorcem byli przyjaciele ze Szwajcarii, którzy zwiedzają Europę ze swoimi ponad 50-kilogramowymi berneńczykami, ale nie bez znaczenia jest też nowy trend otwarcia się na obecność psów w przestrzeni publicznej, z czekającymi na nie miskami z wodą, psimi plażami, wybiegami, pisuarami (może lepiej:



**Agnieszka Krzemińska** jest archeologiem i dziennikarką działu naukowego POLITYKI, autorka trzech książek popularnonaukowych, w tym: „Grody, garnki i uczeni”, w której pisze też o obecności psów w pradziejach na ziemiach polskich. Psiara.

pisuarami) czy workami na kupy. Nic dziwnego, że coraz więcej czworonogów pojawia się wszędzie tam, gdzie spędzają urlopy ich właściciele.

Niektóre psy to prawdziwe obieżyświaty. Magdalena Wilczewska, autorka bloga „Dzikość w sercu”, od kilku lat chodzi po górach z plecakiem oraz z Fibi i Krakersem, a twórcy bloga „Podróże z pazurem” – Piotr Miklaszewski z żoną Izą – przemierzają ze Snupek i Lawą pustynie, miasta, oceany i góry (rekord Snupeka to 5822 m n.p.m.). Niedawno ukazała się książka Magdaleny Wilczewskiej i Piotra Miklaszewskiego pt. „Wyszczekane podróże”, podręcznik zarówno dla tych, którzy chcieliby pojechać z psem po raz pierwszy pod namiot lub za granicę, jak i dla tych, którym marzy się miesiąc z czworonogiem w Amazonii. – *Chcieliśmy ocieplić wizerunek podróży z psami, bo to nie tylko wspaniała przygoda, ale też sposób na pogłębienie relacji ze zwierzęciem* – tłumaczy Magda Wilczewska

Autorzy radzą, jak przygotować siebie i psa do wyprawy. Poza listą niezbędnych dokumentów można też znaleźć informacje o szczepieniach i podręcznych lekarstwach oraz praktyczne podpowiedzi, jak przerobić okulary słoneczne na takie dla psa, jakie wybrać dla niego buty na górskie wspinaczki i jak uszyć szelki, które pozwolą zamienić psi transporter w torbę na laptopa.

Książka obala też mity, które sprawiają, że wiele osób boi się wziąć psa w dłuższą podróż, jak „niebezpieczne” przewożenie go w luku bagażowym (statystyki umieralności wskazują, że ryzyko śmierci jest niewielkie, ale prawdą jest, że do podróży pod pokładem trzeba psa przygotować) czy ryzyko udaru słonecznego (dlatego w ciepłych krajach należy podróżować w chłodniejszych porach dnia i zawsze mieć zapas wody). Wyjaśniają też, że trekkingowe wakacje z pupilem są droższe zaledwie o kilka procent, choć przy wyborze wakacji w wersji *de luxe* koszty te będą oczywiście większe. – *Niekoniecznie też łatwiej jeździ się z małymi psami, w końcu duży może być bardziej wytrzymały, nieś swoje jedzenie i odstraszać intruzów* – wymienia Piotr.

Nigdy nie jest za późno, bo zarówno Magdalena, jak i Piotr z Izą, zaczęli podróżować z dorosłymi już psami. Z książki wynika, że tajemnicą ich wypraw jest traktowanie psów nie jako dodatków do podróży, ale uczynienie z nich członków eskapad, a przede wszystkim nieprzelewanie na nich swoich frustracji i wyobrażeń o podróży. – *Choć na początku miałam zaplanowany każdy szlak i nocleg, z biegiem czasu nauczyłam się elastyczności i zgodziłam się na to, że w podróży z psami nie da się wszystkiego przewidzieć i czasami lepiej odpuścić* – przekonuje Magda.

**G**umi nie jest może obieżyświatką jak Snupek i Lawa, ale była w siedmiu krajach, zaliczyła trzytysięcznik, pływała jachtem, biegła przy rowerze i zwiedzała urokliwe miejsca (na fot. **amfiteatr w chorwackiej Puli**). Nie sądzi, by doceniała urodę rzymskich teatrów czy średniowiecznych zaułków, ale ponieważ lubi być ze swoją „ludzką rodziną”, cieszy ją tak samo wspólny spacer po parku, jak i przygotowania do kolejnego wyjazdu. Gumi też zmieniała mój sposób podróżowania – gdy sama trafiam w jakieś ładne miejsce, żałuję, że jej ze mną nie ma. ■

## Mołdawia: dobra nieznajoma

„Zostaw to nieszczęsne Chile.  
Znajdź mi Mołdawię! Gdzie stoi Mołdawia?!“

Zasłyszany w jednym z supermarketów dialog był symboliczny. O „zawsze takie dobre” wino z Mołdawii poprosiła pani koło pięćdziesiątki, która na poszukiwania wysłała swojego męża. Bo Mołdawia ma w Polsce szczególną pozycję. W okresie szczytowego sukcesu w większych miastach nad Wisłą i Odrą otwierały się gremialnie winoteki wyspecjalizowane w winach z tego małego przecież kraju. Dla polskich miłośników wina, zawsze wiernych winom z naszej części świata, tym wszystkim bułgarskim Slavyantsi i węgierskim Bikkaverom, Mołdawia reprezentowała wspólny ideał: win słonecznych, pełnych owocu, słodkawych, jak lubimy, i tanich, jak potrzebujemy.

Przenieśmy się do 2023 r. Mołdawia została w tym samym miejscu – nadal zalewa Polskę morzem niedrogiego i obiektywnie przyzwoitego wina. Tyle że rynek poszedł do przodu. Pojawiło się wielu nowych konsumentów, a ci młodszy, którzy kształtują trendy i (z natury) coraz bardziej nakręcają sprzedaż, już w winach z Mołdawii nie odnajdują odpowiedzi na swoje potrzeby. Szukają win bardziej wytrawnych, oznaczonych paroma znanymi sobie odmianami winogron, jak Pinot Grigio i Merlot. Są także znacznie mniej stali w uczuciach: jednego dnia kupią włoskie bąbelki, drugiego – hiszpański róż albo czerwień z Australii. O istnieniu Mołdawii często nawet nie wiedzą.

Dlatego metrykalny aspekt zasłyszanej przeze mnie w markecie scenki jest istotny. Niewątpliwym sukcesem Mołdawii, która w pewnym momencie wysłała do Polski 25 mln litrów wina (mamy czwarte miejsce w świecie, za Rumunią, Rosją i Białorusią, które są naturalnymi od stu lat rynkami zbytu dla tej małej republiki), był ograniczony do pewnego segmentu rynku i to stało się problemem. W 2022 r. eksport z Mołdawii do Polski spadł o 17 proc. Teraz w Kiszyniowie analizują, co by tu zrobić, by odwrócić niekorzystny trend. Trzeba zmienić wizerunek win mołdawskich w Polsce, pokazać się z nowocześniejszej strony: etykiety, smaki, rodzaje wina muszą się zbliżyć do dzisiejszego mainstreamu z krajów południowo-zachodniej Europy.



**Wojciech Bońkowski**  
– pierwszy polski  
Master of Wine.  
Współtwórca portalu  
Winicjatywa i pisma  
o winie „Ferment”.

Cricova w Mołdawii to jedna z największych piwnic winiarskich świata. Tutaj pod ziemią produkuje się też szampana.

Mołdawia ma takie wina. Jest fenomenem w skali światowej: w kraju wielkości Mazowsza było w pewnym momencie 200 tys. ha winnic, czyli dwa razy więcej niż w całej Australii. Szacowano, że w winiarstwie z przyległościami zatrudnienie miał co trzeci Mołdavianin, a dochód z wina był największą pozycją w narodowym budżecie. Potem Michaił Gorbaczow zadekretował ograniczenie pijaństwa w ZSRR i część winnic wykarczowano, ale rola winiarstwa w tym małym kraju pozostała dominująca.

Rosyjskie paranoje uderzyły w Mołdawię jeszcze raz, gdy w 2006 r. Putin z powodów politycznych wprowadził embargo na wina z Kiszyniowa i tym samym zamknął im największy rynek. Przed winiarzami stało widmo bankructwa. Na szczęście z pomocą amerykańskich pieniędzy branża się zmodernizowała i zamiast do Rosji zaczęła z powodzeniem eksportować do Chin, Czech i właśnie do Polski. Z funduszy USAID wyremontowano istniejące winiarnie i zbudowano nowe, wyszkolono kadre, opracowano marketingowe programy.

W efekcie Mołdawia to wciąż tradycyjny kraj, gdzie przy szosie można kupić w bukłaku wino domowe od gospodarza, a na Narodowym Świątku Wina w Kiszyniowie w biesiadnym nastroju imprezuje niemal cały naród. Ale czołowe winiarnie, jak Purcari, Vartely, Castel Mimi, Radacini, robią dziś ambitne wina w światowym stylu, które w niczym nie ustępują nie tylko węgierskim, ale i portugalskim.

Czyli podstawy są. Teraz przed Mołdawią najtrudniejsze zadanie: postawić te świetne wina na sklepowe półki, w Polsce i nie tylko, i wyjść z cienia samej siebie. ■

- Daos Treasure Cabernet Sauvignon**, 24,99 zł (Frisco.pl)
- Purcari 1827 Pinot Grigio**, 54,50 zł (dobrewino.pl)
- Castel Mimi Fetească Albă**, 59,90 zł (darwina.pl)
- Radacini Metier Brut Natur**, 89 zł (winnicemoldawii.pl)
- Château Vartely Individo Merlot/Cabernet Sauvignon**, 84,50 zł (domwina.pl)
- Château Purcari Negru de Purcari**, 139,99 zł (dobrewino.pl)

**A**nna Głębińska, ekspertka komunikacji i zarządzania, skomentowała dla Presserwisu.pl zapowiedź Tuska: „Środowiska opozycji są przeważnie wielkomięskie i inteligentne. Jeśli ich reprezentanci potrafią na chwilę schować honor do kieszeni, nie dać się sprokować i [będą] używać potocznego języka, mogą chodzić do TVP. Takie postawy mogą dobrze wpłynąć na wizerunek partii, bo widzowie zobaczą ludzi otwartych i skromnych. Ale politykom opozycji o wyniosłym sposobie bycia, którzy nie potrafią trzymać nerwów na wodzy, odradzam przyjmowanie tych zaproszeń”. Siła spokoju? To hasło już raz zawiodło.

**S**zef Stałego Komitetu Rady Ministrów Łukasz Schreiber bardzo pewny swego („Sieci”): „Im bardziej opozycja już dzieli stanowiska i wsadza nas do więzień, tym my mocniej pracujemy na przekonujące, jednoznaczne zwycięstwo wyborcze. Po tamtej stronie jest chaos na listach wyborczych, kłótnie, 100 hasełek napisanych na kolanie zamiast programu. Po naszej przekonującej dorobek ośmiu lat, suwerenna polityka, 300-stronicowy, poważny program i jedność całego obozu”. Minister zapomniał dodać: i pieniądze ze sprzedaży polskich wiz.

**J**acek Karnowski znów zamartwia się problemami PO („Sieci”): „Czy Rafał Trzaskowski może uratować Platformę Obywatelską? Pogłoski na ten temat są rzeczywiście intensywne. Według niektórych informacji Tusk miałby ogłosić podmiankę w czasie marszu, który zwołał na 1 października. (...) Podmianka (...) przyniosłaby raczej straty. Byłaby oczywistym objawem paniki, co nigdy nie służy partiom”. Cały komentarz o pogłoskach. Troska przestraszonego?

**Z**apytany przez „Angorę”, czy marsz 1 października może wpłynąć na wybory, politolog prof. Kazimierz Kik przewiduje chłodno: „Jeżeli marsz się odbędzie i frekwencja dopisze, to może wywołać małe zamieszanie przed wyborami. Oczywiście miliona ani nawet pół miliona ludzi nie będzie, ale to nie ma żadnego znaczenia. Nawet gdyby przyszło mniej niż 100 tys., to Koalicja Obywatelska zrobi z tego marsz miliona, a gdyby jakimś cudem przyszło tyle samo ludzi co 4 czerwca,

to w publicznych mediach będzie to pokazane jako nieistotne wydarzenie”. I ta ostatnia przepowiednia sprawdzi się na pewno.

**Ł**ukasz Warzecha w „Do Rzeczy” o wyborczych obietnicach: „W historii wyborów parlamentarnych w Polsce nie było jeszcze kampanii z tak olbrzymią liczbą tak kosztownych obietnic. Kiedyś można było mieć nadzieję, że większość z nich nie zostanie zrealizowana. Dzisiaj jednak nie ma już takiej pewności, skoro pod tym względem próg wysoko ustawił PiS. Jak to zatem kiedyś powiedział klasyk, dziś autor »100 konkretów« – trzeba się trzymać za portfele, bo do roboty biorą się poważne ekipy. Tym razem z obu stron”. Warzecha woli „piątkę” obiecaną przez Konfederację?

**K**atarzyna („Plus Minus”) nie daje wielkich szans Koalicji Obywatelskiej: „Jeśli ma się przeciwko sobie cały aparat państwa i faulującego przeciwnika, który z budżetu finansuje dużą część swojej kampanii, trzeba mieć jakiś pomysł na siebie i naprawdę chcieć wygrać”. Znamy ten przekaz: opozycja nie ma programu, a jak ma, to też nie ma.

**P**rof. Marcin Matczak o widocznych w życiu społecznym zagrożeniach („Wolna Sobota”): „Konfederacji spada, ale to nie powinno nas uspokajać. Chodzi nie o podaż prowokacji i bzdur z ich strony, ale popyt na nie. To popyt na faszyzm, nie historyczny, ale psychologiczny, który bierze się z poczucia bezradności. Skoro popyt jest, w społeczeństwie tyka bomba. I trzeba się zastanowić, jak ją rozbroić”. Rządowe dotacje dla neofaszystów tego nie zrobią.

**W**ybory to także ważne wydarzenie dla Kościoła. Magdalena Czyż zwraca uwagę („Wolna Sobota”): „Na swoim profilu o. Tomasz Dostatni jako dowód patologii trawiącej Kościół zamieścił niedawno zdjęcie kandydata na posła PiS szeroko uśmiechniętego i wręczającego proboszczowi swojej parafii na tle ołtarza tekturowy czek na 350 tys. zł. Proboszcz też się szeroko uśmiechał. Być może nie wie jeszcze, czym za ten prezent przyjdzie mu zapłacić. Jednak coraz więcej jego kolegów zaczyna zdawać sobie sprawę, że dali się uwiązać na smyczy i traktować jak tresowane pieski, które jeśli czegoś potrzebują, muszą za każdym razem stanąć na dwóch łapkach i ładnie pana poprosić”. Państwo panów i poddanych.

**W** „Przeglądzie” Wojciech Kuczok, nie dbając o poprawność polityczną, zapowiada: „Kosmopolityczna, wielorasowa twarz Europy – jedynie taka jest możliwa, jedynie w takiej widzę antidotum na ksenofobiczny, parzywy ryj wszelkiej maści nacjonalistów, ze szczególnym uwzględnieniem polskiego narodowca. Ta twarz to potwarz. Jeśli facjata bąkiewiczowska z cofniętą zuchwą i płaskim czołem będzie po wyborach obliczem naszej nowej władzy, zmienię nie tylko kraj zamieszkania, ale także obywatelstwo i będę do końca swoich dni odczuwał dumę z niebycia Polakiem”. Kuczok politykiem nie jest, ale lepiej, żeby do TVP nie chodził.

Zdecydowaliśmy, żeby nasze posłanki i nasi posłowie (...) uczestniczyli w audycjach i programach propagandowych telewizji rządowej, aby móc wykorzystać każdą okazję, żeby odbiorcy telewizji rządowej mogli usłyszeć prawdę – Donald Tusk.

KOZA



© JAN KOZA

# CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ

## Klinika ortopedyczna

### Szpital

operacje ortopedyczne ✦

## Poradnia Medycyny Sportowej

dla dzieci, młodzieży i dorosłych:

Badania wstępne, okresowe i kontrolne ✦

Orzeczenia sportowo-lekarskie ✦

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych ✦

## Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / neurolizy współczulne ✦

blokady / neurolizy nerwów obwodowych ✦

termolezja ✦

## Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne ✦

## Dietetyka

Dietetyka kliniczna ✦

Dietetyka sportowa ✦

Porady dla dzieci i dorosłych ✦

## Rehabilitacja

✦ Rehabilitacja ortopedyczna:

✦ stawów rzepkowo-udowych

✦ stawów barkowych

✦ kręgosłupa

✦ stawów kolanowych

✦ kontuzji sportowych

✦ po zwichnięciach stawów

✦ urazów mięśni

✦ więzadeł

✦ po złamaniach

✦ Fizykoterapia

✦ Masaż leczniczy

✦ Diagnostyka funkcjonalna

✦ Rehabilitacja w uroginekologii

✦ Terapia przeciwobrzękowa

## Rezonans Magnetyczny 3T

✦ Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców  
w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

## Tomografia Komputerowa

✦ Pełny zakres badań

## Diagnostyka

✦ RTG, USG, EEG, EMG

**CMS i Wracasz do gry!**

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych.  
CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

**POLITYKA**

WYDANIE SPECJALNE NR 04/2023  
CENA 16,99 ZŁ (W TYM 8% VAT)  
INDEKS: 381-055

# ARTSALON

PRZEWODNIK PO POLSKICH GALERIACH SZTUKI I WYSTAWACH

**Nº1**



**TWIERDZA  
HAND MADE**

Dom pracy twórczej  
w Chile. Monumentalny  
obiekt z betonu, dzieło  
architektów wizjonerów.

**NIELUDZKA  
SZTUKA**

Sztuczna inteligencja  
jako ulepszona wersja  
pędzla. Czy pozbawi  
nas kreatywności?

**KULISY  
WYSTAW**

Kuratorzy galerii  
i muzeów o nowych  
wyzwaniach  
w swojej pracy.

**MIEDZIANKA  
DLA ODWAŻNYCH**

Wieża działań  
artystycznych. Budynek  
poświęcony historii  
pogórniczego miasteczka.

*Do kupienia w dobrych kioskach i na [sklep.polityka.pl](http://sklep.polityka.pl)*

**PRZEWODNIK PO POLSKICH  
GALERIACH SZTUKI I WYSTAWACH**